ZEZNANIA „KELNERÓW OD TAŚM”

Kulczyk, Tusk i Afryka – ile chciał zyskać „doktor Jan”?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 43/295 22–28 PAŹDZIERNIKA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Semka żegna Gronkiewicz-Waltz

KIM JEST KRZYSZTOF PIĄTEK?

Lista Ładosia dłuższa od listy Schindlera

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

Nakład: 85 tys. egzemplarzy

TYLKO W „DO RZECZY”

Co ukrywają obrońcy homoseksualistów

eprasa.pl/2c83a54b15

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Transgresja po polsku

Prokurator generalny Zbigniew Ziobro złożył do Trybunału Konstytucyjnego wniosek, w którym domaga się, aby Trybunał stwierdził, że art. 267 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej jest niezgodny z polską konstytucją. Na podstawie tego artykułu polskie sądy zwracają się obecnie do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, zadając tzw. pytania prejudycjalne, co faktycznie blokuje wprowadzenie zmian w systemie prawodawstwa. Jak łatwo przewidzieć, decyzja Zbigniewa Ziobry ściągnęła na niego gromy.

Ruch prokuratora generalnego to „pierwszy krok do wyprowadzenia Polski z UE", to „niebywały skandal", to „zdrada interesów Polski" – przedstawiciele opozycji i środowiska prawniczego prześcigali się przez kilka dni w co bardziej dramatycznych określeniach tego, co zrobił Ziobro. Ciekawe, że kiedy opowieść o próbie dokonania polexitu mało kim wstrząsnęła, pojawił się drugi przekaz, zgodnie z którym ruch prokuratury był w istocie wymierzony w obecnego premiera Mateusza Morawieckiego. Zgodnie z tą teorią, promowaną przez związane z opozycją media, Ziobro celowo akurat teraz zgłosił ten wniosek, żeby wywołać awanturę, która to rzekomo ma zaszkodzić pozycji PiS w wyborach samorządowych. Teoria ta jednak zakłada, że większość polskich wyborców uważa za właściwy obecny stan rzeczy, kiedy to sądy za pomocą kruczków prawnych blokują działanie przyjętych legalnie przez parlament ustaw.

Cały problem terminu, w jakim minister Ziobro złożył wniosek, wydaje mi się wydumany. Tak czy inaczej, prokurator generalny wreszcie zrobił to, co do niego należało. Z punktu widzenia interesów polskiego państwa i jego suwerenności było to posunięcie – nie waham się użyć tego słowa – nie tylko słuszne, lecz także wręcz konieczne. Tym bardziej że ruch ministra poprzedził ledwo o kilkanaście dni decyzję TSUE zawieszającą część zmian o Sądzie Najwyższym.

Nie trzeba być entuzjastą wszystkich konkretnych pomysłów, które pojawiają się w Ministerstwie Sprawiedliwości, jednak sytuacja, w której sędziowie przyznają sobie prawo blokowania legalnego prawa, odwołując się ponad głowami Sejmu i polskiego Trybunału Konstytucyjnego do Unii, nie może być tolerowana. To tak, jakbyśmy godzili się z wyrzeczeniem istotnej części suwerenności. Tak jakby nagle w polskim systemie prawnym pojawił się czynnik nieprzewidziany i nowy, który w istocie staje się źródłem stanowienia prawa, nie mając do tego żadnego demokratycznego uprawnienia. Tym czynnikiem stałby się oczywiście Trybunał Sprawiedliwości Unii. Byłyby to swoiste nadparlament, nadsąd i nadtrybunał konstytucyjny, które zyskałyby władzę negowania i odrzucania ustaw przyjętych legalnie w Polsce. Aż dziw, że taki pomysł, który polega na przekazaniu w obce ręce suwerenności państwowej, cieszy się poparciem tak wielu polskich polityków i prawników.

Łatwo przewidzieć, co będzie się działo dalej. Jeśli Trybunał Konstytucyjny poprze wniosek prokuratora generalnego i uzna, jak powinno być w istocie, wyższość prawa polskiego nad unijnym, usłyszę, że wyrok jest nieważny, bo wydali go sędziowie dublerzy. Doprawdy diabeł by tego lepiej nie wymyślił: duża część polskich elit będzie walczyć przeciw polskiej suwerenności, broniąc podległości wobec Brukseli. I będzie to nazywać obroną interesu Polski. Nie wiem, czy istnieje lepszy przykład transgresji. Polacy przez wiele lat nie mieli suwerenności, bo zabrali im ją silniejsi. Jednak żeby tak samemu jej nie chcieć? ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 2c83a54b18

TEMAT TYGODNIA

18 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
HOMOTERROR
Co powinieneś wiedzieć o homoseksualizmie

22 ROZMOWA Z KS. PROF. PAWŁEM BORTKIEWICZEM
HOMOFOBIA TO MIT

KRAJ

24 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM SZCZERSKIM
PREZYDENCKA SZANSA NA JEDNOŚĆ
Podział Polski to dziedzictwo Tuska

28 KAMILA BARANOWSKA
SKRZYDŁA SCHETYNY

30 ŁUKASZ WARZECHA
CISZA NAD URNĄ

32 PIOTR SEMKA
TRZY LITERKI I PIĘĆ WCIELEŃ

34 WOJCIECH WYBRANOWSKI
TUSK, KULCZYK I AFRYKA

36 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ARMAGEDON ZSZEDŁ DO GMIN

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
AUTOAGRESYWNI

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
STOLICA NA ZIELENINIE

KULTURA

44 PIOTR GOCIEK
MIASTO GRZECHU
Nowy serial HBO

48 ROZMOWA Z KATARZYNĄ J. KOWALSKĄ
ARCYDZIEŁO ZE WSI

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 RAFAŁ DĘBSKI
WIZJA ŚWIATA BEZ MIŁOŚCI
Recenzja „Epoki Antychrysta" Pawła Lisickiego

60 MAREK BUDZISZ
PRZEŁOMU NIE BĘDZIE

62 ROMUALD KMIECIK
STRAŻNIK POLSKI – KONSTYTUCJA

HISTORIA

66 ROZMOWA Z JAKUBEM KUMOCHEM
LISTA ŁADOSIA
Ambasador Polski w Szwajcarii: polscy dyplomaci wystawili fałszywe paszporty Żydom

ŚWIAT

72 JACEK PRZYBYLSKI
UPOKORZONA MERKEL
Niemcy szykują się do zmiany kanclerza

76 PIOTR CZYŻEWSKI Z DUBLINA
IRLANDIA OSTRO W LEWO

80 TOMASZ TELUK
ŁOTWA BLIŻEJ ROSJI

82 MARCIN BARTNICKI
„MEIN KAMPF" DLA FEMINISTEK

EKONOMIA

84 STEFAN SĘKOWSKI
JAK NIE UTRACILIŚMY NIEZALEŻNOŚCI
Gospodarka a polityka

SPORT

88 ŁUKASZ MAJCHRZYK
PISTOLET WYPALIŁ
Krzysztof Piątek – nowy wielki piłkarski talent

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
AGENCJA DLA PACJENTÓW I POLSKIEJ MEDYCYNY
Kiedy Agencja Badań Medycznych?

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (12), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (64), ZYCHOWICZ, KOPER (70), KOWALCZUK (75), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (94), TYRMAND (96), JASTRZĘBOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 2c83a54b18

Siła w różnorodności

Z ***prof. dr. hab. n. med. Mirosławem Jaroszem***, dyrektorem Instytutu Żywności i Żywienia, rozmawia Katarzyna Pinkosz

Czy to, co jemy, rzeczywiście odgrywa tak dużą rolę w zapobieganiu nowotworom?

Dziś nie ulega to już wątpliwości: jeśli przestrzegalibyśmy podstawowych zasad zdrowego stylu życia – czyli byli codziennie aktywni, nie palili tytoniu, odpowiednio się odżywiali – to trzy na cztery nowotwory mogłyby nie zaistnieć!

Analizy przeprowadzone przez Instytut Żywności i Żywienia, porównujące trendy zachorowań na nowotwory złośliwe z trendami dotyczącymi nawyków żywieniowych, pokazują, że w ciągu ostatnich 25 lat zaczęliśmy się odżywiać lepiej. Wprawdzie jest to jeszcze dalekie od doskonałości, jednak nawet mała korekta żywienia i rzadsze palenie tytoniu spowodowały, że ok. 300 tys. osób w Polsce uniknęło zachorowania na nowotwór złośliwy. Trzykrotnie zmniejszyła się zachorowalność na raka żołądka, a o mniej więcej 30 proc. – na raka przełyku i trzustki. Wprawdzie nadal wzrasta zachorowalność na raka jelita grubego, ale w znacznie mniejszym stopniu.

Jemy mniej mięsa czerwonego, tłuszczów zwierzęcych i soli, za to więcej – warzyw, owoców i tłuszczów roślinnych. Warzywa i owoce zawierają dużo bioaktywnych związków – polifenoli oraz witamin, które neutralizują wolne rodniki, zapobiegają uszkodzeniu DNA i zmniejszają stan zapalny w organizmie.

Na dole piramidy żywienia znajdują się właśnie warzywa i owoce. Powinniśmy ich jeść najwięcej. Czyli ile?

Zasada jest taka: różnorodne i jak najwięcej. Minimum to 400 g owoców i warzyw – z przewagą tych drugich. Każda porcja dziennie zmniejsza o 15-20 proc. ryzyko przedwczesnego zgonu z powodu udarów, zawałów czy nowotworów złośliwych.

Warzywa i owoce stanowią najsilniejszy parasol ochronny przed działaniem różnych szkodliwych czynników środowiskowych. Poza tym, jedząc warzywa i owoce, zmniejszamy ryzyko nadwagi i otyłości. A wiele nowotworów jest związanych z otyłością, np. rak trzonu macicy, piersi, jajnika.

Warto też pamiętać, że mięso czerwone i przetworzone są karcynogenami – czynnikami rakotwórczymi, które zwiększają ryzyko raka trzustki, żołądka, jelita grubego. Nie znaczy to jednak, że nie można w ogóle jeść czerwonego mięsa. Trzeba je jednak ograniczać – do pół kilograma na tydzień. Za to częściej należy sięgać po rośliny strączkowe, ryby i drób.

Które owoce i warzywa są najkorzystniejsze w diecie przeciwnowotworowej?

Prawdę mówiąc... nie jesteśmy zmuszeni do dyskryminacji! Wszystkie warzywa i owoce mają swoją wartość, uzupełniają się. Siła tkwi w różnorodności.

Wiele osób uważa, że warzywa i owoce są pełne pozostałości nawozów sztucznych, środków ochrony roślin i tak naprawdę mało wartościowe. To prawda?

Nie. Oczywiście w owocach i warzywach znajdują się pewne pozostałości nawozów sztucznych, jednak absolutnie nie decyduje to o ryzyku nowotworów złośliwych.

Takie myślenie odciąga uwagę od kwestii najważniejszej: nie możemy mieć oporów co do spożywania warzyw i owoców, gdyż stracimy szansę na zapobieganie m.in. nowotworom.

Żyjemy w świecie, w którym jest zanieczyszczone powietrze. Pewne ilości zanieczyszczeń – azotynów i azotanów – mogą się znajdować w warzywach i owocach, jednak jest ich bardzo mało i nie rzutują na ogólny bilans związany z zachorowalnością na nowotwory złośliwe. Potencjał warzyw i owoców jest tak wielki, że niweluje te działania, które potencjalnie mogłyby zwiększać ryzyko niektórych nowotworów.

Najlepsze są warzywa i owoce z naszej strefy klimatycznej?

Coraz częściej zmieniamy strefę klimatyczną, mamy więc do dyspozycji rozmaite warzywa i owoce. Obowiązuje zasada różnorodności, nie trzeba jednak jeść na siłę tych warzyw i owoców, których nie lubimy.

Powinniśmy jeść pięć porcji dziennie warzyw i owoców czy jak najwięcej?

Zaleca się co najmniej pięć porcji warzyw lub owoców dziennie. Powinny wchodzić w skład wszystkich posiłków, stanowiąc połowę tego, co mamy na talerzu. Każda ilość warzyw i owoców ma wartość prozdrowotną. Czyli: osiem razy to lepiej niż pięć. Ze zwiększania spożycia warzyw i owoców zawsze jest korzyść.

ZDJĘCIA: MATERIAŁY PRASOWE, 123RF

Ministerstwo Zdrowia

Kampania realizowana w ramach Narodowego Programu Zwalczania Chorób Nowotworowych.
Zadanie: Promocja zdrowia i profilaktyka nowotworów; finansowana ze środków Ministra Zdrowia

eprasa.pl 2c83a54b18

Drodzy Czytelnicy,

Dzisiaj jeden z listów, które otrzymaliśmy w sprawie opisywanej przez nas nagonki na Wojciecha Cejrowskiego, a także cenna uwaga. Listy elektroniczne do redakcji prosimy przesyłać na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Z cenzurą przez świat" Maciej Pieczyński, „DRz" 39/2018

Szanowna Redakcjo, chciałabym się odnieść do artykułu opisującego atak na pana Wojciecha Cejrowskiego.

1. Niech każdy z tych 170 krytykujących podróżników i dziennikarzy oraz dziennikarka z Belfastu zorganizuje swój stand-up comedy i wtedy zobaczą, ile osób za własne pieniądze przyjdzie i będzie chciało ich słuchać. Okaże się, co mają do powiedzenia oprócz politycznego bełkotu. Na spotkaniach z panem Wojciechem Cejrowskim w całej Polsce sale wypełnione są do ostatniego miejsca.

Sam na scenie – opowiada, zaciekawia, żartuje, rozśmiesza publiczność przez półtorej godziny. Rozmawia z publicznością, odpowiada na każde pytanie z sali.

Wielokrotnie byłam na spotkaniach z panem Wojciechem i wyszłam bogatsza o wiedzę, uśmiech i relaks.

2. Cejrowski prowadzi audycje muzyczne, które nie są sieczką kolejnych utworów. Z treści piosenek układa jakąś myśl przewodnią dla całej audycji i dowcipnie komentuje. [...]

3. Niech ci wszyscy krytycy porównają nakłady i liczbę sprzedanych książek swoich i pana Wojciecha. Gdyby przeczytali choć jedną, np. „Rio Anaconda", to dostrzegliby, z jak wielkim szacunkiem i zrozumieniem opisuje Indian, ich życie, ich marzenia.

Już tylko z tych trzech aktywności widać, że krytycy jego działalności robią to z zazdrości, bo nigdy mu nie dorównają. Nie mogę obojętnie patrzeć, jak chce się zniszczyć człowieka wyrastającego ponad przeciętność, który swoją inteligencją służy ludziom.

Serdecznie pozdrawiam redakcję „Do Rzeczy".

Alicja z Warszawy
Nazwisko i adres do wiadomości redakcji

„Kto przeszkadzał w Noblu dla Herberta?" Joanna Siedlecka, „DRz" 42/2018

Myli się pani Joanna Siedlecka, pisząc, że Marta Fox nie wydała książki o Szymborskiej. Otóż w 1996 r. ukazała się publikacja pt. „Zdarzyć się mogło, zdarzyć się musiało", wydana przez Towarzystwo Zachęty Kultury w Katowicach – ISBN 83-86023-67-8.

Pozdrawiam serdecznie
Czesława Scheffs

Szanowna Pani,
dziękuję bardzo za słuszną uwagę, którą uwzględniłam w przygotowywanym wznowieniu mojej książki. Przyzna Pani, że pracę Marty Fox opublikowała niszowa instytucja, więc po prostu jej nie zauważyłam, choć śledzę publikacje o Szymborskiej. A poza tym jej praca nie była wcale, jak zamierzała, zbiorem relacji o Noblu dla Szymborskiej, których otrzymała bardzo niewiele, „dosztukowała" więc ją swoim wywiadem z poetką i refleksjami o jej poezji, o czym mówił podtytuł jej książki: „Z Wisławą Szymborską spotkania w wierszu".

Z poważaniem
Joanna Siedlecka

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Fotolia, oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
Spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 85 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 2c83a54b18

eprasa.pl 2c83a54b18

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Twitterowa bomba

Jeśli ktoś by spytał, który ze skandali i skandalików minionej kampanii wyborczej najbardziej dał mi do myślenia, to odpowiem: casus Michała Szpądrowskiego, członka sztabu Patryka Jakiego. W połowie sierpnia br. działacz Platformy Obywatelskiej Marcin Kierwiński nagłośnił fragment twitterowej rozmowy Szpądrowskiego ze swoim kolegą z 7 kwietnia 2010 r.:

„(Kolega): Szpąder, jutro jest najazd Żydków na Wawke. Przylatuje Boeing 747-400 z TLV, Jak chcesz pojedziemy na 6.20 na lotnisko i ich przywitamy gazem hahaha

Szpądrowski: Hmm, gdyby nie ta godzina to bym ich powitał serią z kałasznikowa".

Polityk Platformy zakończył prezentację tweeta komentarzem: „Takich ludzi do ratusza naszej stolicy chce wprowadzić Patryk Jaki #Jakiwstyd".

Dialog miał kompromitująco antysemicki charakter. Wiadomość o skandalicznym tweecie poszła w sieć. Zazwyczaj używano formuły „antysemicki wpis sprzed lat członka sztabu Jakiego". Kandydat PiS szybko uznał, że łatka kogoś, kto toleruje w swoim otoczeniu antysemitę, to kula u nogi w kampanii i nakazał Szpądrowskiemu opuszczenie sztabu. Jednak dopiero wtedy ktoś zwrócił uwagę, że 22-letni dziś Szpądrowski w 2010 r. miał 15 lat. Bohater skandalu przeprosił za swój wpis, określił go „haniebnym" i jako zadośćuczynienie za młodzieńczą głupotę wpłacił pieniądze na konto Fundacji Ochrony Mienia Żydowskiego.

Po pewnym czasie PiS wystawił Szpądrowskiego na czele listy w okręgu Ursynów-Wilanów. „Gazeta Wyborcza" nie osłabiła swego krytycyzmu wobec polityka. „Chciał witać Żydów »serią z kałasznikowa«. Teraz otwiera listę PiS w Warszawie". Michał Kierwiński z PO skomentował to tak: „A nie mówiliśmy, że skarbnik kampanii Patryka Jakiego znany ze skandalicznych wpisów o strzelaniu do »żydków« zostanie przez PiS doceniony".

Sprawa Szpądrowskiego pobudza do zadania pytania, w jakim stopniu wpisy małoletniego chłopaka, nawet te najbardziej drastyczne, mogą skutkować usunięciem kogoś z listy wyborczej. Każdy, kto zna proces wychowania i dojrzewania, wie, że w wieku 15 lat ma się pstro w głowie. Problem jest jednak szerszy. Każdego dnia tacy sami 15-latkowie uwieczniają na Twitterze i Facebooku swoje emocje. Mądre, średnie, głupie i całkiem głupie. Czy taki wpis w przyszłości może im zablokować karierę?

Casus Szpądrowskiego może mieć ciekawy efekt. Politycy mogą zacząć przypominać sobie, przeglądać i czyścić swoje przeszłe wpisy. A całe zespoły szperaczy pod wpływem sprawy sztabowca Jakiego mogą zacząć lustrować timeline'y politycznych wrogów na zapas. I skrupulatnie robić ich „zrzuty" z ekranu na wypadek, gdyby ktoś złapał się za głowę i zaczął kasować twórczość z lat młodości. Ileś dziewczyn robi sobie pikantne selfie. Iluś nastolatków chce błysnąć pieprznymi przechwałkami.

Krótko mówiąc – na iluś portalach przyszłych panów i pań posłów, premierów czy prezydentów tyka bomba zegarowa kompromitujących po latach wpisów. Spece od haków będą mieli lub już mają pełne ręce roboty. ©℗

Trybunał Sprawiedliwości UE zawiesił przepisy o SN

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej przychylił się do wniosku Komisji Europejskiej i zdecydował o zastosowaniu środka tymczasowego i zawieszeniu stosowania zaskarżonych przepisów ustawy o Sądzie Najwyższym do czasu rozpatrzenia skargi KE na Polskę. Chodzi o przepisy dotyczące przechodzenia w stan spoczynku sędziów Sądu Najwyższego, którzy ukończyli 65 lat.

Decyzja TSUE może oznaczać konieczność wstrzymania rekrutacji i przywrócenia na stanowiska sędziów przeniesionych przymusowo w stan spoczynku. Przed zamknięciem tego wydania „Do Rzeczy" rząd nie opublikował jednak jeszcze swojego stanowiska w tej sprawie. – Na pewno po dokładnym przeanalizowaniu ustosunkujemy się do tego. W rozmowach w Brukseli myślę, że przekonałem kilku przywódców, jak wyglądała polska reforma wymiaru sprawiedliwości i jak jest potrzebna – oznajmił premier Mateusz Morawiecki. *(jap)* ©℗

ROSJA NIE CHCE ODDAĆ WRAKU

Kreml nie chce zwrócić wraku Tu-154M, który w 2010 r. rozbił się pod Smoleńskiem. Rosja lekceważy tym samym rezolucję Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, wzywającą Rosję do zwrotu Polsce wraku maszyny, na której pokładzie zginęło 96 osób, w tym Lech Kaczyński. „Pryncypialne stanowisko Federacji Rosyjskiej polega na tym, że nie uważamy się za zobowiązanych decyzjami Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy podjętymi w okresie wymuszonego nieuczestniczenia delegacji rosyjskiej w pracy Zgromadzenia" – oznajmiła Rosja. *(jap)* ©℗

eprasa.pl 2c83a54b18

Każda złotówka, którą przeznaczasz na gry liczbowe LOTTO, to 19 groszy dla sportu i kultury.

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Spalony

U początków sporu o Sąd Najwyższy zażartowałem, że kiedy pani Gersdorf i inni sędziowie zostaną ostatecznie zmuszeni do odejścia, na odchodne podpalą swoje biurka i cały w ogóle gmach. To znaczy, wydawało mi się, że zażartowałem. W istocie, po raz kolejny niestety, po prostu trafnie przewidziałem przyszłość.

Dziecko widzi, że nikt nie broni tu sądu jako takiego, ale jego „peowskości"

Może nie dosłownie, ale to właśnie czynią owi tajemniczy „ktosie", o których szczerze opowiedziała prof. Gersdorf, że „przekonali ją", iż „jest ostatnim bastionem oporu". Ze wspomnianego wywiadu wynikało bowiem, że prezes SN najpierw zawarła kompromis: ona uszanuje nowe prawo i złoży wymagane nim oświadczenie o woli dalszego orzekania mimo osiągnięcia wieku emerytalnego, a prezydent oświadczenie jej (a zapewne i innych sędziów w tej samej sytuacji) przyjmie.

Od kiedy jednak pani Gersdorf, która już wcześniej dała się poznać jako osoba, delikatnie mówiąc, chwiejna, uznała się za „bastion" i wypowiedziała prawu wojnę, jej efekt może być tylko jeden – zniszczenie Sądu Najwyższego jako autorytetu prawnego. Sędziowie, sądząc we własnej sprawie, brną w sztuczki i kruczki prawne, „pytania prejudycjalne" i „zabezpieczenia", którymi żonglowanie przystoi cwanemu „papudze", ale nie sędziom, zwłaszcza Sądu Najwyższego. A już nieuznanie wycofania przez ZUS zażalenia, które było do tych sztuczek pretekstem, to po prostu kuriozum. Niech sobie państwo wyobrażą, że podczas sprawy rozwodowej małżonkowie pogodzili się i wycofali pozew, a tu sędzia oznajmia: kierując się pani „słusznym interesem", oddalam wasz wniosek i orzekam rozwód. A skądinąd wszyscy wiedzą, że sędzia sam do rozwiedzionej uderzył w konkury.

Jakkolwiek by sędziowie SN kręcili przepisem o „uzasadnionym interesie ubezpieczonego", zrobili właśnie coś takiego. Na dodatek zupełnie już jawnie występują na demonstracjach, agitują w politycznych programach i zapraszają bojówkarzy totalnej opozycji do oflagowywania budynku sądu i nękania nowo mianowanych, a więc „PiS-owskich" kolegów.

Dziecko widzi, że nikt nie broni tu sądu jako takiego, ale jego „peowskości". I ta partyjność już się od instytucji nie odklei. Ktokolwiek wygra (sądzę, że raczej władza), ten zatknie swój sztandar na ruinach najwyższego prawnego autorytetu. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Coś tu nie działa

Pierwszą turę wyborów samorządowych mamy już za sobą i niewątpliwie miała ona kilka zalet. Na przykład kolejny raz można było się przekonać, co w Polsce nie działa.

Na przykład prokuratura. Ostatnie dwa tygodnie kampanii pełne były – za sprawą TVP – ujawnianych nagle, kompromitujących polityków opozycji, nieznanych dotąd nagrań z tzw. afery podsłuchowej. Dobrze, że wypłynęły. Problem w tym, że prokuratura przez pięć lat, wiedząc, że „są na rynku", nie potrafiła bądź nie chciała do nich dotrzeć. Lektura 43 tomów akt „afery podsłuchowej" pokazuje też, że w zasadzie śledczy nie próbowali też dociec, kto stał za nielegalnymi podsłuchami.

Nie sposób nie odnieść wrażenia, że owe taśmy TVP – kompromitujące dla polityków PO i PSL – „odpalała" po to, by przykryć materiały – publikowane dla odmiany przez Onet, tyle że niewygodne dla Morawieckiego i PiS. Dziennikarze zastępują polityków w kampanii? Tutaj też coś nie działa. Podpowiem – standardy dziennikarskie. Sęk w tym, że o ile TVP publikowała nieznane dotąd materiały, o tyle Onet „ujawniał" materiały z jawnych akt, przedstawiając je w oderwaniu od całości i kontekstu.

Ich znaczenie? Kiedy w 2013 r. dziennikarze „Wprost" ujawnili sensacyjne nagrania, natychmiast bliskie PO media zaczęły przekonywać, że nagrano także polityków PiS.

Jak wynika z akt śledztwa, wówczas Jacek Krawiec, bliski Donaldowi Tuskowi biznesmen, wysłał do jednego z „kelnerów" SMS – z pytaniem: „Podobno z PiS też bywali?". Dostał odpowiedź: „Cuda piszą". Rozczarowany biznesmen zareagował: „Wiadomo. Afera totalna to wymyślają cuda". I to mogłoby być najlepszą puentą dla onetowych „rewelacji" o Morawieckim. ©℗

eprasa.pl 2c83a54b18

FOT. FOTOLIA

PPK – pierwszy plan każdego z nas

Aż 75 proc. Polaków nie gromadzi kapitału na przyszłość. Nie odkładamy pieniędzy, licząc, że „jakoś to będzie". Tymczasem demografia jest nieubłagana – nasze świadczenia emerytalne będą coraz niższe. Program Pracowniczych Planów Kapitałowych (PPK) oznacza dodatkowe środki na przyszłość dla wielu z nas

To dlatego aż 66 proc. pracowników dobrze ocenia nowy pomysł rządu dotyczący PPK. 97 proc. z nich za główną ich zaletę uważa, że będą dziedziczne i prywatne.

Ekonomiczna ekipa Mateusza Morawieckiego chce przywrócić zaufanie Polaków do solidnego oszczędzania na starość. Dzięki nowej inicjatywie osoba zarabiająca 3 tys. zł brutto może w ciągu 40 lat pracy odłożyć dodatkowo ponad 200 tys. zł. Plan jest prosty. Pracodawca odkłada na naszą emeryturę 1,5 proc. naszej miesięcznej pensji. Skarb Państwa dokłada nam 250 zł na start plus 240 zł rocznie. My dodajemy do tego 2 proc. naszego wynagrodzenia. Środki będą inwestowane przez sprawdzone, ściśle nadzorowane instytucje finansowe. W każdej chwili możemy zrezygnować z oszczędzania i odebrać wpłacone przez nas i pracodawcę środki (po opłaceniu należnych podatków). Możemy też zwiększyć wpłaty swoje i pracodawcy do łącznie 8 proc. wynagrodzenia. Co więcej, to są realnie nasze pieniądze, których nikt nam nie odbierze. Po ukończeniu 60. roku życia możemy zacząć wypłacać je stopniowo – 25 proc. od razu, a resztę przez minimum 10 lat bez żadnych podatków i opłat. PPK będą wprowadzane stopniowo przez 2 lata, począwszy od największych firm, od 1 lipca 2019 r.

Postanowiliśmy policzyć, ile rzeczywiście możemy zaoszczędzić i na jaki dodatkowy dochód możemy liczyć po ukończeniu 60. roku życia, zakładając podstawowy poziom wpłat do PPK i stopę zwrotu z inwestycji w okresie inwestowania na poziomie 3,5 proc. rocznie.

Zakładamy, że osoba przystępująca do PPK w lipcu 2019 r. ma 40 lat i zarabia 3 tys. zł brutto. Dostanie ona od pracodawcy 45 zł miesięcznie. Ze swojej składki będzie wpłacać 60 zł. Do tego dojdzie 250 zł premii podstawowej i 240 zł rocznie od państwa. Łącznie wyjdzie 57 tys. zł oszczędności w całym okresie oszczędzania. Dzięki temu, nawet przy tak późnym momencie rozpoczęcia odkładania, jednorazowa wypłata wyniesie 14 tys. zł, a miesięczna kwota aż 410 zł przez 10 lat.

A jak wygląda to w przypadku osoby nieco bardziej majętnej, mającej już 40 lat?

Dajmy na to, że nasz pracownik na etacie (lub umowie-zleceniu, bo one też będą objęte rządowym projektem) zarabia 6 tys. zł. Składka pracodawcy oscyluje w granicach 90 zł, składka pracownika – 120 zł, a odłożone pieniądze to ponad 106 tys. zł! Czyli wypłata jednorazowa z PPK wyniesie 27 tys. zł, a miesięczne świadczenie wyniesie ok. 760 zł.

– 75 proc. Polaków nie oszczędza na starość – tłumaczy minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska. – Czy to znaczy, że nie chcą? Nie, najczęściej odpowiada za to trudna sytuacja materialna. To nowe rozwiązanie, to nowa jakość i nowy sposób długoterminowego oszczędzania, który pozwoli nam uzupełnić tę lukę – uważa Rafalska.

Rządowy projekt przewiduje, że do PPK mogą zapisać się wszyscy Polacy w wieku od 18 do 55 lat, którzy są aktywni na rynku pracy. W sumie to aż ponad 11 mln osób – 9 mln pracujących w sektorze prywatnym, 2 mln w sektorze publicznym.

Nasze oszczędności pobudzą także całą polską gospodarkę – polski kapitał może zastąpić zagraniczny, który na polskiej giełdzie oczekuje jedynie szybkich zysków i zwrotów kapitału.

– W ciągu dziesięciu lat państwo polskie wpłaci co najmniej 35 mld zł na prywatne konta emerytalne przyszłych emerytów, a prawdopodobnie będzie to 40 mld zł – uważa premier Mateusz Morawiecki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Pawlak demaskuje wielki spisek

Polska polityka A.D. 2018 składa się głównie z odruchów warunkowych. Twardy elektorat jest wytrenowany lepiej niż pies Pawłowa. Opozycja krzyknie: „Sądy! Konstytucja!" – i natychmiast grupa nawiedzonych pojawia się pod Sądem Najwyższym ze stosownymi transparentami. PiS zagrzmi: „Niemcy! Targowica!" – i reakcja betonu jest równie natychmiastowa. Od razu pojawia się oczekiwany schemat myślowy: źli Niemcy chcą zniewolić Polskę, która wstaje z kolan i dlatego się im nie podoba, a na niemieckim pasku – wiadomo, kto idzie: targowica medialna i polityczna.

Opinia – przypomnę – nie jest tym samym co fakty i niczego nie dowodzi

Pies Pawłowa, jak wiadomo, reagował na światło i dzwonek – zaczynał się ślinić. Dzwonek i lampka zostały więc uruchomione w ubiegłym tygodniu przez rządowe media w postaci nagrania z Waldemarem Pawlakiem w roli głównej. Były premier stwierdza, że Niemcy zainwestowali w część polskich mediów, bo te mają ogromny wpływ na Donalda Tuska. Ileż tu mamy bodźców! Jest zły Tusk, są złe „niemieckie" media, które dziś nie wspierają najwspanialszego rządu tysiąclecia, a gdzieś w tle pobrzmiewają ostatnio powtarzane przez polityków PiS deklaracje w sprawie dekoncentracji, kiedyś śmielej zwanej repolonizacją.

Gdy jednak przyjrzeć się słowom Pawlaka bliżej, nic z tej opowieści nie zostaje. Po pierwsze – wspominany przez byłego premiera „Fakt" powstał w 2003 r., „Newsweek Polska" zaś – w 2001, a więc grubo przed tym, jak Donald Tusk objął rządy. Zatem teza, że Niemcy po to te pisma stworzyli, aby wpływać na Tuska, jest z lekka dyskusyjna. One już istniały, gdy Tusk doszedł do władzy, i nie potrzebowały specjalnych inwestycji. Po drugie – z nagrania dowiadujemy się jedynie, jaka jest opinia Pawlaka w sprawie wrażliwości Tuska na media. Opinia – przypomnę – nie jest tym samym co fakty i niczego nie dowodzi. Po trzecie – wyjątkowe wyczulenie polityków na media nie jest niczym nadzwyczajnym. Mają tę cechę też dziś rządzący.

Interpretacja, zgodnie z którą na wspomnianym nagraniu Pawlak demaskuje jakiś wielki spisek, na który same jego słowa mają być dowodem, to – mówiąc kolokwialnie – odlot. Teza nieprzechodząca najbardziej podstawowej logicznej i dziennikarskiej weryfikacji. Serwowana jednak „ciemnemu ludowi" jako kolejna podnieta prowadząca do zintensyfikowania plemiennej wojenki sprawdza się wybornie. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Sympatyczne zwierzątka

Historycy, podsumowując rządy krwawych reżimów, po latach badań wydają czarne księgi. A ponieważ żyjemy w czasach kaczyzmu-totalitaryzmu, dzisiaj nie mogło być inaczej. „Już są, gorące bułeczki prosto z drukarni. »Czarna księga trzech lat rządów PiS«. Jutro w sprzedaży razem z »Gazetą Wyborczą«. Do tego plakat KONSTYTUCJA gratis" – ogłosił dumnie Jarosław Kurski.

Internauci zaczęli się włączać w ambitny projekt. „Supergadżety! Dorzućcie poradnik »Jak rozpoznać fake news« opracowany przez Wojciecha Czuchnowskiego we współpracy z Sokiem z Buraka, smycz uszytą w barwach licznych odznaczeń generała Jaruzelskiego, długopis z hasłem »Dosyć dyktatury kobiet« i przypinkę #WolneSądy z wizerunkiem Igora Tulei" – zasugerował Mateusz Parys. I tylko niektórzy malkontenci nie uwierzyli w szczerość intencji. „Widzę nazwisko #Kurski i myślę #propaganda. Imię nieważne" – odparła jedna z twitterianek.

W tym sensie obie strony pędzą w wyrównanym wyścigu „o złotą patelnię" propagandy. Czasami ktoś się wybija, np. lider PO porównujący PiS do insektów. „Jarosław Sellin w »Faktach po Faktach« ma pretensje do Grzegorza Schetyny za szarańczę? A kto obsiadł Państwo i je okrada? Wolne żarty!" – bronił partyjnego lidera Paweł Zalewski.

Ciekawszą taktykę obrała inna posłanka. „Pani Marta Globik z PO mówi w Polsat News, że z definicji szarańcza to »sympatyczne zwierzątka, które wszystko zjedzą«. Serio" – raportował Kuba Jarecki. „Swoją drogą, jeśli dla PO szarańcza jest sympatyczna, to aż boję się myśleć, jakie są niesympatyczne zwierzęta" – zastanawiał się Michał Kolanko. Wątpliwości rozwiał Jan Grabiec. „Rzecznik PO w TOK FM pytany o słowa Schetyny o »pisowskiej szarańczy« odparł: »Nasi wyborcy mówią nam, że mówimy zbyt intelektualnie. Dlatego szukamy prostego języka«" – zacytował Michał Wróblewski.

Na szczęście, gdyby ktoś myślał, że szarańcza nie jest sympatyczna, z wyjaśnieniami pospieszył Bartosz Wieliński. W przerwie od pisania czarnej księgi stwierdził, że: „W słowach #Schetyna o #szarańcza nie ma styczności z praktykami nazistowskiej propagandy", publikując „swój komentarz do histerii #PiS". Uff, kamień z serca. ©℗

eprasa.pl 2c83a54b18

Gwarancja z dotacją

BGK
BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

JUŻ TERAZ
DOTACJA
NA SPŁATĘ ODSETEK

Wystarczy kilka dobrych ruchów... i wszystko się dobrze ułoży.

PAŃSTWOWY BANK ROZWOJU

BGK.PL

Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego i ma charakter wyłącznie informacyjny. Objęcie kredytu gwarancją uzależnione jest od indywidualnej decyzji banku udzielającego kredytu.

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl 2c83a54b18

FOT. PAWEŁ GROMADA

NAJLEPSZY TASIEMIEC EVER!

W związku z terminem kolejnej rozprawy sądowej postanowiła o sobie przypomnieć Isabel, do niedawna miłość Kaza Marcinkiewicza, a dziś chyba jego największy wróg. Isabel walczy bowiem w sądzie o alimenty od byłego męża, które ten niespecjalnie ma ochotę płacić. I tak procesują się już ładnych parę lat. Isabel zaś wykorzystuje ten czas głównie na udzielanie wywiadów na temat Kaza i swojego z nim życia. Nawet książkę o tym napisała. – Straciłam kilka lat, ale wierzę, że jeszcze wiele pięknych chwil przede mną. To pokazuje dobitnie, jak dwulicowy może być człowiek. Że może mówić jedno, a robić drugie. Pan Marcinkiewicz publicznie mówi o prawości, a sam jest na bakier z prawem. Gdyby od razu załatwił nasze sprawy elegancko, zgodnie z umową uregulował sprawy podziału majątku i regularnie płacił zasądzone alimenty, sprawa naszego rozwodu nie musiałaby trafić na łamy gazet. Ale jest, jak jest – wyznaje Isabel. I dodaje, że nie będzie tolerować kogoś, kto „łamie prawo i słowo". – Z tytułu podziału majątku jest mi winien ok. 11 tys. zł, z tytułu alimentów zaś ponad 90 tys. Są to kwoty ogromne dla mnie, bo z racji swojego zdrowia nie mogę podjąć pracy i po prostu nie mam za co żyć – wylicza Isabel. – Wzruszenie pozostało co najwyżej na wspólnych zdjęciach. Zamknięcie drzwi za związkiem z panem Marcinkiewiczem będzie dla mnie wielką ulgą – konkluduje. Dla Isabel ulga, dla reszty Polaków tragedia! Bo jak nazwać zapowiedź, że nie będzie więcej odcinków ulubionego tasiemca? Płakać się chce na samą myśl. Cała nadzieja w wolnych sądach! To znaczy w powolnych.

KAŻDY MIERZY SWOJĄ MIARĄ?

Aktor Olgierd Łukaszewicz dołączył do szerokiego grona gwiazd, które postanowiły nie milczeć w sprawach politycznych. W wywiadzie ostro krytykuje Jarosława Kaczyńskiego, który „jest autorem tego wszystkiego, co się dzieje", i ostro wypowiada się na temat ludzi, którzy na PiS głosują. – To jest człowiek, z którym nie da się dyskutować. Zasadnicze pytanie brzmi: Dlaczego uwiódł tylu ludzi? – zastanawia się. – Polacy są niedouczeni, wystaje im słoma z butów, są megalomanami, mają problem z porozumiewaniem się z innymi – wyjaśnia. Nie wiemy, jakich konkretnie Polaków ma na myśli pan Łukaszewicz, ale skoro obraca się w świecie aktorów i gwiazd, to pewnie na tej podstawie ocenia. W sumie nie ma powodów, by mu nie wierzyć.

INSPIRUJĄCE WYZNANIA

FOT. PAWEŁ MAZUREK/STUDIO69/FORUM

Anna Lewandowska zachęca młode kobiety, by nie bały się zacząć gotować, bo, wbrew pozorom, to fajne i proste zajęcie. Feministki zbladły i pomdlały, ale Ania dalej wspomina swoje początki małżeństwa z Robertem, gdy nie potrafiła ugotować nawet makaronu! – To wcale nie jest trudne, kiedyś nawet ja nie wiedziałam, jak ugotować zwykły makaron czy zupę pomidorową, tak serio, serio! – wyznaje Ania. – Pamiętam ten moment, kiedy zamieszkaliśmy w Poznaniu, a Robert poprosił: „Kochanie, zrób mi dobry obiadek". Sama śmieję się w środku... jakim wyzwaniem dla mnie było ugotowanie „dobrego obiadu". Udało się! Podjęłam wyzwanie i dziś po wielu latach robię całkiem przyzwoity (Robert narzeka bardzo rzadko, haha) – dodaje w swoim wpisie. To wspaniale, że znani i lubiani dzielą się z nami swoimi życiowymi sukcesami. To takie inspirujące! Czekamy na kolejne wyznania. Może ktoś nauczył się ostatnio odkurzać? Albo parzyć herbatę?

PIS-OWSKA NAWAŁNICA

Aktorka Dorota Stalińska znana jest ze swojego politycznego temperamentu, który objawiła uż na demonstracjach antyrządowych, gdzie głosiła płomienne przemówienia. Przed wyborami samorządowymi oznajmiła, że chce znów zostać radną sejmiku Mazowsza. Aktorka reklamowała się jako „niezależna kandydatka z listy PSL". A jej program to powstrzymać PiS. – Ponieważ w minionych wyborach samorządowych kilkanaście tysięcy ludzi poparło moją kandydaturę do sejmiku mazowieckiego... moim obywatelskim obowiązkiem jest wystartować i w tych wyborach, w których musimy ochronić samorządy przed PiS-owską nawałnicą – grzmiała Stalińska. Nawałnicą, uff, dobrze, że nie szarańczą. ©℗

eprasa.pl 2c83a54b18

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, rzecznik PO Jan Grabiec powiedział, iż słyszy od ludzi, że Platforma używa zbyt intelektualnego języka.

Dobrze przeczytaliście. Wygląda więc na to, iż mamy rozwiązanie tajemnicy słabych wyników Zjednoczonej Opozycji w sondażach (of kors poza tym, iż mamy terror i ludzie boją się odpowiadać, co naprawdę myślą). Po prostu PO komunikuje się w ten sposób, że jest to niezrozumiałe dla przeciętnego członka KOD.

Potrzeba więc, nie tylko z myślą o wyborach, aby przekaz uprościć i uspójnić, np. w kierunku wytykania błędów pisu językiem odintelektualizowanym, np. „rząd dał doopy" – i wszyscy powinni zrozumieć.

Wybory samorządowe to w ogóle największy i najważniejszy dowód na to, iż w tym kraju pogwałcone są zasady demokratycznego państwa prawa.

Otósh od jak dawna rządzi pis? Od trzech lat. W tym czasie nie zostały w tym kraju przeprowadzone żadne wolne wybory, które – jak wiadomo – są największym wyznacznikiem demokracji, o ile wygrywa ten, kto powinien.

Przez trzy lata fashysm unikał demokratycznej weryfikacji i wolnych wyborów, a jak już zdecydowane działania zjednoczonej opozycji doprowadziły do rozpisania wyborów, to były to wybory szybkie – jeden dzień i po sprawie. W dodatku wyznaczone pod koniec października, akurat w czasie ochłodzenia, przez co w drodze do głosowania musieliśmy się mierzyć z zimnem, wiatrem i ze smogiem.

Nie znamy jeszcze of kors wyników, ale się ich domyślamy. Te wybory to parodia demokracji.

Udało się, obejrzeliśmy film „Kler". Jako iż w tym kraju kler jest zbrojnym ramieniem partii, musieliśmy jednak swoje przeżyć, iżby bezpiecznie dotrzeć do kina.

Najpierw musieliśmy więc ominąć patrole księży, którzy krążyli przed wejściem do małego kina studyjnego, w którym mieszczą się tylko cztery osoby (i to pod warunkiem że stoją) i w którym nawet projektor jest zrobiony z palet, a kraftowe piwerko jest droższe niż bilet.

Księża zaczepiali nas najpierw niewinnie słowami: „Psst, młodzi, nie chcecie wpaść na jakieś rekolekcje?". A kiedy ignorowaliśmy ich milcząco, posuwali się do akcji bardziej bezpośrednich, np. wykrzykując w nasze strony egzorcyzmy.

Już w samym budynku kina ksiądz częstował nas wódką, licząc, iż w stanie upojenia alkoholowego niczego nie zapamiętamy z treści filmu. Naprawdę musieliśmy przejść wiele trudności, iżby w tym kraju, podkreślmy, rządzonym przez wszechwładny episkopat, móc przeżyć doświadczenie graniczne ze sztuką wysoką. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

CO WSPÓŁCZEŚNIE NAJBARDZIEJ ZAGRAŻA LUDZKOŚCI?

44,95 zł

Przeżyj niesamowitą przygodę. Wybierz się w niecodzienną podróż w dwa różne wymiary - w przestrzeń kosmiczną i w głąb siebie. Jakie są granice kontroli społeczeństwa, ludzkiej wytrzymałości i postępu technologicznego? Odkryj swoje człowieczeństwo, stań w prawdzie o ludzkości. Sięgnij... nieba.

Szukaj na www.edycja.pl i w dobrych księgarniach

ŚWIĘTY PAWEŁ ksiegarnia@edycja.pl 605 313 543

eprasa.pl 2c83a54b18

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

No i po wyborach. Wszyscy wygrali. A skoro tak, to wszystkim należą się gratulacje, wstęgi, kwiaty oraz buźka. Jesteśmy jednak konserwatywni, więc całować jak leci nie będziemy. Rafcia na pewno nie, niech go całuje Ola Gajewska. Patryka też nie będziemy całować, bo drapie.

Dla wszystkich analizujących wybory samorządowe serio mamy ważne przypomnienie. Pół roku temu Kaczor Dyktator postawił przed partią następujące zadanie: wziąć osiem sejmików. Miesiąc przed wyborami przebąkiwano, że może sześć wystarczy. Biorąc pod uwagę, że w podkarpackim PiS rządził już wcześniej, krakowskim targiem powiemy, że siedem. A teraz patrzcie sobie w słupki i analizujcie, to dowiecie się, co teraz zrobi Kaczor Dyktator.

Fotki czekają. Konkurs na naprawdę odważny portal lub tabloid uważamy za otwarty

Apropos dyktatury. Zmartwiliśmy się, gdy usłyszeliśmy, jak Kaczor Dyktator publicznie oświadczył, że lubi być nazywany dyktatorem. Ponieważ w naszej rubryce nazywamy go tak od niepamiętnych czasów, odebraliśmy te słowa jako akt bezprecedensowego poparcia ze strony władzy i okrutnie nas to zaniepokoiło. Na szczęście Kaczor Dyktator wyjaśnił, że ksywa go cieszy, bo jest „aktem szaleństwa". To już lepiej. Mamy oficjalny placet na szaleństwo, i to od dyktatora.

Ujawniamy, kto był najbardziej nieznośnym uczestnikiem kampanii samorządowej. To czerwoni bracia, którzy przysłali przez ostatni miesiąc dziennikarzom bimbalion SMS-ów, czasem w odstępach kilkuminutowych. Nic lepiej nie nastraja dziennikarzy do jakiegoś komitetu wyborczego jak seria SMS-ów w piątek o godz. 21, między browczykiem a meczykiem.

Powiemy też o najbardziej pamiętnej naszym zdaniem, symbolicznej scenie kampanii. Piątek rano. Śniadanko. Trwa 24-godzinna akcja Rafcia na finał, ale pożywić się trzeba. W barze siedzą rozparci jak tureccy sułtani Rafcio i Grzesiek Schetyna. A jedzonko do stolika przynoszą im potulnie kobitki, znaczy Kaśka Lubnauer i Basia Nowacka. I dobrze, i tak powinno być, w każdej europejskiej, nowoczesnej, postępowej partii tudzież koalicji!

Apropos sułtana Grześka. Bardzo, ale to bardzo ciekawe zawiadomienie leży w prokuraturze na Chocimskiej w Warszawie. Otóż były poseł PeŁo, niejaki Norbert Wojnarowski, zarzuca Grzegorzowi Schetynie, że był organizatorem procederu nielegalnego nagrywania stronników Jacka Protasiewicza. W dodatku Wojnarowski wie, co mówi, bo sam został nagrany. Coś wam to przypomina? No cóż, niejaki Marek Falenta dostał za takie zabawy dwa i pół roku.

Apropos taśm. Czekamy na efekty uboczne decyzji Sądu Najwyższego o udostępnieniu złOnetowi jak leci wszystkich materiałów z afery taśmowej. Pal sześć, że zrobił to wbrew własnemu orzecznictwu. Ciekawsze jest to, że zdumieni dziennikarze złOnetu otrzymali także sekstaśmy oraz dość frywolne zdjęcia, które znalazły się przypadkowo na jednym z nośników. Fotki czekają. Konkurs na naprawdę odważny portal lub tabloid uważamy za otwarty.

Wracając do opozycji. Po mieście krążą ludzie rozpowiadający, ile to nazwisk z Nowoczesnej Kropki wybiera się do nowej partii Biedronia. My akurat słyszeliśmy inaczej. To znaczy niektórzy się wybierali, ale im przeszło, kiedy odkryli, że Robik Biedroń cierpi na ciężką chorobę. Ta choroba to petrulioza, zwana czasem rysiozą. A ludziska z Nowoczesnej Kopki jednego Ryśka już przetrwali, więc nic dziwnego, że do nowego się nie śpieszą.

Wymieniamy ku przestrodze i nauce najważniejsze objawy petruliozy vel rysiozy. Nerwowe nietolerowanie wokół siebie kogokolwiek, kto posiada choćby ćwierć własnego poglądu. Ogromna potrzeba odbierania hołdów od świtu do nocy. Głębokie przekonanie o własnej wielkości i wyjątkowości. Oraz skłonność do walenia bon motów w najlepszym rysiowym stylu, czego słowa o tresowaniu Nowackiej były jeno delikatnym zwiastunem, bo Robik gdy się rozkręci, przebija Sześciu Króli bez trudu. Tak przynajmniej słyszeliśmy od wiewiórek z okolic Robika.

Gdyby Robik Biedroń był politykiem prawicowym i konserwatywnym, wszystko dałoby się jakoś wytłumaczyć. Na przykład, że zachowuje się tak, bo ma misję od Boga. W przypadku Robika to nie wchodzi w grę. A misja od Wielkiego Tęczowego Manitou? Przyznacie, że to już nie brzmi tak dobrze.

eprasa.pl 2c83a54b18

Dementujemy prasowe publikacje, z których wynika, że podobno Polska jest maruderem w dziedzinie elektromobilności. Zależy kto i gdzie, bo na przykład Kancelaria Prezydenta Andrzeja Sebastiana jest liderem. Nie dość, że posiada elektryczne auto, to jeszcze codziennie go używa. Samochód kursuje wahadłowo między Krakowskim Przedmieściem a Wiejską i przewozi ważne dokumenty, a czasem nawet jakiegoś pasażera. Nie, nie chodzi o Andrzeja Sebastiana. W pałacu mają nawet dokładny rozkład jazdy z godzinami kursów.

Skoro było o tym, co jest u Andrzeja Sebastiana, to teraz o tym, czego nie będzie. Otóż raczej nie będzie amnestii na 100-lecie niepodległości Polski. Co oczywiście musi zmartwić naszych wiernych czytelników siedzących za kratami.

Pomysł co prawda jeszcze tu i ówdzie się kołacze, są nawet hierarchowie kościelni, którzy go wspierają. Ktoś sobie jednak przypomniał falę buntów, jakie wybuchły w więzieniach po ostatniej amnestii z 1989 r. No i nie ukrywajmy – niebagatelną przeszkodą w amnestii jest to, że siedzi tam przede wszystkim elektorat Bronisława i PeŁo. Proszę spojrzeć na wyniki dowolnych wyborów w zamkniętych obwodowych komisjach wyborczych.

Jak wiadomo, od dawna pół rządu plus całe prezydium Sejmu startują za moment w wyborach do europarlamentu

My o rekonstrukcji. Kolejnej. Znaczy rządu. Trochę jesteśmy zdziwieni sensacyjnymi doniesieniami, że zmienią się ministrowie. Gdyż, jak wiadomo, od dawna pół rządu plus całe prezydium Sejmu startują za moment w wyborach do europarlamentu. Trudno zatem, żeby potem europosłowie byli jednocześnie ministrami. A skoro jedni ministrowie odejdą, to pojawią się nowi, logiczne. Sensacja jest więc, jak państwo widzą, jesiotrem drugiej świeżości.

Oczywiście ciekawsze pytanie brzmi: „Kiedy?". Szkoła falenicka uważa, że jeszcze przed grudniem, żeby w nowy rok i nową kampanię wejść z gotowymi listami oraz nowym gotowym rządem. Szkoła otwocka twierdzi, że nikt normalny nie rezygnuje z takiej przewagi, jaką daje stanowisko ministra w kampanii. Proponujemy inne spojrzenie. Eurowybory pod koniec maja, więc rekonstrukcja w czerwcu? A kto normalny wymienia ministrów pięć miesięcy przed wyborami do Sejmu? Chyba tylko Ewka Kopacz. A przyznacie sami, to nie jest najlepszy wzór do naśladowania.

Skoro już o sprawach zagranicznych. Na ukończeniu jest już poselski projekt nowelizacji ustawy o służbie zagranicznej. Stanowić ma ona, że żaden kapuś, a tym bardziej oficer bezpieki, nie ma prawa pracy w MSZ. Najbardziej radykalni PiS-owcy proponowali, by do katalogu wrażych organizacji włączyć jeszcze PZPR i ich partie sojusznicze. Jednak ktoś im uświadomił, że pewnego dnia Staszek może będzie chciał się sprawdzić w dyplomacji. Staszek Piotrowicz, oczywiście. ©℗

REKLAMA

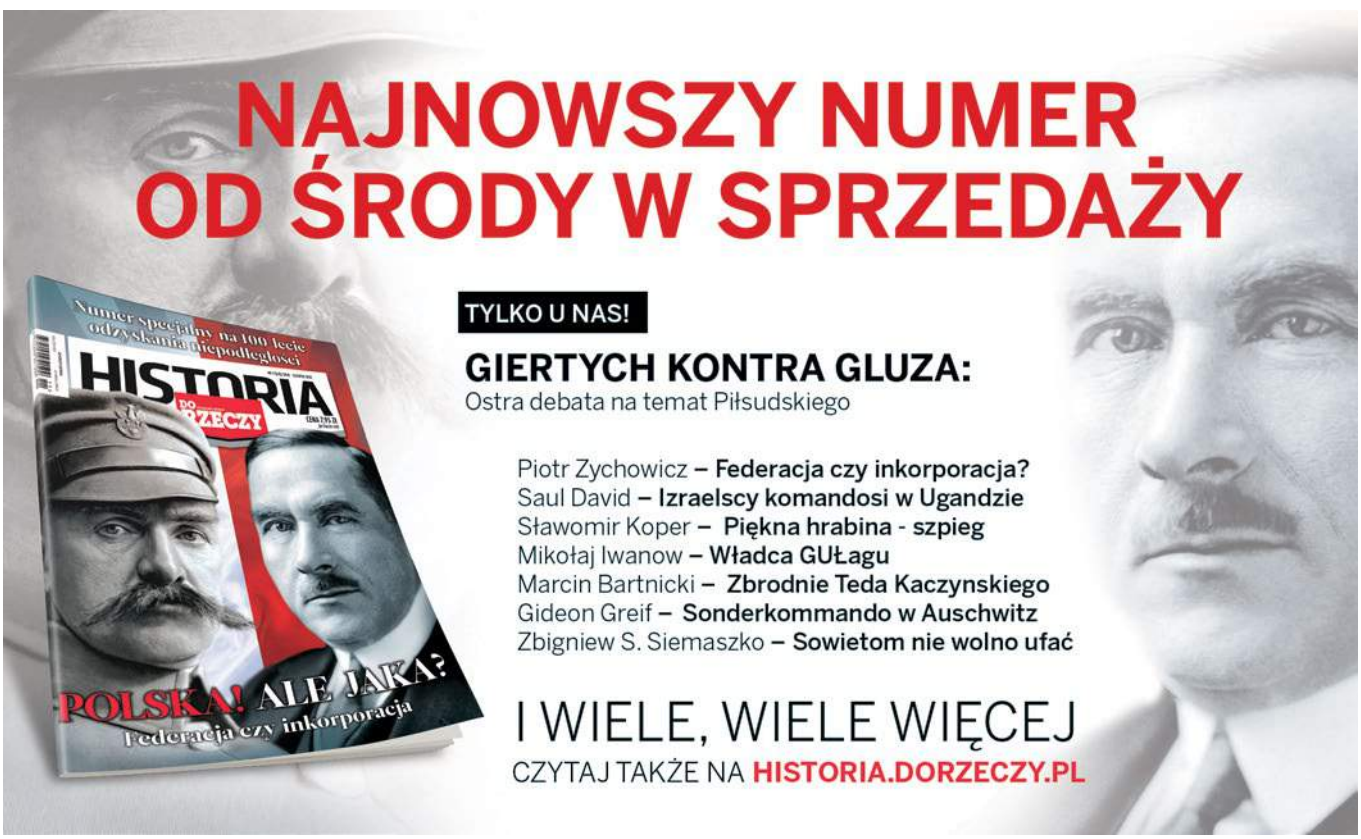

eprasa.pl 2c83a54b18

Homoterror

Tomasz P. Terlikowski

Homoseksualizm to jeden z najbardziej zmistyfikowanych problemów w przestrzeni publicznej. Progejowska propaganda jest tak silna, że wypiera z debaty publicznej wszystko, co mogłoby zaciemnić jednoznacznie różowy (lawendowy?) wizerunek homoseksualistów

Odbrązawianie historii, teraźniejszości, wizerunku osób publicznych jest od dawna ulubionym zajęciem rozmaitej maści lewicowców i liberałów. Z pasją szukają oni kochanek, rys na życiorysach, homoseksualnych wątków, a przynajmniej antysemityzmu u każdej aktywnej publicznie postaci. Nieustannemu procesowi odbrązawiania podlegają także najbardziej nawet podstawowe instytucje życia społecznego, takie jak naród (winny rzecz jasna wszystkich zbrodni nacjonalistów i nazistów), Kościół (który, jak wiadomo, jest najistotniejszym elementem budowania atmosfery strachu oraz tolerowania przestępstw seksualnych) i wreszcie rodzina (w której osoby słabsze – czytaj kobiety i dzieci – są nieustannie zastraszane, bite i torturowane przez rozwścieczonych mężczyzn w siatkowych koszulkach na ramiączkach).

Jest tylko jedna grupa, która z takiej krytyki jest zwolniona. To homoseksualiści. Ich krytykować, czy choćby przytaczać na ich temat badań, nie wolno, bo gdy ktoś to robi, jest nie tylko homofobem, lecz także prawdopodobnie ukrywającym się homoseksualistą. Żona, a nawet gromadka dzieci nikogo zaś przed takim oskarżeniem nie uchronią. Skąd to wiem? Z własnego doświadczenia, bo od dawna na różnych forach znajduję informację, że z pewnością jestem ukrytym gejem, który przedstawiając argumenty za heteroseksualnością i heteronormatywnością, chce ukryć własne skłonności.

Jednym słowem, jeśli choćby próbujesz pokazać, że zjawiska związane z homoseksualizmem są nieco bardziej

eprasa.pl 2c83a54b18

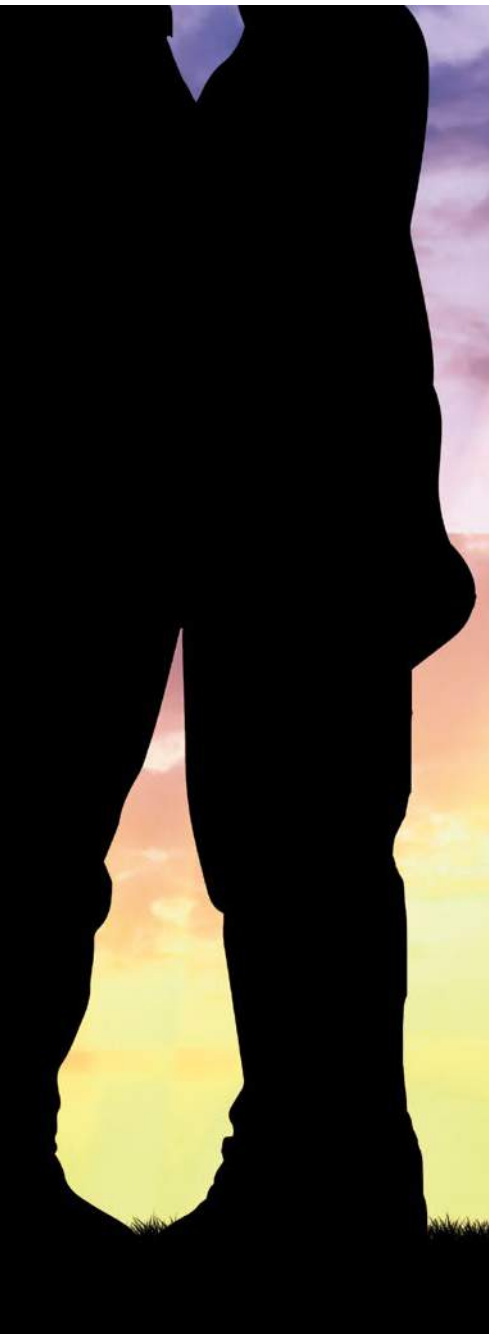

FOT. FOTOLIA

skomplikowane, niż to pokazują lawendowi propagandyści, to oznacza to, że sam masz problem z ukrywanym homoseksualizmem. A jeśli, nie daj Boże, protestujesz przeciwko propagandzie, to z pewnością posługujesz się mową nienawiści, której źródłem jest nienawiść do tego aspektu własnej istoty, który jest głęboko zepchnięty do podświadomości.

PEDOFILIA? NIE, HOMOSEKSUALIZM!

Nie inaczej rzecz wygląda przy dyskusji na temat problemów ze skandalami seksualnymi w Kościele. Nie wystarczy być zwolennikiem oczyszczenia wspólnoty kościelnej z brudów seksualnego rozpasania czy przestępstw seksualnych, ale trzeba jeszcze jasno deklarować, że przeszkadza nam wyłącznie pedofilia, która – i tu kluczowe zdanie, które zresztą znajdziemy także w katolickich mediach – nie ma nic wspólnego z homoseksualizmem. Problem polega na tym, że wystarczy pobieżne przyjrzenie się danym, by zobaczyć, że to kompletna bzdura, której nie da się obronić. Już na początku XXI w. było wiadomo, że ogromna większość skandali seksualnych w Kościele miała podtekst homoseksualny i w sensie ścisłym nie miała charakteru pedofilskiego. „Dominująca ilość przypadków wykorzystywania seksualnego nie obejmowała dzieci przed wiekiem dojrzewania, ale kilkunastoletnich chłopców i młodych mężczyzn często w kontekście szkolnym lub seminaryjnym" – zauważał George Weigel w znakomitej, dziś już nieco zapomnianej książce „Odwaga bycia katolikiem".

Identyczną opinię można wysnuć z raportu Instytutu im. Johna Jaya. Jego lektura pokazuje, że aż 81 proc. ofiar molestowania i nadużyć seksualnych było płci męskiej, a 78 proc. ofiar było w wieku dojrzałości seksualnej. Nie chcę przez to powiedzieć, że problemu nie ma, bo ogromna większość ofiar to byli nadal nastolatkowie lub bardzo młodzi, emocjonalnie niedojrzali mężczyźni, ale już tylko te dane pokazują, że istotnym problemem jest w Kościele homoseksualizm, ewentualnie efebofilia, a nie pedofilia. Identycznie wyglądała sytuacja w Irlandii czy Australii, a nawet w Niemczech. W Australii (choć tu rozmyto trochę wyniki) ponad 80 proc. ofiar stanowili chłopcy, niestety sposób podania wyników (średnia wieku wszystkich ofiar) nie pozwala stwierdzić, ilu z nich było dojrzałych seksualnie, a ilu nie. Niemcy, i to zaledwie kilka tygodni temu, podali identyczne dane, z których wynika, że najczęstszymi ofiarami przestępców w sutannach byli chłopcy, z których ponad połowa nie miała 13 lat, a reszta była na różnym etapie dojrzałości seksualnej. Co ciekawe, mimo politycznej poprawności w raporcie ujawnionym kilka dni temu przez niemieckie media wprost sugeruje się zwrócenie bacznej uwagi na homoseksualnych kleryków.

Co wynika z tych badań? Otóż wcale nie to, że – jak sugeruje lewica – księża mają łatwiejszy dostęp do chłopców i molestują każdego, kto im wpadnie w ręce. To wierutna bzdura, a każdy, kto bywa w świątyniach, wie, że jeśli jakiejś grupy płciowej jest w Kościele więcej, to są to kobiety. I to do tego stopnia, że wspólnota katolicka często określana jest mianem żeńskokatolickiej. A mimo to ofiarami są o wiele częściej chłopcy i młodzi mężczyźni. Jakby było mało, średnia statystyczna liczby osób homoseksualnych w społeczności to od 1,5 do 5 proc. Jeśli więc w Kościele mamy do czynienia z aż tak wysokim odsetkiem przestępstw homoseksualnych, to oznacza to prawdopodobnie dwie rzeczy: po pierwsze, nadreprezentację homoseksualistów wśród duchownych (a to akurat w USA czy Australii, co pokazują tamte badania, jest faktem), a po drugie, częstsze popadanie w tego rodzaju przestępstwa przez osoby homoseksualne (bo nikt nie sugeruje, że aż 80 proc. księży to homoseksualiści).

NIEKONTROLOWALNY HOMOSEKSUALIZM

Z czego wynikać może owa nadreprezentacja? Niekoniecznie z jakiegoś szczególnego upodobania homoseksualistów do dzieci, a raczej z tego – co pokazują rozmaite badania – że osoby homoseksualne o wiele słabiej kontrolują swój popęd seksualny, a rozpusta jest niejako wpisana w ich styl życia. Uprzedzam osoby o słabszych nerwach i bardziej wrażliwe psychicznie, że teraz będzie naprawdę ostro, ale nie ma innej drogi, by to pokazać, niż dane. A te są porażające. Jeszcze przed wybuchem pandemii AIDS (czyli w roku 1978) 75 proc. białych amerykańskich homoseksualistów miało ponad 100 partnerów seksualnych w czasie swojego życia. 15 proc. z nich deklarowało, że liczba osób, z którymi współżyli seksualnie, mieściła się pomiędzy 100 a 249; 17 proc. mówiło o mniej niż 500 partnerach seksualnych, 15 proc. o liczbie partnerów dochodzącej do tysiąca, a prawie 28 proc. o przekraczającej tysiąc osób. Po wybuchu pandemii liczby te nieco (ale tylko nieco) spadły, i to raczej nie wśród aktywnych członków grup gejowskich. Tacy działacze, jak pokazują wyniki badań z roku 2000 z Australii, deklarują, że w ciągu sześciu miesięcy poprzedzających badania mieli o ponad 50 partnerów więcej niż mężczyźni homoseksualni niezwiązani z grupami gejowskimi. To zaś oznacza, że „przyjęcie tożsamości gejowskiej może tworzyć większą

eprasa.pl 2c83a54b18

presję na jej członka, by był swobodny seksualnie" – podkreśla dr John R. Diggs.

Takie, a nie inne podejście do związków i życia seksualnego sprawia, że relacje homoseksualne są o wiele mniej trwałe. W „Radości seksu gejowskiego" (tak, na potrzeby czytelników „Do Rzeczy" z rosnącym obrzydzeniem zapoznałem się i z tą książką) jego autorzy wprost przyznają, że kłótnie, spory o wierność, skoki w bok (byle akceptowalne) są w homoseksualnych związkach raczej normą niż wyjątkiem i sugerują, by się z tym pogodzić. A ich radę potwierdzają w zasadzie wszystkie wyniki badań. Holenderscy naukowcy, którzy przebadali homoseksualistów żyjących w związkach partnerskich, ze zdziwieniem odkryli, że pozostający w stałym związku homoseksualista ma średnio ośmiu partnerów rocznie. Do podobnych wniosków dochodzą także badacze przychylni związkom gejowskim. I tak David P. McWhirter oraz Andrew M. Mattison w opracowaniu „The Male Couple" wskazują zaś, że spośród 156 przebadanych przez nich par tylko w siedmiu zachowano w ciągu pięciu lat wierność. Wyniki te można w pełni docenić dopiero, gdy uświadomimy sobie, że z amerykańskich badań wynika jednoznacznie, iż w związkach heteroseksualnych wierność pozostaje nie tylko jedną z najmocniej deklarowanych wartości, lecz także – w większości przypadków – jest ona zachowywana. Z badań na reprezentatywnej grupie 884 mężczyzn i 1288 kobiet, opublikowanych w „Journal of Sex Research", wynika, że 77 proc. żonatych mężczyzn i 88 proc. zamężnych kobiet dochowało wierność małżonkowi od momentu ślubu. A dane te znajdują potwierdzenie także w innych statystykach.

Twarde dane całkowicie jednoznacznie wskazują, że – zupełnie inaczej niż w związkach małżeńskich (czy nawet heteroseksualnych konkubinatach) – dla homoseksualistów wierność czy monogamia nie stanowią wartości (a dokładniej nie są to wartości realizowalne w tego rodzaju związkach). I nie wynika to wcale z braku akceptacji ich związków przez społeczeństwo, bo jak pokazuje przykład Holandii czy Szwecji, gdzie związki osób tej samej płci otrzymały już uprawnienia małżeństw, wcale nie wydłużył się tam czas trwania związków osób tej samej płci ani nie spadła liczba partnerów homoseksualistów.

PANDEMIA AIDS I HOMOSEKSUALIZM

Taki, a nie inny styl życia sprawia również, że homoseksualiści są narażeni na o wiele wyższe ryzyko zachorowania na rozmaite choroby przenoszone drogą płciową. AIDS, którego pandemia rozpoczęła się w środowiskach homoseksualnych, a później zaatakowała narkomanów, obecnie podobnie jest głównie chorobą homoseksualistów. Ponad połowa wszystkich zakażonych wirusem HIV to homoseksualiści, a wśród nowych zakażonych 63 proc. stanowią mężczyźni współżyjący z innymi mężczyznami. Takie informacje podaje amerykańska Centers for Disease Control. Znaczenie tych danych stanie się jasne, gdy uświadomimy sobie, że dotyczą one całej populacji, w której homoseksualiści stanowią zaledwie ok. 2 proc. Nadreprezentacja homoseksualistów wśród zakażonych jest tak wysoka, że Światowa Organizacja Zdrowia już kilka lat temu poprosiła, by osoby homoseksualne prewencyjnie przyjmowały leki antyretrowirusowe, które chronić je miały przed zakażeniem.

AIDS wcale nie wyczerpuje jednak zagrożeń zdrowotnych, z jakimi muszą zmierzyć się osoby homoseksualne. Lista chorób, na które o wiele częściej zapadają homoseksualiści niż normalni mężczyźni, jest bardzo długa. Na wywoływanego przez wirusy HPV raka odbytu homoseksualiści zapadają 10-krotnie częściej niż heteroseksualiści. Syfilis, choć występuje także wśród heteroseksualistów, o wiele częstszy jest wśród mężczyzn uprawiających seks homoseksualny. „Około 60 proc. przypadków syfilisu w minionym roku [chodzi o rok 2007] dotyczyło mężczyzn uprawiających seks z mężczyznami" – ostrzegało amerykańskie Center for Disease Control and Prevention (CDC). Z badań przeprowadzonych w Waszyngtonie wynikało, że aż 81 proc. chorych na syfilis to homoseksualiści. Homoseksualiści są także o wiele podatniejsi na wirusowe zapalenie wątroby typu B (które określa się niekiedy wręcz gejowskim zapaleniem wątroby). CDC podawało w roku 1988, że aż 21 proc. przypadków wirusowego zapalenia wątroby typu B zostało przeniesionych drogą seksu homoseksualnego (dla porównania drogą seksu heteroseksualnego zaraziło się 18 proc. chorych, co biorąc pod uwagę różnice w liczbie homo- i heteroseksualistów, pokazuje ogromne niebezpieczeństwo dla homoseksualistów zarażenia się tą ciężką chorobą). Homoseksualiści o wiele częściej niż heteroseksualiści zarażają się również wirusowym zapaleniem wątroby typu A (o wiele łagodniejszym w skutkach niż omawiane powyżej zapalenie wątroby typu B). W Nowym Jorku w 1991 r. 78 proc. zarażonych tą chorobą deklarowało, że jest homo- lub biseksualistami. Osoby uprawiające seks homoseksualny dopadają także choroby, których normalnie nie kojarzy się z seksualnością, choćby salmonella czy pasożyty układu pokarmowego (np. ameba i lamblia). Wirus HHV-8 (czyli wirus mięsaka Kaposiego) w Stanach Zjednoczonych wykrywany jest niemal wyłącznie wśród homoseksualistów, a to właśnie on w połączeniu z wirusem HIV (a niekiedy i bez niego) wywołuje jedną z form mięsaków Kaposiego (w latach 90. występowała u 10–15 proc. homoseksualnych mężczyzn), chorobę Castelmana i pierwotnego chłoniaka wysiękowego.

Twarde dane całkowicie jednoznacznie wskazują, że – zupełnie inaczej niż w związkach heteroseksualnych – dla homoseksualistów wierność czy monogamia nie stanowią wartości

RADOŚNI SAMOBÓJCY

Liczne choroby, nieustający brak zaspokojenia, a także świadomość, że związek jednopłciowy nie będzie trwał do końca życia (a także nieustający ból wywoływany zdradą czy odejściem), sprawiają, że homoseksualiści o wiele częściej (według niektórych badań nawet sześciokrotnie częściej) niż osoby heteroseksualne decydują się na samobójstwo. I chodzi nie tylko o nastolatków, którzy odkrywają u siebie tendencję homoseksualną, lecz także o starszych, skazanych na samotność czy o zwyczajnych homoseksualistów.

Szukając przyczyn tego zjawiska, badacze wskazują albo na presję społeczną, która utrudnia homoseksualistom odnalezienie się w społeczeństwie, albo na większą

eprasa.pl 2c83a54b18

liczbę partnerów seksualnych, związane z tym choroby, a także cierpienia spowodowane rozstaniami. To pierwsze wyjaśnienie jest często przywoływane przez aktywistów gejowskich, którzy chcą w ten sposób przekonać społeczeństwa o homofobii, która pcha homoseksualistów ku samobójstwom. Problem z tym wyjaśnieniem polega tylko na tym, że w krajach, w których nie tylko skutecznie zwalczono już homofobię, lecz także zakazano jakichkolwiek wątpliwości co do homoseksualizmu, odsetek samobójców wśród homoseksualistów wcale nie spadł.

Homoseksualiści o wiele częściej niż osoby heteroseksualne cierpią także na choroby psychiczne, depresje, agorafobię, napady paniki, a także nadużywają leków i narkotyków. I znowu tak jak poprzednio nie chodzi tylko o zdezorientowanych odkryciem swojej zachwianej tendencji seksualnej nastolatków, lecz także o osoby dorosłe i od lat zakorzenione w gejowskiej subkulturze i pogodzone ze swoim stylem życia. Wszystko to skłania część psychiatrów do sformułowania całkowicie jednoznacznej oceny, że „homoseksualizm nie jest związany z problemami psychicznymi tylko w okresie dorastania czy wczesnej dorosłości, jak to dotąd sugerowano, ale również w późniejszym okresie życia" – podkreślają Theo Sandfort i Ron de Graaf. Inni psychiatrzy uzupełniają te spostrzeżenia informacją, że poziom zapadania na schorzenia psychiczne nie zmniejsza się w krajach, które walkę o równouprawnienie gejów wciągnęły na swoje sztandary. Jeśli zaś tak jest, to nie sposób oskarżać o problemy psychiczne homoseksualistów całego społeczeństwa czy jego homofobicznego ukierunkowania.

Wśród nowych zakażonych wirusem HIV 63 proc. stanowią mężczyźni współżyjący z innymi mężczyznami. Z badań przeprowadzonych w Waszyngtonie wynikało, że aż 81 proc. chorych na syfilis to homoseksualiści

Oczywiście, i tego też się spodziewam, po opublikowaniu tego tekstu znowu się dowiem, że jestem homofobem, że straszę ludzi „Radością seksu gejowskiego" i że wychodzi ze mnie przerażający konserwatyzm, który nie jest w stanie dać ludziom wolności. Nic bardziej błędnego. Ludzie mają wolność i mogą wybierać, co chcą, także homoseksualizm. Nie widzę też powodów, by zakazywać im tego, nawet jeśli wiąże się to z manifestacjami. Jednak, i to jest kluczowe, wolność powinna zakładać wiedzę. Ludzie mają prawo wiedzieć, jakie skutki mają pewne działania, jaka jest prawdziwa natura skłonności homoseksualnej. Mają do tego prawo także osoby homoseksualne, które przecież nie muszą podejmować pewnych działań. Wolność nie polega na tym, że okłamuje się innych, by było im przyjemniej, ale na tym, że pokazuje się kwestię w całej jej złożoności, a później pozostawia decyzję jednostce. O ile nie szkodzi ona innym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PRENUMERATA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA
TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ PAKIET KSIĄŻEK
PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI
„KOBIETY WYWIADU" ORAZ „KOBIETY DESPOTÓW"

Cena: 142 zł
Oszczędność: 213 zł

+ e-wydanie

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 2c83a54b18

Homofobia to mit

Z ks. prof. Pawłem Bortkiewiczem, specjalistą w zakresie teologii moralnej
rozmawia Maciej Pieczyński

FOT. TYTUS ŻMIJEWSKI/PAP

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jak powinna wyglądać obrona przed homopropagandą?

KS. PAWEŁ BORTKIEWICZ: Z pewnością trzeba przypominać fakty i korygować pojęcia według prawdy rzeczywistości. Konkretnie: trzeba rozróżnić ocenę ludzi dotkniętych problemem homoseksualizmu od oceny ideologii homoseksualizmu. Te oceny są zróżnicowane. Trzeba walczyć z mitem „homofobii", która faktycznie oznacza sprzeciw wobec homoterroru. Trzeba przypominać ten swoisty „marsz przez instytucje", który rozpoczął się wraz z oszukańczym, nieprawdziwym raportem Kinseya. Przede wszystkim jednak trzeba ukazywać sens ponadhedonistyczny ludzkiej płciowości.

Homopropaganda zwyciężyła już w wielu krajach świata. Drastycznym przykładem jest choćby Kanada pod rządami Justina Trudeau. Co powinniśmy czynić, aby Polska nie poszła w jej ślady?

Musimy dbać o przekaz prawdy w mediach, o to, by szkoła była wolna od seksedukatorów wywodzących się z wątpliwych stowarzyszeń i organizacji, a także o to, by prawo nie było utożsamiane z bezpodstawnymi roszczeniami. Jestem przekonany, że jest to możliwe.

Zdaniem ks. Dariusza Oko: „Istnieje nie tylko problem homoideologii i homolobby na zewnątrz Kościoła, istnieje analogiczny problem także wewnątrz niego, gdzie homoideologia przyjmuje postać homoherezji". Zgadza się ksiądz profesor z tą opinią?

Co do istoty problemu, niestety, się zgadzam. Nie potrafię określić skali tego zjawiska, nie chciałbym też go demonizować, ale mam świadomość tego spustoszenia, jakie mogą czynić nawet pojedyncze przypadki.

Stwierdził ksiądz profesor w jednym z wywiadów, że mamy do czynienia z ogromną skalą nagłośnień przypadków pedofilii w Kościele, przy czym niektóre z nich są albo nieprawdziwe, albo wynikają z homoseksualizmu, który jest hołubiony przez środowiska rzekomo walczące z pedofilią. Czy zatem problem pedofilii w Kościele nie istnieje?

W Kościele istnieje rzeczywistość grzechu, w tym grzechu pedofilii. Jest to grzech niewątpliwie wstrząsający i porażający swoim złem, grzech obrzydliwy w najbardziej dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie neguję tego i myślę, że nikt tego nie neguje. Problemem dyskusyjnym jest natomiast skala tego grzechu – ujawniana, dowodzona, zarzucana… Innym problemem jest temat przyczyn tego zjawiska. W moim przekonaniu to nie jest kwestia teoretyczna, bo chcąc

eprasa.pl 2c83a54b18

walczyć z patologią, musimy znać jej przyczyny.

Wiele aktów pedofilskich ma charakter homoseksualny. Jednak czy można stawiać znak równości między homoseksualizmem a pedofilią? Przecież chyba nie każdy homoseksualista to potencjalny pedofil...

Nie stawiam tego znaku równości. Raczej staram się pokazać, że obie postawy jest pewien wspólny mianownik. Chodzi mi o efekt tzw. rewolucji seksualnej z 1968 r. Jeśli mocą tej rewolucji doprowadzono do redukcji miłości do sfery hedonizmu seksualnego i uznano, że ten hedonizm społeczny wystarcza do stworzenia instytucji związku partnerskiego, to w takim razie uprawniony staje się związek homoseksualny (bo zaspokaja on przyjemność zainteresowanych bez odpowiedzialności prokreacyjnej, co zauważał już w XIX w. Bentham), ale uprawniony będzie też związek kazirodczy (dla innej grupy osób, ale z tych samych względów) i może nim się stać związek pedofilski. Wiem, że tutaj pojawia się pewien element inny w porównaniu z poprzednimi. Chodzi o to, że dziecko może być traktowane jako niewyrażające świadomie ani dobrowolnie zgody na takie współżycie. Proszę wybaczyć w tym miejscu złośliwość, ale czy dziecko poddane edukacji seksualnej według standardów WHO będzie miało taką ignorancję? Edukowane od wieku niemowlęcego przez seksedukatorów, na każdym etapie tej edukacji wymuszających na nim masturbację?

„Rozpowszechnianie skojarzenia między homoseksualnością a pedofilią jest domeną ludzi nieświadomych i niekompetentnych bądź też uprzedzonych do ludzi homoseksualnych i sprzeciwiających się prawom obywatelskim tych osób" – twierdzi Zbigniew Lew-Starowicz, prezes Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego. Jak ksiądz profesor skomentuje tę opinię?

Mam trochę problem, do której części wypowiedzi pana profesora miałbym się ustosunkować. Pierwsza część dotyczy opinii z zakresu seksuologii. Nie jestem tutaj specjalistą, więc powiem oględnie, że z wiedzy, którą dysponuję, wynika, iż stajemy w tym momencie na gruncie dyskusji dotyczących interpretacji zachowań seksualnych. Podkreślam słowo „interpretacja", gdyż ono pokazuje, że nie mówimy tu o wiedzy empirycznej. Tam, gdzie jest interpretacja, jest pluralizm poglądów. Druga część wypowiedzi ma już charakter oceniający (mówi o „uprzedzeniach") i charakter polityczny (mówi o „prawach obywatelskich tych osób"). Tutaj najchętniej bym podyskutował, bo nie znam przypadku represji w zakresie praw, dokładniej mówiąc – praw człowieka, w klasycznym ich rozumieniu, w odniesieniu do osób homoseksualnych. Raz jeszcze podkreślę, że mam na myśli autentyczne prawa człowieka, wynikające z natury osoby ludzkiej, a nie roszczenia ustanawiane mocą pozytywnej woli prawodawców, działających pod wpływem określonego lobbingu.

„Homoseksualista nie może być księdzem, bo nie wyrzeka się małżeństwa. Z natury rzeczy nie może wyrzec się małżeństwa, bo zgodnie ze swoimi skłonnościami go nie chce" – stwierdził kard. Gerhard L. Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary, w rozmowie z Pawłem Lisickim. Zgadza się ksiądz z tą tezą?

Kardynał Müller ukazuje kapłaństwo w perspektywie wyrzeczenia się małżeństwa. Z pewnością teologowie mogą dyskutować, czy taka perspektywa jest najwłaściwsza, ale z pewnością jest przynajmniej jedną z wielu. A wtedy te słowa są bardzo logiczne i przekonujące. Mnie przekonują.

Stwierdził ksiądz, że homoseksualizm jest „zdecydowanie większym grzechem (niż pedofilia), jeśli chodzi o skalę zjawiska w Kościele". Czy jest jednak groźniejszym grzechem?

Świadomie użyłem tego kwantyfikatora ilościowego. Podkreślam zarazem to, co powiedziałem na wstępie naszej rozmowy, że pedofilia jest wyjątkowo złym i obrzydliwym grzechem. Myślę zarazem, że problemem, który winien skupiać naszą uwagę, winno być odwracanie mentalności, która jest skutkiem rewolty seksualnej i doprowadziła do dewastacji miłości oraz płciowości człowieka.

Temat pedofilii w Kościele zrobił się ostatnio bardzo popularny. Dlaczego w całej tej dyskusji pomija się wątek homoseksualny? Czy to przez poprawność polityczną? A może chodzi o skalę grzechu – przecież pedofilia jest uważana powszechnie za dużo gorsze przewinienie niż homoseksualizm?

W moim przekonaniu wątek homoseksualny jest pomijany celowo i programowo. Z tych względów, o których staram się już wspomnieć. W dobie, w której każda zmiana tożsamości człowieka jest dopuszczalna i uznaje się ją za realną, jedynie zmiana orientacji homoseksualnej traktowana jest jako opresja, dyskryminacja, myślozbrodnia. To pokazuje, w jakim miejscu jest homoseksualizm jako zjawisko i jako ideologia. Homoseksualizmu nie można poddać krytyce, a ci, którzy to czynią, są niejednokrotnie realnie dyskryminowani.

Zjawisko pedofilii wśród księży jest, statystycznie rzecz biorąc, marginalne. Również na tle innych środowisk duchowieństwo nie jawi się pod tym względem jako „siedlisko zła". Jednakże księżom należy stawiać wyjątkowo wysokie wymagania moralne. Może więc cała ta nagonka na Kościół ma swoje dobre strony?

Myślę, że faktycznie w spokojnej dyskusji na temat pedofilii w Kościele trzeba z równą mocą podkreślać te trzy sprawy. Grzechy pedofilii się zdarzają w Kościele, wśród duchownych, i są skandalem, którego nie można w żaden sposób zminimalizować. Jednocześnie trzeba pamiętać o skali tego zjawiska, o realnych proporcjach, także o realnych, fałszywych oskarżeniach, które zniszczyły ludzi. Trzecia sprawa to ta, że niezależnie od skali zjawiska każdy z zaistniałych grzechów jest apelem do nas, duchownych, o nawrócenie i o permanentną troskę o wyrazistość w tej sprawie, o czystość zachowań seksualnych.

„Jeśli przybywający do Irlandii Biskup Rzymu przeprasza bezwarunkowo za grzechy pedofilii, to oczywiście budzi to szacunek. Ale jeśli pomija milczeniem grzechy »mafii lawendowej«, jeśli milczy na temat zdrady nauczania Kościoła na temat miłości i seksualności, jeśli nie odwołuje się w swoim przepowiadaniu do wielkich autorytetów w tej dziedzinie bł. Pawła VI, św. Jana Pawła II i Benedykta XVI, to budzi to niepokój" – tak ocenił ksiądz profesor słowa i działania papieża Franciszka. Skąd wynika taka postawa Ojca Świętego?

Wolałbym uzasadniać swoje stwierdzenia, niż interpretować postawę papieża Franciszka. Mój niepokój towarzyszy mi, od kiedy stanąłem w sytuacji zaistniałej dwuznaczności, półcieni, szarości. Nie wiem, z czego wynika ta postawa. Może z bardzo mocnego wpływu lobby kardynalskiego „kasperianów"? Może z tego, że ten papież po prostu ma problemy z rozumieniem zderzenia cywilizacyjnego, w którym uczestniczymy, a które to zrozumienie wymaga mocnego instrumentarium intelektualnego? Może z zakorzenienia w teologii wyzwolenia, która sączyła się w Ameryce Łacińskiej, może z przekonania, że nauczanie poprzedników było zbyt przeintelektualizowane, a świat oczekuje prostych stwierdzeń? Tego nie wiem, ale taka postawa mnie niepokoi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER

Z Krzysztofem Szczerskim, szefem gabinetu prezydenta
rozmawia Marcin Makowski

Prezydencka szansa na jedność

MARCIN MAKOWSKI: Donald Tusk podczas swojej wizyty w Krakowie zaapelował o ponadpolityczne porozumienie i wspólny marsz 11 listopada. Podpisałby się pan pod tym apelem?

KRZYSZTOF SZCZERSKI: Ja się podpisuję pod działaniami naszego prezydenta, który powołał komitet obchodów stulecia odzyskania niepodległości. Od początku jest otwarty na wszystkie środowiska. Tu nie chodzi o słowa – deklaracje i apele – ale o to, kto realnie działa w Polsce na rzecz budowania wspólnoty. Taką osobą jest Andrzej Duda.

A przewodniczący Tusk nie jednoczy?

Donald Tusk jest odpowiedzialny za rozpoczęcie w Polsce ostrego podziału, definiowanego linią pogardy dla ówczesnej opozycji i wielu grup społecznych. To za jego czasów starszych ludzi nazywano moherami, wzywano do odbierania dowodów osobistych babciom, urządzono gorszący spór o krzesło czy samolot. Dzisiejsze rozedrganie naszej polityki to w dużej mierze jego dziedzictwo.

Gdy widzi go pan dzisiaj mówiącego, że „nie ma powodów, abyśmy się nienawidzili", nie myśli pan sobie: „Może coś się w tym człowieku zmieniło"?

Nie mam zamiaru wnikać w meandry jego psychiki, przypominam jedynie fakty. Tusk wzywający do pojednania to narracja stworzona przez sprzyjające mu media, bez realnego przełożenia na politykę w Polsce. Nie pracuję w sztabie wyborczym szefa Rady Europejskiej, więc nie muszę się zajmować powielaniem podobnych narracji.

Jak wygląda w takim razie przyszłość marszu niepodległościowego prezydenta Dudy? Do rocznicy pozostały cztery tygodnie: W jakim punkcie są obecnie rozmowy?

Rzeczą oczywistą, jak co roku, będzie wysłanie zaproszenia do wszystkich byłych premierów i prezydentów oraz przedstawicieli poszczególnych środowisk politycznych. Prezydent da szansę każdemu, a kto będzie chciał z niej skorzystać, ten będzie miał ku temu sposobność. Niestety obawiam się, że niektórzy mogą ją odrzucić. Skoro podział polityczny, który funduje nam opozycja, sięga tak głęboko w historię, że nie potrafi ona uczestniczyć nawet w obchodach czegoś, co wydarzyło się 550 lat temu – mam tu na myśli powstanie polskiego parlamentaryzmu – to co mówić o wydarzeniu sprzed zaledwie stu lat?

Co dalej z losami Fortu Trump? Nieoficjalnie mówi się, że na przeszkodzie stoi kwestia lokalizacji stałej bazy wojsk USA. Polska chce ją widzieć blisko wschodniej granicy, Amerykanie w centrum kraju, na terenie kolidującym z usytuowaniem Centralnego Portu Komunikacyjnego. Wygląda na pat.

Jeśli chodzi o lokalizację bazy, to w kwestiach tak szczegółowych nie będę wyprzedzać oficjalnych komunikatów. Sprawa jest zbyt poważna, aby mogła być elementem przecieków. Politycznie zbudowaliśmy dla tego projektu naprawdę solidne podstawy. Prezydent Andrzej Duda lobbował za nim w Białym Domu, przed nami przekonywanie Kongresu. Waga tej decyzji jest tak wielka, że wymaga ona spokojnych negocjacji, czasu na dojrzewanie, a zapewne też stopniowego, fazowego wdrażania. Bez gorączki i nerwowości.

Może warto przy tej okazji podkreślić, że przede wszystkim działania w Kongresie, bo to nie prezydent USA podejmuje decyzję o relokacji baz wojskowych. Nie ma pan wrażenia, że to jedna ze słabości polskiej polityki zagranicznej? Za bardzo skupiamy się na Gabinecie Owalnym, za mało na Izbie Reprezentantów i senacie.

Rzeczywiście, tak skomplikowaną operację trzeba rozpisać na akty i na głosy. Prezydent w Waszyngtonie postawił pierwszy fundamentalny krok w postaci politycznej prezentacji tej koncepcji i przekonania do jej sensowności. To się udało. Temat i nasze argumenty zaistniały mocno w przestrzeni publicznej. Z fazy spekulacji przeszliśmy w fazę planowania i merytorycznej debaty. Kolejny krok to te dwa ciała polityczne, o których pan wspomniał. Z początkiem listopada odbywają się wybory środka kadencji do Izby Reprezentantów i części senatu, w związku z czym uformuje się nowy parlament. To jest moment, w którym trzeba będzie odpalić ofensywę dyplomatyczną. Następne dwa lata będą kluczowe dla naszego projektu. Mówiąc jeszcze precyzyjniej – najmocniej trzeba będzie pracować przez najbliższe pół roku, bo raport Pentagonu dla Kongresu ukaże się w marcu 2019 r. Osobnym torem toczą się zaś dyskusje techniczne pomiędzy wojskowymi, którzy zadecydują o skali infrastruktury, uzbrojenia i lokalizacji. Ważne w tym kontekście są słowa wysokiego przedstawiciela Pentagonu, który stwierdził, że nasze propozycje są na mniejszą skalę, niż planuje Ameryka.

Jesteśmy zatem w momencie, w którym pytanie nie brzmi: czy wybudować Fort Trump, ale jak to zrobić?

Decyzja formalna i ostateczna przed nami, to oczywiście kwestia nie tygodni, lecz miesięcy, ale jak widać, są sygnały, które mogą napawać optymizmem. Przygotowujemy się na różne warianty decyzji po to, by ostatecznie wybrać optymalny i długofalowy. Nic nie stanie się natychmiast i od razu. To będzie proces, który potrwa.

Wspomniał pan o wyborach środka kadencji (midterm elections), które są tradycyjnym wotum zaufania dla polityki prezydenta. Niektóre prognozy wskazują, że demokraci mogą przejąć większość w obu izbach Kongresu. Co wtedy? Projekt bazy legnie w gruzach, ponieważ stawiamy wszystko na Trumpa i republikanów?

Nie wydaje mi się, żebyśmy musieli się takiego scenariusza obawiać. Poprawka do ustawy o budżecie Pentagonu, która zakładała przeznaczenie środków na opracowanie ekspertyzy dotyczącej ewentualnego przeniesienia bazy do Polski, została uchwalona zarówno głosami republikanów, jak i demokratów. W tym sensie nie było tutaj podziałów politycznych w Kongresie. My oczywiście będziemy rozmawiać – i rozmawiamy – z obiema stronami. Jeśli decyzja o budowie ma być trwała, to nie możemy jej podejmować, uwzględniając wyłącznie aktualnie sprzyjający wiatr polityczny, tylko musimy szukać ponadpartyjnego konsensusu. Jak pan słusznie zauważył, czym innym jest praca z kongresmenami i senatorami, a czym innym dyskusje z prezydentem i administracją Białego Domu, która ma silny wpływ na to, jak głosują członkowie ugrupowania sojuszniczego wobec głowy państwa. Tutaj musi panować synergia. Na szczęście, w przeciwieństwie do Polski, w USA najważniejsze sprawy militarne nadal wyłączane są poza ostry spór polityczny. A relacje prezydenta Polski z prezydentem USA są najbardziej intensywne w najnowszej historii.

À propos kwestii militarnych: Co dalej z australijskimi fregatami? Czy ta sprawa jest już definitywnie zamknięta? Jeśli tak, to co w zamian – w polskich stoczniach nie buduje się przecież nowych okrętów, a czymś trzeba pływać.

Ta sprawa nie jest zamknięta dopóty, dopóki istnieje potrzeba posiadania takiego sprzętu. Decyzja rządu, aby minister obrony narodowej nie podpisał listu intencyjnego na zakup fregat Adelaide

eprasa.pl 2c83a54b18

od Australijczyków, nie rozwiązała obiektywnie istniejącej potrzeby, tylko zmieniła postępowanie odnośnie do zagwarantowania polskiej Marynarce Wojennej operacyjności. Prezydent Duda był gotów „użyczyć" swojej wizyty, aby sfinalizować kontrakt. Skoro rząd zadecydował inaczej, tamten moment, związany z możliwością ceremonialnego zawarcia kontraktu, minął. I to jest jedyna różnica. Potrzeby pozostały.

Pałac Prezydencki czuje się zawiedziony takim obrotem spraw?

Prezydent, któremu zależy na bezpieczeństwie Polski, nadal oczekuje rozwiązania problemu. To nie jest kwestia personalnej urazy, tylko „załatania" realnie istniejącej luki w obronie morskiej. W tym sensie możemy powiedzieć, że minął korzystny moment i trzeba cierpliwie czekać na rozwiązanie tej kwestii. Teraz inicjatywa jest po stronie rządu.

Dlaczego, pomimo początkowych spekulacji medialnych, prezydent nie wrócił z USA z podpisaną umową na system rakietowy dalekiego zasięgu Homar? MON przeprowadzało w tej sprawie trwające trzy lata analizy, niemal na finiszu była decyzja zakupu rakiet od Amerykanów z pominięciem przetargu. I cisza.

Mogę powiedzieć, że w oficjalnych planach wizyty nie było punktu dotyczącego podpisania nowych zakupów. Zarówno w tej sprawie, jak i w kwestii fregat Adelaide gospodarzem jest MON, bo to właśnie ten resort dysponuje środkami na modernizację armii. To, co jest ważne długodystansowo, to wspólna polsko-amerykańska prezydencka deklaracja potwierdzająca strategiczną współpracę wojskową pomiędzy obydwoma krajami. Tutaj prezydent Duda po raz kolejny stworzył właściwe warunki do szczegółowych negocjacji dla ministerstwa i rządu. W tych kwestiach, bez względu na finał rozmów, priorytetem nie jest tempo, ale jakość zawartej umowy.

Niedawno Mike Pence wygłosił przemówienie skierowane do Chin, które eksperci od geopolityki porównali do wypowiedzenia zimnej wojny albo przynajmniej otwartej wojny handlowej. Wiceprezydent USA oskarżył Państwo Środka o monopolizację światowych rynków, nieuczciwe praktyki spekulacyjne własną walutą. Wiemy również o napięciu zbrojnym na Morzu Południowochińskim. Jak w tej sytuacji powinna się zachowywać Warszawa, która w sprawach obronności stawia na Amerykę, ale chciałaby równocześnie zwiększenia wymiany handlowej z Chinami i dalszej budowy Nowego Jedwabnego Szlaku?

Z punktu widzenia Polski ważne jest, aby uważnie obserwować zmieniający się układ sił pomiędzy mocarstwami, ale również widzieć, że w starciu wielkich frontów geopolityki naszym zadaniem jest znalezienie indywidualnej i bezpiecznej drogi współpracy z każdym z nich. Nie ma sensu rozmyślać, że to akurat od naszej decyzji zależeć będzie stan relacji chińsko-amerykańskich, i musimy w tej sprawie zabrać głos po którejś ze stron.

Wracamy do polityki równego dystansu?

Nie o to chodzi. Postawa Polski nie jest tu po prostu czynnikiem przeważającym. Cokolwiek zrobią Chińczycy wobec Amerykanów i odwrotnie, będzie to sprawa ich bilateralnych relacji, wobec których stanowisko Warszawy nie będzie miało charakteru decydującego. My w tym konflikcie nie musimy, a nawet nie powinniśmy, opowiadać się po którejkolwiek ze stron, lecz poszukiwać odpowiednich pól współpracy z obydwoma państwami.

> **Polska będzie się konsekwentnie opowiadać za utrzymaniem silnych więzi transatlantyckich**

Jest jednak płaszczyzna sporu międzynarodowego, w której opowiedzieć się trzeba. Stany Zjednoczone pod przewodnictwem Donalda Trumpa zupełnie wprost rzucają wyzwanie Unii Europejskiej. Chodzi o cła i handel, ale również o samą pozycję Brukseli na świecie. Premier Mateusz Morawiecki mówił ostatnio w CNN, że Polska jest „brukselosceptyczna", więc może jest się z czego cieszyć?

Polska będzie się konsekwentnie opowiadać za utrzymaniem silnych więzi transatlantyckich. Mylą się ci, którzy w polityce europejskiej – tak jak np. przewodniczący Tusk – używają karty antyamerykańskiej, licząc na poklask w niektórych stolicach państw naszego kontynentu. To jest wielki polityczny błąd, który szkodzi przyszłości Unii. Myślę, że na dłuższą metę zdziwią się wszyscy, którzy grają na konflikt Ameryki z Europą, bo ludzie z obu stron Atlantyku, myślący o tych relacjach długofalowo, nigdy do podobnego rozpadu podstawowych więzi nie dopuszczą. Polska również. Mieliśmy już przecież podobne przejścia w przeszłości. Dobrze pamiętamy „antybushyzm" Europy Schroedera i Chiraca, która jednak – równolegle z ochłodzeniem dyplomatycznym w trakcie wojny w Iraku i Afganistanie – prowadziła świetne interesy i rozwijała wymianę handlową. Teraz też niektórzy mówią: „Trzeba postawić na Berlin, a nie na Waszyngton", ale to czysty populizm dla ubogich. Niemcy może zachęcają innych do retoryki antyamerykańskiej, ale sami prowadzą ścisłą współpracę zarówno z USA, jak i z Rosją. Nie bądźmy naiwni i miejmy swój rozum.

Na koniec trochę prywaty. Sporo się ostatnio pozmieniało w pałacu, trochę plotek przy tej okazji pojawiło się w mediach. Czy czuje się pan politycznym killerem?

Nie, absolutnie. Muszę powiedzieć, że taki obraz jest po prostu fikcyjny.

A pan jak ten baranek pokoju. Nikomu nie wadzi, nikogo nie chce się pozbyć.

Nie bez kozery media nazywane są czwartą władzą. One potrafią wykreować rzeczywistość, która z zewnątrz wygląda na spójną, ale absolutnie nie odzwierciedla tego, co dzieje się naprawdę. Można stworzyć całkowicie bajkowy świat dla dorosłych.

Czyli pogłoski o tym, że ten, komu się źle z panem współpracuje, albo przede wszystkim ten, z kim panu się źle współpracuje – odchodzi, są funta kłaków warte? Minister Krzysztof Łapiński ratował się aż ucieczką w PR.

To, czym się zajmuję, to praca dla prezydenta RP, polegająca na łączeniu obowiązków szefa jego gabinetu oraz osoby odpowiedzialnej za prowadzenie polityki zagranicznej. Nikt do tej pory jeszcze dwóch takich ról nie łączył. A Andrzej Duda jest wyjątkowo aktywny zarówno w kraju, jak i za granicą. Gdybym miał przy tym znaleźć czas na prowadzenie personalnych gier, musiałbym chyba żyć w politycznym „Dniu Świstaka" i – tak jak Bill Murray – mieć do dyspozycji kilka dni w ciągu jednego dnia. Jeśli ktoś ma czas na intrygi w pracy, to znaczy, że nie ma za dużo do roboty. Znam takie osoby, ale nie z lustra.

A jak pan słyszy: Krzysztof Szczerski – wiceprezydent – to się pan uśmiecha?

Chyba nie pozostaje mi nic innego. Wiem, że nie jest to mówione w dobrej wierze, ale niestety nie mam na to wpływu. Ludzie bywają złośliwi, trudno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

„Mieszkanie Plus” w Gdyni. Nabór lokatorów do 172 mieszkań ruszy 26 października 2018 r. Więcej informacji na: www.mieszkanieplusgdynia.pl

„Mieszkanie Plus”
Na wynajem czy na własność?

Największą zaletą wynajmowanego mieszkania jest możliwość łatwej jego zmiany. Na przestronniejsze, kiedy rodzina się powiększy. Na mniejsze, kiedy dzieci wyjadą na studia. Na znajdujące się w innym mieście, kiedy pojawia się atrakcyjna oferta pracy. Dostępne cenowo mieszkania na wynajem oferuje program „Mieszkanie Plus”

Na pytanie: „Na wynajem czy na własność?” mieli okazję odpowiedzieć zainteresowani „Mieszkaniem Plus” w Gdyni. Na przełomie września i października mogli wypełnić ankietę na stronie Mieszkanieplusgdynia.pl, aby przekazać swoje preferencje odnośnie do formy najmu i oczekiwanego standardu mieszkań. W efekcie spłynęło ponad 600 ankiet, gdzie 14 proc. osób opowiedziało się za opcją wynajmu instytucjonalnego. Pozostali wybrali opcję wynajmu z dochodzeniem do własności. To pokazuje, że wprawdzie cały czas odsetek społeczeństwa przywiązanego do posiadania mieszkania na własność jest duży, ale coraz więcej osób dostrzega zalety najmu, takie jak mobilność czy brak długookresowych zobowiązań finansowych. Potwierdzają to dane Eurostatu, z których wynika, że tylko 4,3 proc. Polaków, czyli niecałe 2 mln obywateli, mieszkało w 2017 r. w lokalach mieszkalnych wynajętych po cenach rynkowych. Dla porównania: w Niemczech w tym samym okresie najemcy stanowili aż 38 proc. ludności tego kraju. Jeśli jednak porównamy dane dla Polski z 2009 r., zauważymy wyraźny postęp, bo prawie dekadę temu najemcy stanowili jedynie 2,2 proc. społeczeństwa. Przyczyn takiego stanu rzeczy jest kilka. Pierwsza to coraz większa liczba dostępnych mieszkań na wynajem. Jak czytamy w raporcie firmy Amron z 24 września br. pt. „Rynek najmu”, już co trzecie mieszkanie na rynku pierwotnym kupowane jest w celach inwestycyjnych, czyli żeby je wynająć. Inna przyczyna coraz większego zainteresowania najmem to wyższe niż 10 lat temu wymagania wobec kredytobiorców (koniec kredytów bez wkładu własnego). Wzrostowi liczby najemców w Polsce sprzyja też zmieniające się nastawienie społeczeństwa do wynajmu. Jak zauważa Agnieszka Pilcicka, analityk i specjalistka ds. rynku nieruchomości z Amrona, młodzi ludzie są coraz bardziej mobilni zawodowo, przez co nie chcą się wiązać z jednym miejscem i coraz częściej od kupowania mieszkania na własność decydują się na wynajem.

„MIESZKANIE PLUS”

Wszystkie powyższe czynniki kształtują rynek najmu w Polsce, powodując wzrost czynszów niemal we wszystkich dużych miastach. Może to stanowić problem dla części społeczeństwa, której nie stać na wynajem po cenie rynkowej, nie mają też dolności kredytowej. Z myślą o takich właśnie osobach powstał rządowy program „Mieszkanie Plus”, który umożliwia wynajmowanie mieszkania w nowoczesnym budownictwie za cenę średnio o 20 proc. niższą od cen na lokalnym rynku. Dużym wsparciem dla najemców w tym programie będzie także uruchomiony od stycznia 2019 r. program dopłat do czynszów tzw. Mieszkanie na Start. Program „Mieszkanie Plus” daje przy tym opcję dochodzenia do własności, której nie ma przy tradycyjnym wynajmie.

– Opcja ta jest największą zaletą tego programu, bo nawet jeśli za jakiś czas zechcę zrezygnować, to niczego nie tracę, a pieniądze są mi zwracane. A jeśli nie zrezygnuję, to mam szansę na wykup mieszkania – mówi Emil, najemca inwestycji w ramach programu „Mieszkanie Plus” w Białej Podlaskiej.

Trzonem programu są inwestycje realizowane przez spółkę BGK Nieruchomości. W tym celu został utworzony Fundusz Sektora Mieszkań dla Rozwoju, który inwestuje w nowe projekty mieszkaniowe.

– Nasze inwestycje uzupełniają ofertę na polskim rynku mieszkaniowym, na którym brakuje dostępnych cenowo mieszkań na wynajem. Z jednej strony „Mieszkanie Plus” daje gwarancję bezpiecznej, długoterminowej umowy najmu, która sprawia, że najemca może poczuć się w wynajmowanym mieszkaniu jak u siebie. To propozycja także dla tych, którzy nie chcą wiązać się z jednym adresem na wiele lat. Z drugiej strony zdajemy sobie sprawę, że wciąż wielu Polaków chce posiadać mieszkanie, bo tylko własność daje im poczucie stabilności. Dlatego przyszłym lokatorom dajemy wybór, czy chcą wynajmować mieszkania na zwykłych zasadach, czy też stopniowo dochodzić do ich własności – wyjaśnia Tomasz Górnicki, członek zarządu BGK Nieruchomości, która zarządza aktywami programu „Mieszkanie Plus”.

Aby zakwalifikować się do najmu w programie „Mieszkanie Plus”, należy spełniać określone przez lokalny samorząd kryteria społeczne (np. w Białej Podlaskiej preferowane są rodziny z dziećmi) oraz posiadać zdolność czynszową określoną przez BGK Nieruchomości. Zdolność ta liczona jest w oparciu o dochody netto pomniejszone o wydatki rodziny, z uwzględnieniem przyszłej umowy najmu. Pod uwagę brane są także świadczenia wynikające m.in. z liczby dzieci w gospodarstwie domowym, takie jak program „Rodzina 500+”.

Już 26 października rusza nabór na mieszkania w gdyńskiej inwestycji w ramach rządowego programu „Mieszkanie Plus”. Do dyspozycji najemców są tam 172 mieszkania w sześciu czterokondygnacyjnych budynkach o zróżnicowanym metrażu – od 28 do 107 mkw. Więcej informacji na: www.mieszkanieplusgdynia.pl.

ARTYKUŁ PROMOCYJNY/ MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z BGK NIERUCHOMOŚCI SA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

Kamila Baranowska

W partii ideowo obojętnej, takiej jak Platforma Obywatelska, linię wyznaczają doraźne polityczne potrzeby. Dzisiaj polityczny interes każe patrzeć Grzegorzowi Schetynie w lewo. Czy tak już zostanie?

Skrzydła Schetyny

FOT. BARTOSZ FRYDRYCH / FORUM

Kiedy prezydent Lublina, członek Platformy Obywatelskiej, Krzysztof Żuk zakazał Marszu Równości, w partii zapanowała konsternacja. Z jednej strony liderzy doskonale zdawali sobie sprawę, że tą decyzją prezydent Żuk walczy o reelekcję, próbując przekonać do siebie konserwatywnych lublinian, ale z drugiej – narażało to na szwank ogólnopolski wizerunek Platformy, która obecnie stawia mocno na wyborców postępowych. Gdy sprawa zaczęła rozlewać się w mediach i wywoływać głosy oburzenia kolejnych ważnych dla Platformy środowisk i mediów, zaczęło się robić niebezpiecznie.

Decyzję prezydenta Żuka zaczęli krytykować posłowie Platformy i Nowoczesnej (Żuk jako kandydat na prezydenta jest popierany przez Koalicję Obywatelską), skrytykował ją także Grzegorz Schetyna. Po fakcie, gdy sąd apelacyjny zdecydował, że marsz ma się jednak odbyć, napisał na Twitterze, że od początku namawiał prezydenta Żuka, by zmienił swoją decyzję.

W Koalicji Obywatelskiej odetchnęli z ulgą. Sprawa lubelskiego marszu psuła bowiem cały przekaz opozycji, przedstawiającej się jako postępowa i europejska. Wzmocnieniem tego przekazu było przyjęcie na pokład lewicowej Barbary Nowackiej. Ta ostatnia odetchnęła chyba najgłośniej. W krótkim czasie musiała już drugi raz tłumaczyć się za ludzi Platformy. Najpierw z seksistowskich uwag wspieranego przez Koalicję prezydenta Legionowa Romana Smogorzewskiego, potem z decyzji prezydenta Lublina. A to dopiero początek współpracy.

Oba te kryzysy zostały dość szybko zażegnane. Nie zmienia to jednak tego, że problemy z tożsamością będą wracały. W sytuacji, gdy Platforma jest partią ideowo pustą, każdy próbuje wlewać w nią to, co mu akurat pasuje. Prezydentowi Lublina pasował zakaz marszu i nie oglądał się na to, że centrali mogło się to nie spodobać.

PRZESUNIĘCIE NA LEWO

Tymczasem Schetynie pasuje dziś coś zupełnie przeciwnego. Platforma, wchodząc w koalicję z Nowoczesną i przyjmując na pokład Nowacką, siłą rzeczy przesunęła się nieco w lewo, choćby w warstwie retorycznej. Na retoryce prawdopodobnie się nie skończy.

Lider PO ma dziś dwa cele: po pierwsze umocnienie się w roli lidera opozycji i usunięcie z drogi każdego, kto mógłby mu w tym przeszkodzić, oraz skuteczna

eprasa.pl 2c83a54b18

walka z PiS. Kierując się logiką wojny totalnej, musi uderzać także w wartości, które są PiS i jego elektoratowi bliskie. Ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Atakując PiS z tej strony, chcąc nie chcąc, Platforma przesuwa się w lewo. Dla owego przesunięcia bez znaczenia było wzięcie na pokład Barbary Nowackiej. I choć sam transfer był obliczony głównie na doraźny krótkotrwały efekt w wyborach samorządowych, to niewykluczone, że jego skutki mogą być dalej idące. W formacji, w której brak jasno wytyczonej linii światopoglądowej, najbardziej słyszalne będą poglądy najbardziej wyraziste. A te prezentować będą Nowacka i Katarzyna Lubnauer z Nowoczesnej. Zresztą już to czynią – np. w ostatnim wspólnym wywiadzie dla „Wysokich Obcasów", gdzie przez pół rozmowy narzekają na Kościół i klerykalizm. Nowacka sugeruje też, że ma od Schetyny zielone światło dla wielu swoich postulatów. – Na pewno w przyszłej kadencji Sejmu Platforma będzie za edukacją seksualną, za in vitro, za dostępną antykoncepcją – mówi. Chociaż wcześniej Schetyna zastrzegł, że nie poprze pomysłów Nowackiej na liberalizację ustawy aborcyjnej. Przynajmniej na razie.

Dość ostentacyjnie wyglądała jednak obecność części posłów Koalicji Obywatelskiej w marszu równości w Lublinie, nieprzypadkowy był też udział Rafała Trzaskiego w warszawskiej Paradzie Równości. Zaskakująco entuzjastyczne reakcje posłów PO na uderzający w Kościół film „Kler" i zapowiedzi samorządowców Koalicji dotyczące finansowania in vitro to także element tego samego zjawiska.

Platforma takim przekazem nie tylko uderza w PiS, lecz także minimalizuje ryzyko pojawienia się alternatywy po lewej stronie (renesans SLD czy nowa formacja Roberta Biedronia). Kalkulacja Schetyny wydaje się dość czytelna. Zanim zajmie się wygrywaniem wyborów, musi skupić wokół siebie władzę, zmobilizować wyborców, przekonać wielkomiejski elektorat, który w 2015 r. obraził się na Platformę, że nadal warto tę partię wspierać. Na przekonywanie wyborców wahających się, bardziej umiarkowanych przyjdzie pora później.

PO SKRZYDLE

Dwa lata temu lider PO w wywiadzie dla tygodnika „Do Rzeczy" mówił o konserwatywnej kotwicy i o tym, że wybory wygrywa się w Końskiem, a nie w Warszawie. Przekonywał, że widzi Platformę jako partię chadecką.

Dzisiaj niewiele z tych deklaracji zostało. Ostatnich konserwatystów z Markiem Biernackim na czele Schetyna bezceremonialnie wyrzucił z partii (za głosowanie w zgodzie z sumieniem przeciwko projektowi liberalizującemu prawo aborcyjne). Pustkę po nich miał wypełnić były polityk PiS Kazimierz Michał Ujazdowski, którego Schetyna rekomendował jako kandydata Platformy na prezydenta Wrocławia. Gdy przeciwko tej decyzji zaczęli buntować się politycy PO i wspierające partię media, a sondaże pokazywały, że większe szanse ma kandydat wskazany przez obecnego prezydenta miasta, Schetyna bez mrugnięcia okiem wycofał poparcie dla Ujazdowskiego. Naruszenie wewnętrznej równowagi różni PO Schetyny od Platformy Tuska. Ten ostatni pilnował, by w partii żadne ze skrzydeł, ani konserwatywne, ani liberalne, nie miało zbyt dużej przewagi.

Chociaż trzeba odnotować jeszcze jeden scenariusz, o którym plotkuje się na sejmowych korytarzach. Skoro Nowacka wespół z Katarzyną Lubnauer mają docelowo tworzyć lewe skrzydło Platformy (czy szerzej Koalicji Obywatelskiej), to Schetyna – chcąc wygrywać wybory – prędzej czy później będzie chciał jakoś wzmocnić prawe skrzydło. Tym wzmocnieniem może być PSL, które Schetyna widziałby w koalicji na wybory parlamentarne w 2019 r. Pytanie tylko, czy ludowcy zdecydują się na wspólny start, który oznaczałby rezygnację z własnego szyldu. Na razie nie wydają się entuzjastami tego rozwiązania.

Gra na dwa skrzydła i budowanie bardzo pojemnej formacji, w której pomieszczą się ludzie o bardzo różnych poglądach, sprawdzała się w przypadku Platformy przez długie lata. Z tym że czasy rządów Donalda Tuska różniły się od tych dzisiejszych. Dzisiaj to PiS jest w ofensywie, a opozycja szuka skutecznej metody walki z partią Kaczyńskiego. SLD jakiś czas temu dysponował wewnętrznymi badaniami, które pokazywały, że Polacy stają się coraz bardziej liberalni pod względem światopoglądowym. Ich stosunek do kwestii takich jak aborcja, in vitro, związki partnerskie zmienia się, a zatem zmieniać się będą także najpierw akcenty, a potem całe przekazy partii. W przypadku SLD już widać to bardzo dobrze.

Jeśli Schetyna również dojdzie do wniosku, że ostry światopoglądowy zwrot w lewo może być politycznie opłacalny, nie zawaha się ani chwili. Co więcej, nikt w partii nie będzie próbował go przed tym powstrzymać, bo nikogo, komu by to przeszkadzało, już tam nie ma. Jednak jeśli z jakichś powodów lider PO uzna, że taki zwrot osłabiłby jego samego lub jego szanse w docelowej walce z PiS, nie będzie miał skrupułów, by zmienić kurs i znów zacząć zarzucać konserwatywną kotwicę. Wtedy bez wahania zrzuci z sań Nowacką. Dokładnie tak samo, jak zrobił to z Ujazdowskim. Z dnia na dzień.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 2c83a54b18

Łukasz Warzecha

Cisza nad urną

Nic tak nie naraża państwa na śmieszność jak niemożliwe do wyegzekwowania, archaiczne przepisy. W dniu wyborów przypomniał o sobie jeden z nich – ten o ciszy wyborczej

O ciszy wyborczej mówią art. 107 Kodeksu wyborczego: „W dniu głosowania oraz na 24 godziny przed tym dniem prowadzenie agitacji wyborczej, w tym zwoływanie zgromadzeń, organizowanie pochodów i manifestacji, wygłaszanie przemówień oraz rozpowszechnianie materiałów wyborczych, jest zabronione" oraz art. 115: „Na 24 godziny przed dniem głosowania aż do zakończenia głosowania zabrania się podawania do publicznej wiadomości wyników przedwyborczych badań (sondaży) opinii publicznej dotyczących przewidywanych zachowań wyborczych i wyników wyborów oraz wyników sondaży wyborczych przeprowadzanych w dniu głosowania".

Pierwszy problem polega na tym, że brak jest definicji agitacji wyborczej. Kodeks mówi jedynie, że nie jest nią prowadzona przez szkoły edukacja obywatelska oraz że materiałem wyborczym jest każdy materiał pochodzący od komitetu wyborczego i mający związek z wyborami. Nie ma jasnej wykładni. Gdyby pojęcie agitacji potraktować dosłownie, byłoby nią jedynie zachęcanie lub zniechęcanie do głosowania na danego kandydata czy daną partię, ale już nie choćby stwierdzenie, że politykę rządu źle się ocenia albo że opozycja nieustannie się kompromituje. Przecież przedstawienie własnej oceny nie jest równoznaczne z namawianiem kogokolwiek do czegokolwiek.

SZCZYTY ABSURDU

Jednak życie dawno już przegoniło przepisy. Czy będzie agitacją wyborczą dyskusja o tym, który kandydat lub która partia są lepsze, prowadzona na prywatnym profilu na portalu społecznościowym? A taka sama rozmowa na zamkniętej liście dyskusyjnej lub forum internetowym? Czy różnicę stanowiłoby, czy forum jest otwarte dla wszystkich, czy tylko dla zarejestrowanych i zalogowanych? Czym co do istoty różni się rozmowa 20 osób w czasie ciszy wyborczej na spotkaniu towarzyskim twarzą w twarz od takiej samej rozmowy na portalu internetowym? A jeżeli rozmowę toczą ze sobą Polacy należący do rywalizujących komitetów wyborczych, ale odbywa się ona na obcojęzycznym portalu (może nawet w obcym języku), którego serwery mieszczą się na Hawajach? A jeśli w niepolskim serwisie społecznościowym (takim jak Twitter) w czasie ciszy wyborczej agitacyjny wpis umieści Polak znajdujący się w tym momencie poza Polską, to co? A jeśli poda go dalej Polak będący w tym momencie w kraju? Co z agitacją poza granicami Polski? Tam przecież ciszy wyborczej nie ma, a przebywający na obczyźnie polscy obywatele mają prawo głosu. Nikt na te oraz inne pytania nie odpowiedział i zapewne nie odpowie dopóty, dopóki nie pojawi się konkretna sprawa, przypominająca któryś z opisanych przypadków. Nie są to jednak pytania wydumane – takie sytuacje nie tylko mogą się zdarzyć, lecz także już się zdarzają i pokazują, że polskie przepisy są kompletnie oderwane od rzeczywistości XXI w.

Podobnie rzecz ma się z podawaniem wyników sondaży. Od dobrych paru lat media społecznościowe pełne są w dniu wyborów przecieków z exit poll, ledwo maskowanych mało wyszukanymi kryptonimami nadawanymi kandydatom (w wyborach prezydenckich) lub partiom (w wyborach parlamentarnych). Internauci bezlitośnie kpią z takiego stanu rzeczy, pokazując na memach szefa Państwowej Komisji Wyborczej mówiącego do słuchawki: „Policja? Proszę przyjechać na Twittera!". A przypomnieć trzeba, że Kodeks wyborczy za podawanie w trakcie ciszy wyborczej wyników sondaży jakiegokolwiek typu przewiduje kary od 500 tys. zł do 1 mln.

Absurd ciszy wyborczej objawia się szczególnie ostro w przypadku wyborów samorządowych, zwłaszcza drugiej tury, oraz uzupełniających (np. do Senatu). Kampania dotyczy przecież, teoretycznie, spraw lokalnych, zatem cisza wyborcza nie powinna obejmować dyskusji o polityce krajowej. Jak to jednak rozdzielić? W praktyce zatem wszystkie instytucje medialne oraz osoby publiczne paraliżuje strach i zawieszają one polityczne dyskusje w ogóle. Czy jednak rozmowa w radiu o polskiej polityce zagranicznej w dniu wyborów samorządowych – polityce realizowanej przecież przez konkretny rząd i konkretne osoby – może zostać uznana za agitację? Teoretycznie nie powinna, ale w praktyce – nie wiadomo.

eprasa.pl 2c83a54b18

FOT. FOTOLIA

W drugiej turze wyborów samorządowych, która polega na dogrywkach w niektórych tylko gminach i miastach w wyborach prezydenta, burmistrza lub wójta, absurd jest jeszcze wyraźniejszy. Dogrywki mają bowiem charakter już ściśle lokalny, tymczasem ograniczenia dotyczą całego kraju.

Jednak szczytem nonsensu jest cisza w przypadku referendum lokalnego. Gdy w 2013 r. w Warszawie mieszkańcy decydowali o ewentualnym odwołaniu Hanny Gronkiewicz-Waltz ze stanowiska prezydenta, okazało się, że Państwowa Komisja Wyborcza nie wie, jak zinterpretować przepisy o ciszy wyborczej. Skoro referendum jest lokalne, to i cisza wyborcza powinna obowiązywać tylko w granicach obszaru, którego dotyczy. Jak jednak odnieść to do Internetu czy mediów ogólnopolskich? Dlaczego telewizja, odbierana w całej Polsce, nie miałaby pokazywać debat na temat referendum dotyczącego tylko jednego miasta? Dlaczego nie miano by rozdawać ulotek tuż przed tablicą wyznaczającą granicę miasta?

MEDYTACJA PRZED GŁOSOWANIEM

Argumenty za utrzymaniem ciszy wyborczej są od lat te same. Część ma charakter, można by rzec, humorystyczny. Trudno inaczej ocenić te, które mówią, że wyborca potrzebuje czasu do namysłu i wyciszenia. Tak jakby ktoś sądził, że w piątek wieczorem wyborcy zasiadają głęboko w fotelach i dzięki ciszy wyborczej dogłębnie rozważają przez kolejne kilkadziesiąt godzin, na kogo by oddać głos. Zwolennicy ciszy powiadają, że nie można pozwolić wyborcom głosować pod wpływem impulsu. Nie wyjaśniają jednak, czym różni się impuls w postaci reklamy wyborczej otrzymany w piątkowy wieczór od identycznego impulsu otrzymanego w niedzielę w drodze do lokalu wyborczego.

Zwolennicy ciszy wyborczej nie traktują obywateli poważnie. Albo uznajemy, że czynne prawo wyborcze należy się każdemu i nie wnikamy w to, na jakiej podstawie podejmuje decyzję – czy to głęboka analiza programu, czy głosowanie na ostatnią osobę ujrzaną na plakacie albo rzut kostką w kabinie do głosowania – albo wprowadźmy obowiązkowe uzasadnienia dokonywanego wyboru i za nieważne uznajmy wszystkie głosy oddane bez niego.

Jeśli zaś ktoś chwali ciszę wyborczą za to, że daje mu kilkadziesiąt godzin spokoju, to przecież nikt nie zabrania mu na co dzień wyłączyć Internetu, nie słuchać radia, nie oglądać telewizji ani nie czytać gazet.

Jedyny pozornie sensowny argument za ciszą wyborczą to ten, że jeśli ktoś w dniu wyborów odpaliłby porażającą, być może całkowicie fałszywą wiadomość, to nie byłoby już czasu na reakcję. To jednak argument obosieczny. Co bowiem stałoby się, jeśli taka wiadomość zostałaby odpalona w piątkowy wieczór, tuż przed początkiem ciszy, gdy nie byłoby już możliwości uruchomienia sprawy w trybie wyborczym?

Jest jeszcze gorzej: cisza wyborcza w obecnej postaci, gdy wiadomo o informacyjnych fałszywkach, którymi próbowano manipulować wynikiem wyborów m.in. w USA, wcale nie zmniejsza ryzyka – wręcz przeciwnie, potęguje je. Jeśli bowiem ośrodek chcący zdestabilizować sytuację polityczną w Polsce podałby w sieci w trakcie ciszy wyborczej wiadomość całkowicie spreparowaną, to nie ma jak zareagować. Polska nie ma przecież żadnych instrumentów, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się takiej informacyjnej fałszywki. Żadnych dementi podawać nie można, bo zostaną uznane za agitację.

Wyobraźmy sobie np., że w sobotę, przed drugą turą wyborów prezydenckich, zaczyna krążyć po sieci – której znaczenie w wyborach jest za każdym razem większe – informacja, że jeden z kandydatów jest szantażowany przez obcy wywiad w związku ze swoimi nietypowymi upodobaniami seksualnymi. Informacja całkowicie fałszywa, ale w ciszy wyborczej nikt nie może jej już sprostować. Nie ma możliwości wytoczenia procesu w trybie wyborczym, zresztą i tak nie wiadomo, komu ten proces wytaczać, bo wiadomość ma swoje źródło na zagranicznym portalu. Teoretycznie można założyć, że wybory za nieważne uznałby Sąd Najwyższy, który – zgodnie z art. 129 konstytucji – stwierdza ważność wyboru prezydenta. Nietrudno sobie jednak wyobrazić, jaki chaos wywołałaby taka decyzja, szczególnie w sytuacji, gdy sądownictwo, w tym zwłaszcza SN, są obiektem ostrej politycznej gry. Nie bardzo zresztą wiadomo, na jakiej podstawie SN miałby taką decyzję podjąć. Nie byłoby tu przecież formalnych przesłanek, a zmierzenie, jaki wpływ na wyborców miała informacyjna fałszywka, byłoby niemożliwe. W takich okolicznościach cisza wyborcza okazałaby się nie błogosławieństwem, ale przekleństwem. To, co dziś wydaje się zabawne, jest w istocie bombą zegarową podłożoną pod polski system polityczny.

Z PRETENSJAMI DO SEJMU

O tym, że cisza wyborcza, przynajmniej w obecnej postaci, jest absurdem, mówili po ostatnich wyborach nawet przedstawiciele PKW. Ostatnio bardzo zdecydowanie wypowiadał się w tej sprawie sędzia Wojciech Hermeliński, szef komisji. W rozmowie z Radiem RMF FM pod koniec września stwierdził: „My już od jakiegoś czasu po każdych wyborach przedstawiamy prezydentowi, marszałkom Sejmu i Senatu, premierowi nasze uwagi, propozycje co do zmian. Podnosimy zawsze, że warto się zastanowić, czy tej ciszy wyborczej nie zlikwidować. Wydaje mi się, że powinno się ją zlikwidować. To jest już przestarzała instytucja z czasów, kiedy Internet się dopiero rozwijał".

Przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej, najczęściej będącej obiektem żartów, okazuje się mieć w sprawie ciszy wyborczej stanowisko znacznie trzeźwiejsze i rozsądniejsze niż politycy. Warto o tym pamiętać, zanim w czasie ciszy wyborczej znów napisze się tweeta o „leśnych dziadkach" z PKW, bo jeśli gdzieś „leśne dziadki" siedzą, to raczej w Sejmie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

Trzy literki i pięć wcieleń

Piotr Semka

H.G.W. – ten skrót był znakiem firmowym jednej z najdłuższych karier politycznych po 1989 r. Hanna Gronkiewicz-Waltz weszła na polityczną scenę w 1991 r. jako nikomu nieznana amatorka, a za trzy tygodnie zejdzie z niej, gdy skończy się jej kadencja prezydent Warszawy

Karierę polityczną Hanny Gronkiewicz-Waltz można opisać poprzez pięć kolejnych wcieleń. W większości przemyślanych i skutecznych. Jednak żadne z nich nie kojarzy się z niczym sympatycznym.

WCIELENIE NR 1: CÓRECZKA LECHA

Na Hannę Gronkiewicz-Waltz zwrócić uwagę Wałęsy miał Lech Falandysz, minister i nadworny Belwederu. Falandysz poznał H.G.W. w Partii Wyborców Lecha Wałęsy „Victoria" – dość efemerycznej formacji powstałej w czasie kampanii prezydenckiej 1990 r. Jak wspomina Falandysz, pierwszymi występami publicznymi młodej prawniczki były te w programie „Sprawa dla reportera". Gronkiewicz-Waltz, rocznik 1952, nie miała złego życiorysu. W 1975 r. ukończyła z wyróżnieniem studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizując się w publicznym prawie gospodarczym. Po Sierpniu '80 pani Hanna zakładała na swoim macierzystym wydziale koło NSZZ „Solidarność", ale nie była specjalnie aktywna, bo pisała doktorat. Obroni go w 1981 r. Temat: „Rola ministra przemysłowego w zarządzaniu gospodarką państwową". Podobnie jak dla większości jej pokolenia stan wojenny był dla niej szokiem. Jednak zamiast odreagować go działalnością konspiracyjną podczas ponurych lat rządów ekipy Jaruzelskiego, zwróciła się ku pogłębionej religijności. To wtedy związała się z katolicką Odnową w Duchu Świętym. Przez pewien czas pracowała na Wydziale Prawa warszawskiej Akademii Teologii Katolickiej. Dla takich ludzi Wałęsa był w 1990 r. pierwszym liderem, który „nie wstydził się nosić Matki Boskiej w klapie".

Przedstawiona Wałęsie przez Falandysza szybko zdobyła zaufanie „wodza". Próżnemu prezydentowi schlebiało, że miała doń wtedy quasi-religijny stosunek, co dodatkowo Wałęsa uznał za gwarancję pełnego posłuszeństwa. Najpierw, w 1991 r., wprowadził ją do Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Bankowego, a potem, w grudniu 1991 r., złożył wniosek do Sejmu o powołanie jej na szefa Narodowego Banku Polskiego.

Hanna Gronkiewicz-Waltz w 1993 r. Pełniła wtedy funkcję prezesa NBP

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Elity gospodarcze, uznające wtedy za guru Leszka Balcerowicza, potraktowały to jako dziwactwo. Jej pierwsze zdjęcie w gazetach przedstawiały pyzatą damę w niezbyt modnej sobolowej czapie. Sejm utrąca H.G.W. Jednak Wałęsa jest uparty i dopina swego w 1992 r. Zaczyna się sześcioletnia kadencja ulubienicy Wałęsy w NBP. Media liberalne pozostają nieufne. Gdy wychodzi na jaw jej zaangażowanie religijne – słychać kpiące pytania: „Czy nowa szefowa NBP przy najważniejszych decyzjach radzi się Ducha Świętego?". Panie z magazynów mody szydzą z jej żakietów w wielką pepitę i „botków raciczek". Jednak Gronkiewicz-Waltz okazuje się lepszą szefową banku, niż wszyscy się spodziewali. Swoją mocną pozycję zawdzięczała też dobrym relacjom z Mieczysławem Wachowskim, „cieniem Wałęsy". W kuluarach Sejmu szeptano wtedy, że dzięki dobrym relacjom z szefową NBP Wachowski miał uzyskiwać zawczasu wiele cennych informacji na temat zmian kursów złotego. Pani prezes zdobywa uznanie sprawną dewaluacją na początku 1995 r. Chwytliwy był klip: „Rach, ciach, ciach, cztery zera".

WCIELENIE NR 2: OPIEKUJĄCA SIĘ POLSKĄ

W tym samym 1995 r. ma miejsce krótki, najbardziej tajemniczy i dziwny

2c83a54b18

epizod w jej życiu. Hanna Gronkiewicz-Waltz godzi się kandydować na prezydenta. Wałęsa, który sam startuje, uznaje to za zdradę. Prezydenccy ministrowie pytają: „Jak z wielkim Lechem może się mierzyć jakaś pańcia?". Rolę politycznych „coachów" H.G.W. przyjmuje dwóch młodych wilków prawicowej polityki – Piotr Wójcik i Andrzej Anusz. H.G.W. wspiera też ówczesny lider ZChN Ryszard Czarnecki. Niechętne kandydatce jest Radio Maryja.

Polityczna prowizorka kończy się fatalnie. Wałęsa przegrywa z Aleksandrem Kwaśniewskim, ale H.G.W. uzyskuje dalekie, szóste miejsce z wynikiem 2,76 proc. Wielka przegrana po klęsce okopuje się w NBP.

WCIELENIE NR 3: GWIAZDA TRANSFORMACJI

Zaczyna się epoka prezydenta Kwaśniewskiego, ale – o dziwo – obóz SLD nie robi nic, by usunąć Gronkiewicz-Waltz ze stanowiska. Po dwóch latach do władzy dochodzi Akcja Wyborcza „Solidarność", która nie uważa jej za zagrożenie. W tym czasie przekonuje się do niej Unia Wolności, która zauważyła, że pani prezes nie ma żadnych ambicji, by walczyć z układem okrągłostołowym.

W 2000 r. wielka polityka wpada na chwilę jak tajfun do jej „fachowego" świata. Bronisław Geremek po latach czekania na okazję postanawia przejąć przywództwo Unii Wolności z rąk jej lidera Leszka Balcerowicza. Ten gotów jest odejść z szefostwa UW, ale tylko w zamian za atrakcyjny, nowy fotel. Geremek miał wówczas skorzystać ze swoich wpływów i przeprowadzić szachową roszadę. H.G.W. zgadza się odejść w połowie kadencji z prezesostwa NBP i oddać swoją funkcję Balcerowiczowi w zamian za wiceszefostwo Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju w Londynie. Geremek spina wszystko, jak należy, i H.G.W. wyjeżdża do Londynu na kadencję w latach 2001–2004. Po powrocie zgłasza akces do Platformy. W 2005 r. zostaje posłanką PO i szybko zaczyna pryncypialnie walczyć z pierwszym rządem PiS oraz braćmi Kaczyńskimi. W nagrodę w 2006 r. Donald Tusk wystawia ją w walce o prezydenturę Warszawy przeciw Kazimierzowi Marcinkiewiczowi. H.G.W. wygrywa. Zaczynają się 12-letnie rządy nad stolicą.

WCIELENIE NR 4: ŻELAZNA LADY PO

Dzisiaj wiemy już wiele, w jak dużym stopniu jej rządy były epoką robienia kolosalnych, patologicznych interesów na styku deweloperzy – handlarze roszczeń – aparat ratusza i PO. Rzeka pieniędzy płynęła wówczas do kieszeni ludzi żyjących z dobrych układów z obozem Tuska.

A pani Hanna już wie, że niedobrze jest zbyt dużo mówić o swojej religijności. Od początku nowego wieku Hanna Gronkiewicz-Waltz zbliża się do Bogdana Olechnowicza – pastora Chrześcijańskiej Wspólnoty „Górna Izba" w Gorzowie Wielkopolskim, a w latach 1994–2002 pastora zielonoświątkowców. Olechnowicz jest jednym z liderów ruchu „Polska dla Jezusa". Z tych kręgów wywodzi się pastor i były poseł PO – John Godson. Olechnowicz sławi Platformę w biblijnym stylu. 18 września 2010 r., czyli już po katastrofie smoleńskiej, w trakcie Konferencji Krajowej Ruchu Polska dla Jezusa sławi nowe władze. – Bóg dał naszemu narodowi, nie boję się tego powiedzieć, przywódców o sercu Dawida. To nie jest deklaracja polityczna, to jest deklaracja duchowa. […] I Kościół najlepszą rzecz, jaką może zrobić, to ich błogosławić – głosił Olechnowicz. Sama Gronkiewicz w wywiadzie udzielonym w 2008 r. dla KAI wyznała, że na działalność w Odnowie nie ma już czasu, ale „źródłem" pozostają dla niej modlitwa i sakramenty. Deklarowała, że często bywa u karmelitanek na warszawskiej Woli. Nominacje abp. Hosera i abp. Nycza na rządców warszawskiej diecezji oceniła jako dowód czuwania Ducha Świętego.

Jednak to uduchowienie nie przeszkadza wiosną i latem 2010 r. trafić H.G.W. na pierwszą linię konfliktu politycznego. W sporze o krzyż smoleński na Krakowskim Przedmieściu nie szuka kompromisu. Strażnicy miejscy nie interweniują, gdy młodzieżowe grupki zaczepiają modlących się pod krzyżem. Za to starannie zbierają kwiaty i nadzorują usuwanie zniczy natychmiast po miesięcznicach. H.G.W. długo jest nieprzejednanym wrogiem jakiegokolwiek pomnika smoleńskiego. Potem proponuje poślednią lokalizację dla pomnika przy ul. Focha.

Pomysł Marty Kaczyńskiej na pomnik świateł przyrównuje do parteitagów NSDAP w Norymberdze. Nie przeszkadza to jej wygrać po raz trzeci w 2014 r. z Jackiem Sasinem, kandydatem PiS. Ten jej partyjny status „młota na kaczyzm" dobrze opisał w 2011 r. Kazik Staszewski w piosence „Hanna Gronkowiec walczy":

„Przeglądam się w lustrze od rana, do walki mam być ładnie ubrana.

Z bronią w ręku na przyklęku, wyceluję we wrogów naszych równo.

Gwoździe rozlecą się po ich ciałach, będą ofiary, to trudno".

Słodką epoką dla pani prezydent jest przywództwo Ewy Kopacz w PO. Panie wyraźnie się lubiły i wspierały.

WCIELENIE NR 5: BALAST

Ten ciąg udanej kariery w PO kończy się w październiku 2017 r., gdy „Gazeta Wyborcza" drukuje cykl tekstów Iwony Szpali, potwierdzający to, o czym radni PiS i gazety prawicowe pisały od dawna – reprywatyzacja nieruchomości w Warszawie miała wiele cech procederu przestępczego. Platforma, na czele z Grzegorzem Schetyną, odsuwa się od niej. Gronkiewicz-Waltz traci funkcję wiceszefa partii. Wydaje się, że jest już skończona. Jednak PiS nie korzysta z możliwości wprowadzenia komisarza, bo chce, by H.G.W. była do wyborów symbolem złodziejstwa w stolicy, grillowanym na forum komisji Jakiego. Pani prezydent odrzuca wezwania na komisję i zaczyna być znów chwalona w swej partii za zadziorność. Zdobywa poklask opozycji za odmowę dekomunizacji nazw ulic. A temat przestępczej reprywatyzacji traci walor świeżości. Nowy kandydat PO na prezydenta Warszawy, Rafał Trzaskowski, też zaczyna bronić H.G.W. Wie, że lepiej atakować, niż tłumaczyć się za udział w jej kampanii w 2014 r. Zaczyna głosić: „Pani Hanna zmieniła Warszawę na lepsze".

Ten sam ton przyjmuje „Gazeta Wyborcza", która pożegnalny wywiad tytułuje cytatem z pani prezydent: „Nie jestem Hanną Wielką, ale Warszawa stała się metropolią". H.G.W. przeprasza za urzędników, ale nadmienia: „Skąd mogłam wiedzieć, że osoby zatrudnione w ratuszu, zresztą przez PiS, okażą się nieuczciwe?". Dziennikarze „GW" zadają dramatyczne pytanie: „Nie obawia się pani, że teraz służby panią zatrzymają?". I odnotowują dumną odpowiedź: „O tym nie myślę i nie lękam się".

Jak się wydaje, Platforma będzie teraz bronić jej dorobku, ale za cenę usunięcia się H.G.W. w cień. Nie została zaproszona na konwencję Rafała Trzaskowskiego. Politycy PO, pytani, czy to już ostateczna emerytura H.G.W., wskazują, że nie ma co marzyć o miejscu w europarlamencie. Jednak zaraz dodają: „W najbliższych eurowyborach ugramy znacznie mniej niż cztery lata temu. A chętnych do miejsc na listach jest sporo".

Czy gdyby nie to, w Platformie nie zwyciężyłby pogląd, że na złość PiS trzeba jakoś uhonorować tę żywą ikonę antykaczyzmu?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

Wojciech Wybranowski

Tusk, Kulczyk i Afryka

Współpracownik Donalda Tuska miał ustalać ze znanym przedsiębiorcą, jak środowisko byłego premiera może z korzyścią dla siebie „ustawić się” na ewentualnych inwestycjach w RPA. Oni mieli zarobić, Polska stracić – zeznawał jeden z kelnerów

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Jak bardzo ekipa Donalda Tuska była gotowa – nie bez korzyści dla siebie – realizować interesy znanego przedsiębiorcy Jana Kulczyka?

Z materiałów zgromadzonych w Sądzie Najwyższym w aktach „afery taśmowej”, do których wgląd dostało „Do Rzeczy” (w tym z nagrań i zeznań Konrada L. i Łukasza N., nielegalnie nagrywających spotkania polityków i biznesmenów) wynika, że członkowie poprzedniej ekipy w co najmniej kilku sprawach mieli dogadywać się z Janem Kulczykiem. O kilku z nich informowały już media, m.in. o kontrowersyjnej prywatyzacji Ciechu (Kulczyk przejął to przedsiębiorstwo znacznie poniżej wartości) czy rozmowach biznesmena z Radosławem Sikorskim, Krzysztofem Kwiatkowskim i Pawłem Grasiem. Z naszych ustaleń wynika jednak, że była jeszcze co najmniej jedna sprawa, na której – jeśli wierzyć zeznaniom kelnerów – kosztem państwa dorobić się mieli członkowie rządu Donalda Tuska i sam Kulczyk.

NARADY O RPA

Chodzi o planowane inwestycje w Republice Południowej Afryki. Spotkanie, na którym omawiano ten temat, miało zostać zarejestrowane na podsłuchach, ale nie ma go w 43 ujawnionych i udostępnionych nam przez SN aktach afery taśmowej. Niewykluczone, że znalazły się w części akt nadal mających klauzulę tajności, zostały zniszczone lub pozostają jeszcze nieujawnione.

Rozmowa Kulczyka z wysłannikiem rządu Donalda Tuska miała zostać zarejestrowana w październiku 2013 r. w restauracji Amber Room, w prywatnym gabinecie założyciela Klubu Polskiej Rady Biznesu – Jana Wejcherta.

eprasa.pl 2c83a54b18

Pierwszy ślad tej taśmy pojawia się w zeznaniach Konrada L. Kelner przesłuchiwany 23 czerwca 2014 r. przez podinspektora Andrzeja Wójcika precyzował, że to spotkanie było jednym z ciekawszych nagranych przez niego. „[...] Najbardziej istotne nagrania dotyczą głównie spotkań Jana Kulczyka, określanego przez nas oraz jego środowisko jako doktor z uwagi na jego tytuł doktorski. Do zapamiętanych przeze mnie nagrań mogę zaliczyć spotkania Jana Kulczyka z jednym z ludzi z Ministerstwa Skarbu, nazwiska nie pamiętam. Był to mężczyzna w wieku około 30–40 lat, co wnioskuję z przebiegu rozmowy [...]"– opowiadał Konrad L.

O kogo mogło chodzić? Jednym z ówczesnych wiceministrów Skarbu Państwa spotykających się najczęściej z Kulczykiem na nieoficjalnych spotkaniach był Paweł Tamborski. W lutym 2018 r. został zatrzymany przez CBA w związku z nieprawidłowościami przy sprzedaży Ciechu SA (sąd nie zgodził się na areszt). Nie zgadza się jednak jego wiek, w dodatku Tamborski był doskonale znany kelnerom. Niewykluczone, że chodzi o innego regularnego uczestnika spotkań z Kulczykiem, urzędnika MSP – Tomasza Z., także związanego z prywatyzacją Ciechu. Przesłuchujący kelnera nie próbował tego ustalić.

„[...] Nagrana rozmowa dotyczyła planowanego wyjazdu premiera rządu RP wspólnie z Janem Kulczykiem do RPA oraz interesów, kontaktów biznesowych, które planowano wówczas nawiązać. Z treści rozmów można odnieść wrażenie, że wyjazd miał przysporzyć korzyści Kulczykowi oraz pozostałym uczestnikom wyjazdu, co niekoniecznie pozostawało zbieżne z interesem RP" – mówił śledczemu Konrad L.

I tym razem prowadzący przesłuchanie podinspektor, podobnie jak w przypadku tożsamości rozmówcy Kulczyka, nie dociekał, co miało być tak korzystne dla uczestników wyjazdu, a niekorzystne dla kraju.

Wątek biznesu w RPA kolejny raz pojawia się dzień później – 24 czerwca 2014 r., podczas przesłuchania Konrada L. przez prok. Zbigniewa Smolińskiego. Tym razem kelner ma nieco lepszą pamięć i podaje więcej szczegółów: „[...] Kulczyk opowiadał o mechanizmach działania w RPA. Podczas tego spotkania Kulczyk rozmawiał o możliwościach połączenia swoich źródeł roponośnych w Afryce z Orlenem. Mówił, że namawia go do tego Jacek Krawiec, prezes PKN Orlen".

Były premier Donald Tusk i jego najbliżsi współpracownicy, m.in. Sławomir Nowak, Marcin Korolec oraz Beata Kudrycka, do RPA wybrali się w połowie października 2013 r. – Nie jadę na safari – przekonywał wtedy dziennikarzy Tusk. Jednak seria spotkań na najwyższym szczeblu, narady i gospodarcze konferencje, w których uczestniczyli, nie zaowocowały spektakularnymi kontraktami ani inwestycjami dla polskich państwowych firm.

JAK ZROBIĆ BIZNES Z KULCZYKIEM?

Z zeznań kelnerów wynika, że kwestie dotyczące korzystnych dla biznesmena przedsięwzięć pojawiały się na spotkaniach członków rządu z „doktorem Janem" dość często.

Łukasz N., także autor nielegalnie realizowanych w restauracji Sowa i Przyjaciele nagrań, podczas przesłuchania 22 sierpnia 2014 r. opowiadał o spotkaniach, których przebieg nagrywał lub odsłuchiwał przed przekazaniem taśmy Markowi Falencie. „Pamiętam spotkanie Jana Kulczyka, Jacka Krawca, Piotra Wawrzynowicza i Sławomira Nowaka. To był chyba przełom 2013 i 2014 r. W restauracji Sowa i Przyjaciele w sali VIP – opowiadał Łukasz N. – [...] Z tego, co pamiętam, rozmawiali o farmach wiatrowych na morzu. Rozmawiali o tym, że dobrze byłoby połączyć Kulczyka ze spółkami Skarbu Państwa, że dobrze byłoby zrobić wspólny projekt ze Skarbem Państwa przy pomocy funduszy unijnych".

Z treści nagrań można odnieść wrażenie, że wyjazd do RPA miał przynieść korzyści Kulczykowi, co nie musiało być zbieżne z interesem RP

Do budowy farm wiatrowych na polskim morzu Kulczyk przymierzał się od dłuższego czasu. W 2015 r. kontrolowana obecnie przez Dominikę Kulczyk spółka Polenergia rozpoczęła prace przygotowawcze dotyczące budowy wiatraków na Bałtyku. W tym roku spółka poinformowała, że zamierza wybudować z Equinor (dawny Statoil) dwa tego typu obiekty. Planowana łączna moc elektrowni wiatrowych wyniesie ok. 1,2 GW.

Kelner mówił też prokuratorowi, że Kulczyk, Wawrzynowicz, Nowak i Krawiec rozmawiali o połączeniu biznesu Kulczyka z państwowym Orlenem. W tej sprawie mieli spotkać się ponownie w lutym 2014 r., ale – jak opowiadał Łukasz N. – do takiego spotkania już nie doszło.

Po wybuchu „afery taśmowej" Jacek Krawiec wysłał do Łukasza N. SMS, w którym pisał, że Nowak, były minister transportu i budownictwa, jest przerażony, iż nagrania z jego udziałem mogą wypłynąć. Jak wynika z zabezpieczonego na wniosek prokuratury SMS-a, Krawiec pisał, iż Nowak ma twierdzić, że „jest skończony".

WYGASZANIE KOPALNI

W minionym tygodniu TVP wyemitowała nieznane dotąd nagrania rozmowy Jana Kulczyka z Pawłem Grasiem, ówczesnym rzecznikiem rządu, jakie zarejestrowano w restauracji Sowa i Przyjaciele. Kulczyk m.in. lobbował u Grasia w sprawie budowy niemiecko-polsko-ukraińskiego koncernu gazowego, a także korzystnego dla miliardera statusu pośrednika w handlu surowcem między Polską, Ukrainą, UE i Katarem.

W rozmowie padają sugestie, że polskie kopalnie w takiej sytuacji należałoby wygasić. „Ja mam inny pomysł: żeby górnictwo polskie poszło za granicę. Możemy zrobić parę odkrywek w Afryce i wtedy masz cenę mieszaną. Ile oni potrzebują, co tam produkują? 100 dolarów? I, kurczę, kupić coś, co kosztuje 60 dolarów i z tego ci 80 średnia wychodzi i potem można wygaszać, wygaszać, dać im dobrą pracę, pojadą tu, pojadą tam i wtedy to rozegrasz" – mówił Kulczyk.

Z akt dotyczących afery podsłuchowej wynika, że wśród nagranych rozmów polityków i biznesmenów z Janem Kulczykiem oprócz wspomnianych są zarejestrowane także jego rozmowy z Krzysztofem Kwiatkowskim, Pawłem Tamborskim, Wawrzynowiczem, Kwaśniewskim i Millerem.

Z liderem SLD Kulczyk miał rozmawiać w drugiej połowie listopada 2013 r. Krótko po tym Miller miał spotkać się z Kwaśniewskim w Saloniku Polskim w Pałacu Sobańskich i rozmawiać z nim m.in. na temat interesów Kulczyka na Ukrainie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

Rafał A. Ziemkiewicz

Dlaczego wyborcy nie pozwalają wyrosnąć żadnej politycznej „trzeciej sile”?

Podobno – państwo, czytając ten tekst, już wiedzą, dla mnie, piszącego, to jeszcze „podobno” – szykuje nam się wyższa niż kiedykolwiek w wyborach samorządowych frekwencja wyborcza. Z pozoru wypada się cieszyć, przecież wysoka frekwencja wyborcza dowodzi zdrowia demokracji, przecież od lat słychać ubolewania, że jest u nas za niska, i od lat dyskutuje się na różnych forach nad różnymi pomysłami jej zwiększenia.

W istocie – nie ma powodu do radości. Wzrost frekwencji, jeśli rzeczywiście nastąpi, wcale nie wynika ze wzrostu obywatelskiej świadomości i aktywności, nie jest żadnym przejawem – by użyć słowa klucza „etosowych” dysput sprzed prawie już trzech dekad – „upodmiotowienia społeczeństwa”. Polacy wcale nie zaczęli się gremialnie interesować sprawami swojej lokalnej społeczności, nie nabrali świadomości, że trzeba władzy patrzeć na ręce, pilnować jej, sprawdzać ją, dopytywać o szczegóły. Nic na to nie wskazuje.

Wszystko wskazuje natomiast, że idea lokalnej samorządności staje się kolejną ofiarą wojny politycznych plemion – i to właśnie mobilizacji owych plemion, a nie zdrowej, obywatelskiej trosce o stan „małych ojczyzn” zawdzięczać będziemy liczbowy przyrost głosujących.

Podsumowując najkrócej kończącą się kampanię samorządową (no, może nie tyle „kończącą się”, ile przechodzącą płynnie w kolejną kampanię, „europejską”), była ona chyba pierwszą tak mało związaną z samorządami. Oczywiście padały jakieś obietnice zbudowania tu czy tam drogi, mostu albo metra. Jednak nawet sami obiecujący – zwłaszcza ci, którzy występowali w kampanii w pozycji obrońców sprawowanych od lat urzędów i funkcji – ważyli sobie te obietnice na tyle lekce, że powtarzali swoje własne albo swojej partii zapowiedzi sprzed kilku kadencji, zupełnie się nie obawiając, że padnie proste pytanie: A dlaczego przez tyle lat nawet nie próbowaliście tego zrealizować?

Armagedon zszedł do gmin

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl 2c83a54b18

Członkowie własnego plemienia i tak przecież takiego pytania nie zadadzą. A zadane przez członków plemienia konkurencyjnego pytanie takie, jak zresztą każde, nie będzie miało znaczenia – wiadomo, że oni są z gruntu nieważni, są nikczemni, odrażający, brudni, źli, służą obcym interesom, śmierdzi im z gęby, no i w ogóle.

Samorządy miast i sejmiki wojewódzkie stały się polem kolejnej konfrontacji między PiS a PO. Jedni i drudzy w nastrojach armagedonalnych, doprowadzający masy członkowskie do skrajnej histerii – w języku polityki zwanej uprzejmie „mobilizacją" – szafujący retoryką „to jest walka o wszystko, to jest moment decydujący o przyszłości na całe dziesięciolecia".

Jak zwykle, zgodnie z przywoływaną tu już przeze mnie zasadą bokserów na ringu, którzy nie bronią tego albo innego narożnika, tylko obskakują się dookoła, wypatrując okazji do ciosu, nieliczni komentatorzy zachowujący dystans mogli obserwować zabawną zamianę miejsc. Obecnie to PiS stał się dysponentem i beneficjentem narracji: „Nie róbmy polityki, budujmy…" powiedzmy, „budujmy gazoporty i przekopujmy mierzeję", premier jeździł po kraju, składając różne obietnice, szczególnie rolnikom, podpisując kontrakty takie i inne, zapowiadając rządowe inwestycje infrastrukturalne na wyborczo ważnych terenach. A PO całkowicie weszła w buty z czasów – jak sama wtedy nazywała zachowanie PiS – „rokoszu" i „fakelzugów", krzyczy w niebogłosy o „kondominium" Putina (nie używając oczywiście kojarzącego się z Kaczyńskim słowa), drze szaty nad rzekomo łamaną konstytucją i straszy polexitem, co w jej plemieniu jest odpowiednikiem „zamachu w Smoleńsku" i „utraty suwerenności".

@

„Wojnę domową śpiewam więc i głoszę, wojnę okrutną – bez broni, bez miecza"… Obawiam się, że wyborcy przygnani do urn po to, żeby „powstrzymać" „onych", nie ograniczą się do głosowania na partyjnych (nawet jeśli formalnie są bezpartyjni) prezydentów miast i delegatów do sejmików wojewódzkich. Skoro już przyszli, rozpaleni pragnieniem przysłużenia się swojej partii, to przy okazji przysłużą się jej także, zakreślając opatrzone emblematem partii pierwsze z listy nazwisko do rad gminy i powiatu. Nawet jeśli w życiu tego nazwiska nie słyszeli i nic, zupełnie nic im ono nie mówi. W ten sposób wyższa frekwencja, zamiast pomagać autentycznej samorządności tam, gdzie się ona w bólach od lat rodzi i coś tam już nieco zdołała dać, tylko ją zdemoluje.

Wojna domowa bowiem, niestety, niczego innego poza demolką przynieść nie może. Ogień pożera kolejne obszary i prowincje, zawłaszczane i odzyskiwane przez partyjne wojska, w szczęku broni milkną, zgodnie ze starym rzymskim przysłowiem, muzy – zresztą gdzie tam, gorzej jeszcze, niżby milkły, bo zmieniają się w drących mordy agitatorów i kaprali, autorytety rzucane na szalę topnieją w zacietrzewieniu i politycznym oszołomstwie, a mędrcy z własnej woli degradują się do roli partyjnych stupajków i „edków". Sąd Najwyższy zamieniony w partyjny wiec, wyroki i „pytania prejudycjalne" bez żadnego prawniczego sensu, za to pod potrzeby polityczne, jakieś sędziowskie „uchwały" mające pognębić „onych" i wesprzeć „naszych" w owym, jakoby rozstrzygającym na dziesięciolecia boju, bo „bój to będzie ostatni" – choć wszyscy wiedzą, że po nim przyjdzie kolejny, jeszcze bardziej decydujący i rozstrzygający na kolejne dziesięciolecia, i jeszcze bardziej ostatni, a po nim następny decydujący i najważniejszy, a w następnym roku – też jeszcze jeden.

Warto, wśród różnych aspektów niszczenia Polski przez postkolonialną wojnę „brukselczyków" z „tubylcami", których politycznymi emanacjami są PO i PiS ze swymi przystawkami, podkreślić ten nieustający stan wyjątkowy. Chwila jest zawsze szczególna, ostateczna, raz jeszcze użyję tego neologizmu: armagedonalna, i wojenne wzmożenie nie tylko usprawiedliwia odrzucenie normalnych ludzkich zachowań, lecz także wręcz to nakazuje. Nie myśl! „Na froncie nie zakłada się klubów dyskusyjnych". Zapomnij o wszelkiej przyzwoitości! Na wojnie skrupuły to słabość wiodąca ku przegranej. Nie miej swojego zdania! Na froncie defetystów i dezerterów się rozstrzeliwuje. Kto nie z nami, ten przeciwko nam! A jak już naprawdę trudno takiego przypisać przeciwnikom, to dokonuje się na nim egzekucji, nazywając – zależnie, z której strony – symetrystą lub rozkraczonym.

Przepraszam państwa za powtarzanie rzeczy ogólnie wszystkim znanych, wiele razy podkreślanych, ale najważniejsza jest zawarta w tym wszystkim tajemnica: Dlaczego Polacy właśnie tego chcą? Dlaczego im przekaz bardziej partyjny i propagandowy, tym wyższe słupki oglądalności i nakłady? Dlaczego wyborcy nie pozwalają wyrosnąć żadnej politycznej „trzeciej sile"?

@

Poza uwarunkowaniami historycznymi, o których pisałem tydzień temu, warto może zerknąć w dzieła tego rodzaju jak „Ucieczka od wolności" Ericha Fromma. Łatwość, z jaką dajemy się zapędzać w okopy plemiennej wojny PiS-PO, ba, wręcz entuzjazm, z jakim na nią maszerujemy, w dużym stopniu bierze się z odwiecznego ludzkiego instynktu wyrzeczenia się ciążącej sercu i umysłowi odpowiedzialności za siebie i za wszystko w ogóle. Znaleźć swojego wodza, Komendanta, guru, „autorytet moralnego" – i niech on mi mówi, co ja mam zrobić, niech on myśli, a ja będę mu bezmyślnie ufał i wiernie krzyczał: „Hurra, niech żyje, na pohybel wrogom!".

Tutaj przyznaję się do czegoś, do czego w moim zawodzie przyznawać się nie wypada – jestem intelektualnie bezradny. Tej cechy ludzkiej natury, która wiedzie ku bezmyślnemu oddaniu wodzom, moja rzymska i stoicka dusza po prostu pojąć w żaden sposób nie jest w stanie.

Jednak faktów nie można nie przyjmować do wiadomości. Kolejny bój, teraz dla odmiany o samorządy, pozostawia po sobie pobojowisko, zgliszcza i „spustoszałe łany" – i to zarówno tam, gdzie szańce zostały obronione, jak i tam, gdzie zostały zdobyte. Trudno oczywiście wyrokować przed głosowaniem, zwłaszcza gdy pamięta się sondaże sprzed wyborów prezydenckich i parlamentarnych, i co się one okazały warte – ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa PiS poszerzy swój stan posiadania bardzo wyraźnie, ale nie wystarczająco.

Tego, że niewystarczająco, jestem zresztą pewien. Logika zmian, których beneficjentem jest PiS – zmian zresztą ogarniających stopniowo cały Zachód, nie przypadkiem powtarzam „Polska trendsetterem narodów" – jest logiką rewolucji. A rewolucja nigdy nie ma dość. Nawet gdyby PiS wygrał we wszystkich dużych miastach i w sejmikach, to nikt nie odwoła stanu wojennego i nie ogłosi żadnej nowej polityki, żadnej abolicji ani amnestii. O polskim „adresie gettysburskim" nadal możemy tylko marzyć. Po armagedonie, który właśnie przetoczył się przez samorządy (w miastach pozostały jeszcze do rozstrzygnięcia drugie tury), przyjdą następne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

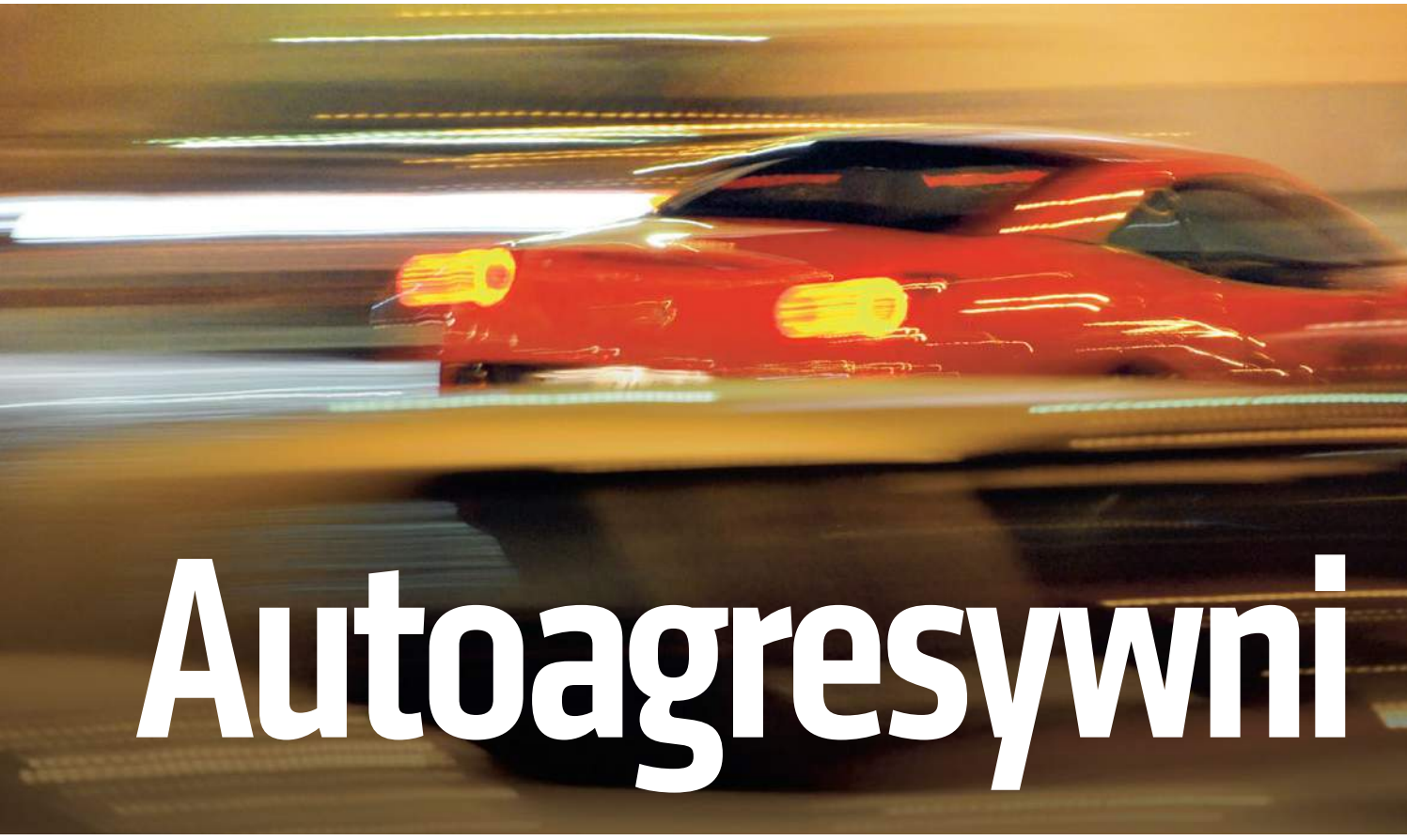

Autoagresywni

Łukasz Zboralski

Głośny wypadek polskich kierowców na Słowacji pokazał, że istnieją „ekskluzywne" grupy organizujące niebezpieczne wyprawy. I że w walce z piratami drogowymi Polska jest daleko za południowym sąsiadem

Na wąskiej słowackiej drodze 30 września kierowca, 42-letni Adam L., jadąc porsche cayenne, uderzył czołowo w skodę, którą podróżowała rodzina. Rodzice odwozili syna na studia. Ojciec zginął na miejscu, syn i matka zostali ranni. Dzięki filmowi nagranemu z innego pojazdu wyszło na jaw, jak doszło do tego wypadku. Na filmie ujawnionym przez słowacką policję widać było brawurową jazdę trzech kierowców z Polski – w miejscu, gdzie nie można było wyprzedzać, z wielką prędkością inne samochody minął najpierw mercedes. Potem mknęło ferrari, a za nim porsche. Kierujący ferrari 27-letni syn poznańskiego biznesmena Adam S. nagle zaczął hamować, jadący za nim trójmiejski biznesmen w porsche już nie zdążył – zawadził o samochód kolegi, zjechał prosto na skodę. Słowacka rodzina nie miała jak uciec.

To, co się działo później w tej sprawie, wzbudziło nawet pewną zazdrość Polaków śledzących doniesienia w Internecie. Słowacka policja od razu ujawniła zdjęcia z tablicami rejestracyjnymi polskich samochodów i poprosiła świadków o pomoc – bo miała sygnały, że szalona przejażdżka przez ich kraj odbywała się na dłuższej trasę. Prokuratorzy zapowiedzieli zdecydowane działania i słowa dotrzymali. Wszystkim trzem kierowcom – także 26-latkowi z mercedesa – postawili zarzuty spowodowania ogólnego zagrożenia zakończonego śmiertelnym wypadkiem i zażądali dla nich aresztu tymczasowego. Kierowcy porsche groziło od dwóch do pięciu lat więzienia, pozostałym dwóm – od pół roku do trzech lat za kratkami.

Kiedy sąd zgodził się za kratkami zatrzymać jedynie kierowcę porsche, słowaccy śledczy złożyli zażalenie. W kolejnej instancji zmienili zarzuty na mocniejsze – uznali, że Polacy świadomie doprowadzili do zagrożenia. Dlatego kierowcy porsche ostatecznie grozi 15–20 lat więzienia, a kierowcom mercedesa i ferrari – 10–15 lat. Rozpatrujący zażalenie sąd zgodził się, że kierowcy powinni do sprawy poczekać za kratkami, zatem zostali zamknięci. Wszystko to odbyło się w zaledwie kilka dni po wypadku.

GRUPY TRZYMAJĄCE KIEROWNICĘ

Gdyby do takiego wypadku doszło w Polsce, nigdy nie dowiedzielibyśmy się o tym, że nie był to przypadek – że są grupy specjalizujące się w organizowaniu wyjazdów dla posiadaczy ekskluzywnych i sportowych samochodów. I jak te wyjazdy wyglądają. Bo polska policja na zdjęciach z wypadków zamazuje numery rejestracyjne samochodów. Tymczasem właśnie dzięki ujawnieniu rejestracji mercedesa portal brd24.pl ujawnił, że było to auto z parku prasowego tej marki udostępnione dziennikarzowi. Łukasz K., który nim kierował, miał stronę internetową o motoryzacji. Brał udział w wielu takich wyjazdach, niektóre organizował.

Co się na nich działo? Dość szybko wyszło to na jaw. Firma Positive Ways, z którą jeździł też Łukasz K., na swojej stronie internetowej chwaliła się filmowymi podsumowaniami z eskapad. Na jednym z filmów podczas jazdy opowiadano, jak jeden z samochodów ekipy jechał

eprasa.pl 2c83a54b18

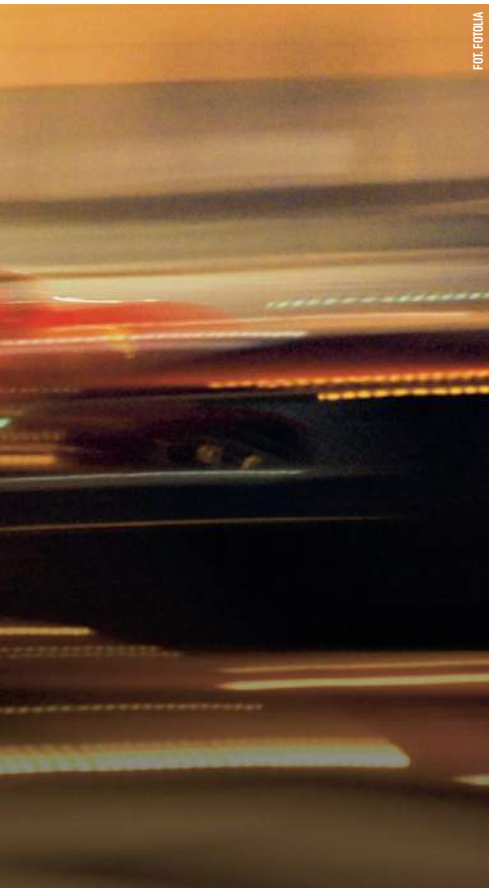
FOT. FOTOLIA

280 km/godz. i policja za granicą miała kłopot, by go dogonić. Ostatecznie miało zakończyć się mandatem w kwocie 70 euro. Po opisaniu tej sprawy przez brd24.pl wszystkie relacje filmowe z kanału Positive Ways szybko usunięto.

Wiadomo też, kto brał udział w takich wyjazdach. W programie TVN do wycieczek z tą grupą przyznał się były milicjant, antyterrorysta i poseł Jerzy Dziewulski. Przed dziennikarzami usprawiedliwiał swoich znajomych od wypraw. Ludzi, którzy doprowadzili do śmiertelnego wypadku, proponował... zbić paskiem po tyłku. Zarzekał się też, że podczas wyjazdów z Łukaszem K. wszystko odbywało się przyzwoicie. Sęk w tym, że Dziewulski przyznał się też do wyjazdu do Monte Carlo – a to właśnie w relacji filmowej z tej wyprawy, zamieszczonej na YouTube, jej uczestnicy opowiadali o rozpędzaniu się do 280 km/godz.

W środowisku organizującym podobne wyjazdy zawrzało. Zwłaszcza po tym, jak ludzie związani z Łukaszem K. zaczęli publicznie w mediach zaprzeczać, by podczas takich imprez dochodziło do łamania prawa na drogach.

Dla polskich organów ścigania sprawa okazała się jednak nieciekawa. Nikt nie próbował zainteresować się materiałami, które dokumentowały to, co się działo podczas wypraw. A rzecznik komendanta głównego policji w rozmowie z TVN24 wyznał, że kierowcy zatrzymani po tragedii na Słowacji byli polskiej policji dobrze znani. Polscy funkcjonariusze mieli wiele razy zatrzymywać ich za przekraczanie prędkości. To chyba najsmutniejsze podsumowanie polskiego systemu nadzoru na drogach – skrajnie niewydolnego.

W dodatku w tym samym czasie w Polsce znów dał o sobie znać Robert N., czyli niejaki „Frog", o którym zrobiło się głośno, gdy kilka lat temu w sieci pojawiły się filmy pokazujące jego szaloną jazdę przez Warszawę. Ma zakaz prowadzenia pojazdów, a już po raz kolejny sobie z tego zakpił. Usłyszał następny zarzut prowadzenia pojazdu mimo cofniętych uprawnień. Jego proces – za sprowadzenie w 2014 r. niebezpieczeństwa w ruchu lądowym – w którym grozi mu siedem lat więzienia, jeszcze się nie zakończył. W porównaniu ze słowackim wymiarem sprawiedliwości polski wypada bardzo słabo. A tak się akurat składa, że 28-letni „Frog" też jeździ drogimi samochodami, a sam jest właścicielem firmy leasingowej i wypożyczalni luksusowych aut.

SŁOWACY NA TROPIE

Słowackie służby nie zamierzają odpuścić. Mówią wprost o tym, o czym mówienie w Polsce wydaje się wstydliwe – właśnie dlatego tak zajmują się tą sprawą, że przez wybryki bogatych, którym wydawało się, iż są bezkarni, doszło do tragedii zwykłych ludzi. Jako przedstawiciele państwa stają całym sercem po ich stronie. Dlatego są też na tropie innych uczestników wyprawy zakończonej tragedią w Dolnym Kubinie. Słowaccy śledczy mają materiały, które wyciekły do Internetu – zdjęcia i filmy zamieszczane przez osoby biorące udział w wyprawie. Wynika z nich, że jeszcze co najmniej dwóch kierowców jechało w tej grupie – lamborghini na numerach rejestracyjnych z Pomorza oraz ford mustang.

Tak mocne zaangażowanie Słowaków nie wynika jednak tylko z tego. Władze tego kraju od kilkunastu lat prowadzą skuteczną reformę poprawy bezpieczeństwa na drogach. W 2014 r. Słowacja dostała europejską nagrodę (PIN Award) za największy postęp w redukcji ofiar wypadków drogowych. Po trzech latach zmian, których wprowadzanie zaczęło się od 2010 r., zginęło tam w wypadkach o 37 proc. mniej ludzi. W 2013 r. na Słowacji statystycznie ginęło w wypadkach 41 osób na milion mieszkańców, w Polsce w tym czasie ten wskaźnik wynosił 87 zabitych (do dziś tak bardzo się nie zmienił, w 2016 r. wyniósł 79, rok temu – 74, i był to piąty od końca wynik w Unii Europejskiej).

Jak Słowacy to zrobili? Na przykład zmienili działanie policji drogowej. Polscy funkcjonariusze do dziś podsumowują swoje działania liczbą mandatów czy wykrytych wykroczeń (ta jest zresztą przeraźliwie niska – bo podczas specjalnych akcji „Prędkość" jeden patrol policji przez całą dobę wykrywa średnio pięciu kierowców jadących za szybko). Słowacy stworzyli specjalny krajowy departament drogówki skupiający się na wykrywaniu najpoważniejszych naruszeń prawa, a nadzór policji nad kierowcami jeżdżącymi za szybko mierzą w liczbie godzin spędzonych na egzekwowaniu prawidłowej jazdy – ta wzrosła tam z 90 tys. godzin rocznie do 180 tys. godzin w latach 2010–2013.

Mają też oczywiście dużo wyższe kary – mandat za przekroczenie prędkości sięga kilku tysięcy złotych. Jednak przede wszystkim zbudowali sensowny system. Dzięki temu np. to kierowca złapany na jeździe po pijanemu przechodzi tam badania psychiatryczne – sprawdza się, czy człowiek nie jest uzależniony i nie trzeba próbować mu pomóc w profesjonalny sposób, bo inaczej znów wróci na drogę nawet bez prawa jazdy (polska policja odnotowuje wiele takich przypadków). Jeśli okazuje się, że uzależnienia nie ma, to kierowca nie trafia na leczenie, ale zmuszony jest do zajęć z psychologiem – musi odbyć cztery sesje grupowe i jedną indywidualną. To w sumie 14 godzin. W Polsce nakładane są tylko kary – wielu ponownie siada za kierownicą, a zdecydowaną większość ludzi osadzonych w polskich więzieniach za przestępstwa na drogach stanowią właśnie recydywiści jeżdżący po pijanemu.

Słowacy nie mają też problemu z ustalaniem zarejestrowanych sprawców wykroczeń. Odpowiedzialność przenieśli na posiadacza pojazdu. To on musi wiedzieć, komu pożycza swój samochód.

Mimo lepszego systemu po wypadku w Dolnym Kubinie słowaccy politycy już wnioskują, by przenieść do ich kraju polski system odbierania prawa jazdy za nadmierną prędkość w obszarze zabudowanym – bo po tragedii mają dowód, że bogatych ludzi nawet słone mandaty nie powstrzymują od ryzykowania życia swojego i innych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

Stolica na zieleninie

FOT. FOTOLIA

Agnieszka Niewińska

Warszawa zbiera laury w plebiscytach na miasta przyjazne weganom, przybywa wegańskich knajpek. Jednak ruch jest także w przychodniach, bo tym, którzy zrezygnowali z produktów zwierzęcych, lekarze coraz częściej zapisują zastrzyki z witaminy B12

Przy stolikach kilkoro głodomorów. Wpatrują się w swoje pagery, które miganiem dają znać, że na ladę wjechał Jaglanex, Tofex albo inny Warzywex. Z grubaśnego Cieciorexa wysypują się czerwona cebula, papryka, piklowane ogórki, kiełki. W gąszczu warzyw między połówkami bułki chowa się kotlet z ciecierzycy. Burger wegański na bogato to oferta sieci burgerowni Krowarzywa, która w Polsce ma już 10 lokali w siedmiu dużych miastach, wymieniana jest jako jedno z topowych wegańskich miejsc przez amerykański portal Happy Cow, a kilka dni temu pojawiła się na łamach brytyjskiego „The Economist". I tylko wielbiciele picia przez słomkę mogą być niepocieszeni, bo tych się w Krowarzywach nie uświadczy. Jak informuje dołączona do pustego dystrybutora słomek kartka, chodzi o ochronę stworzeń pływających, bo „słomki zabijają wieloryby".

NERNIK I BEZSERNIK

Vis-à-vis wegańskiej burgerowni jest kolejny lokal dla tych, którzy chcą zjeść bez mięsa, mleka, sera czy jaj. Wystarczy kilkuminutowy spacer, by dotrzeć do innych restauracji, barów czy bistro z „vege" w nazwie. Nic więc dziwnego, że w dorocznym zestawieniu Happy Cow najbardziej przyjaznych weganom miast Warszawa po raz kolejny uplasowała się w pierwszej dziesiątce. W 2017 r. została sklasyfikowana na trzecim miejscu za Berlinem i Los Angeles, wyprzedzając Nowy Jork czy Londyn. W tym roku nasza stolica uplasowała się na siódmej pozycji, ale z większą niż przed rokiem liczbą przyjaznych weganom miejsc. W 2017 r. amerykański serwis doliczył się 38 wegańskich restauracji. W tym już 47 – wymieniając w zestawieniu lokal Keboom!, serwujący wegańskiego kebaba, czy wegański Falafel Bejrut. Dostrzeżono też wegańską cukiernię Słodki Bez, która oferuje m.in. bezsernik, czyli sernik bez sera, czy nernik – ciasto z masą z orzechów nerkowca – czy wegańskie lody. Chociaż wśród tych ostatnich rośnie konkurencja. Kilka dni temu weganie z radością przyjęli informację, że w sklepowych lodówkach znajdziemy już wegańską wersję lodów Magnum – w składzie znalazły się izolat białka

eprasa.pl 2c83a54b18

pochodzącego z grochu oraz belgijska czekolada bez mleka.

Marcin Kubicki, dziennikarz, weganin i ambasador Happy Cow, który recenzuje wegańskie restauracje nie tylko w Polsce, lecz także i na świecie, jest zdania, że wegańska oferta w naszym kraju wciąż się poszerza. – Trend jest wzrostowy. Nawet jeśli w Warszawie zamykają się niektóre małe restauracje, to otwierają się nowe, często większe. Są bardziej różnorodne niż te w Azji czy Ameryce Południowej, gdzie podawane są regionalne potrawy, tyle że w wegańskiej odsłonie. U nas można znaleźć wegańską kuchnię polską, włoską czy azjatycką – z wegańskim sushi czy koreańską potrawą kimchi, a nawet wegański kebab – mówi. I dodaje: – Pożegnanie z tradycyjnym schabowym Polsce na razie nie grozi. Większość Polaków niestety jest przekonana, że obiad musi zawierać mięso, i minie pewnie dużo czasu, zanim spróbują jego wegańskiej odsłony. Ten trend żywieniowy dotyczy zresztą tylko dużych miast, w tych mniejszych, powiatowych, nie tylko nie ma oferty dla osób na diecie wegańskiej, lecz także w restauracjach trudno nawet trafić na kogoś, kto wie, że weganizm to więcej niż dieta bezmięsna.

O zainteresowaniu wegańską dietą świadczy też popularność wegańskich blogów z przepisami czy książek kucharskich. Jadłonomia – jeden z najpopularniejszych serwisów tego typu – we wrześniu odnotował ponad milion odsłon wygenerowanych przez przeszło 160 tys. unikalnych użytkowników (badanie Gemius/PBI). Autorka Marta Dymek – promotorka wegańskiej kuchni – wydała także wegańską książkę kucharską. Do tej pory sprzedała się ona w nakładzie 130 tys. egzemplarzy, co jak na polski rynek książki jest bardzo dużym sukcesem. Blogerka dostała także program na kanale Kuchnia+, gdzie uczy widzów przygotowywania wegańskich specjałów i przekonuje do tego, że takie posiłki mogą być tanie.

– To może być łatwa i tania kuchnia, o ile potrafimy wyjść poza swoją strefę komfortu – uważa Marcin Kubicki. – Kupowanie gotowych ciast w wersji wegańskiej i tradycyjnej może być kosztowne, ale np. uwielbianą przeze mnie bezę można wykonać w domu z... wody po ciecierzycy. Za takie produkty jak wegańskie „mięsa" czy „sery", choć pojawiają się już nawet w dyskontach, trzeba zapłacić więcej niż u naszych sąsiadów z Niemiec, Czech czy ze Słowacji – zaznacza. I dodaje, że choć mówienie o wegańskim boczku, pasztecie czy parówkach może wydawać się dziwne, to jest ułatwieniem w rozmowie z osobami, które tych produktów nie znają. – Sam to krytykuję i myślę, że to nazewnictwo jest momentami komiczne, ale kiedy padają hasła „wegański ser" czy „wegański boczek", to rozmówca może sobie mniej więcej wyobrazić, jak ten produkt wygląda czy smakuje.

WEGANIN NA KOZETCE

Własny miernik popularności weganizmu w dużych miastach mają pielęgniarki. W ich gabinetach zabiegowych coraz częściej pojawiają się pacjenci na wegańskiej diecie. – Podchwytują modę, rezygnują z mięsa, jedzą w wegańskich knajpkach, a potem lądują u nas na kozetce, bo trzeba im zrobić zastrzyk z witaminy B12 – utyskuje pielęgniarka w jednej z rejonowych przychodni w centrum Warszawy.

– Rzeczywiście zauważalne jest, że lekarze częściej zlecają pacjentom zastrzyki z witaminy B12 – przyznaje dr Michał Sutkowski z Kolegium Lekarzy Rodzinnych w Polsce. – Mam nadzieję, że jest to zawsze poprzedzone właściwą diagnostyką, która wskazuje na konieczność takich zaleceń – mówi dr Sutkowski. I dodaje, że lekarze coraz częściej muszą radzić sobie z efektami żywieniowych mód. – Wegański trend sam w sobie nie jest zły. Pacjentom z wysokim ciśnieniem, hipercholesterolemią, w których rodzinie były choroby układu krążenia, zawał w młodym wieku, zalecałbym nawet dietę wegetariańską czy wegańską. Problem polega na tym, że część osób na dietę bezmięsną przechodzi z dnia na dzień, wyklucza coś z jadłospisu z powodów ideologicznych albo dlatego, że to jest modne. Eksperymentują z jedzeniem, choć nie mają wiedzy medycznej, nie wiedzą, co czym zastąpić. Radzą się Google i stosują się do zaleceń blogerek lub niejedzących mięsa znajomych. Uważają, że samo ograniczenie diety do warzyw przyniesie nam zdrowie, a to błąd w myśleniu. Wykluczenie z diety określonej grupy produktów powinno być poprzedzone badaniami, sprawdzeniem choćby poziomu żelaza, czerwonych krwinek czy białka. W przeciwnym razie można sobie paskudnie zaszkodzić. Ktoś się cieszy, że na nowej diecie schudł 2 kg, tymczasem idzie to w parze z wieloma zaburzeniami – przestrzega dr Sutkowski.

Głośna była historia amerykańskiej wegańskiej blogerki Jordan Younger, znanej internautom jako Blond Wegan. W mediach społecznościowych przekonywała do weganizmu, opowiadała, jak po zmianie diety jej życie stało się lepsze, doradzała, proponowała przepisy. Śledziły ją w sieci dziesiątki tysięcy internautów. Po dwóch latach od otwarcia wegańskiego bloga wyznała, że dieta niemal zrujnowała jej zdrowie. „Moje ciało próbowało mi coś udowodnić, ale go nie słuchałam" – napisała w jednym z postów. „Pozbawiłam się wielu niezbędnych witamin, czułam nawet, że umieram" – wyjaśniała Younger. Przy wzroście 170 cm zeszła do wagi zaledwie 45 kg. Poinformowała fanów, że rezygnuje z weganizmu i podejmuje leczenie. Nie wszyscy przyjęli to ze zrozumieniem. Wielu z nich poczuło się oszukanych.

Marcin Kubicki jest zdania, że z przejściem na dietę wegańską jest jak z bieganiem. – Na sto osób zawsze może trafić się jedna, której to nie posłuży. Tak samo jest z dietą wegańską. Stosuję ją od pięciu lat, czuję się dużo lepiej, wyniki badań mam dobre. Osobiście nie znam nikogo, komu dieta by zaszkodziła, ale nie mogę przecież zagwarantować, że tak będzie z każdą osobą – jak w każdej kwestii w życiu warto edukować się, byle z obiektywnych źródeł. Jestem też daleki od obrażania czy agresji wobec tych, którzy jedzą mięso – naciskiem nikogo się nie przekona – mówi.

„STOP DYSKRYMINACJI GATUNKOWEJ"

Z innego założenia wychodzi grupa francuskich wegan. W połowie września głośno było o zatrzymaniu szóstki wegańskich aktywistów we francuskim Lille podejrzewanych o ataki na sklepy z mięsem, rybami czy serem oraz restauracje serwujące mięso. W ciągu ostatnich kilku miesięcy w Lille zniszczyli dziewięć takich miejsc, wybijając szyby, oblewając drzwi sztuczną farbą i wypisując na nich napis „Stop specyzmowi", czyli gatunkowej dyskryminacji. Od początku tego roku w całej Francji doszło do kilkudziesięciu ataków wegan na sklepy i restauracje. Rzeźnicy ze sprawą udali się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, prosząc o ochronę i tłumacząc, że mają do czynienia z wegańskim terroryzmem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

PAIH EXPO 2018 – „Porozmawiajmy o eksporcie"

Polska Agencja Inwestycji i Handlu słowami „Porozmawiajmy o eksporcie" zachęca polskie firmy nie tylko do merytorycznej dyskusji o handlu zagranicznym, ale przede wszystkim do podjęcia konkretnych kroków w stronę bezpiecznej ekspansji. Wyjątkową szansę rozpoznania możliwości eksportowych i wytypowania rynków o największym potencjale rozwoju dla danej branży, daje udział w PAIH EXPO – I Forum Wsparcia Polskiego Biznesu Za Granicą. Wydarzenie, które jest połączeniem otwartych, merytorycznych warsztatów z ekspertami Zagranicznych Biur Handlowych PAIH oraz indywidualnych spotkań konsultingowych w ramach 160 stoisk wystawienniczych i networkingu, odbędzie się już 25 października 2018 r. na PGE Narodowym. Ponad 168 raportów sektorowych, 54 przewodniki po rynku, doradztwo, spotkania B2B i inspirujące debaty w ramach pawilonu inwestycyjnego – to wszystko czeka na polskie firmy w Warszawie na bezprecedensowym forum inwestycyjno-eksportowym.

Ponad rok temu ustawa o PAIH usankcjonowała zmiany statutowe, których osią było wprowadzenie nowego systemu promocji gospodarczej. Biura Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu, które są motorem merytorycznym październikowego PAIH EXPO, to oczy i uszy polskiego handlu zagranicznego. To pierwszy punkt kontaktu dla polskiego eksportera i zagranicznego inwestora, gdzie przedsiębiorca pozyska niezbędną wiedzę, pozwalającą zredukować ryzyko biznesowe na nowym rynku. Biura asystują im na każdym etapie realizowania projektów za granicą. Dzięki współpracy z ekspertami PAIH firmy otrzymują dostęp do całego wachlarza instrumentów finansowania

Siatka ZBH to jedyna instytucja w Polsce, która tak szeroko buduje network biznesowy na świecie. Za pośrednictwem PAIH EXPO chcemy zachęcić wszystkich polskich przedsiębiorców do przygody biznesowej za granicą. Tylko 18 proc. polskich firm działa w skali europejskiej, a zaledwie 14 proc. – w skali globalnej. Razem możemy zmienić te statystyki, dając naszym firmom narzędzia, wiedzę, kontakty, a także niezbędną odwagę, aby wypłynąć na szersze wody ekspansji zagranicznej

Wojciech Fedko, wiceprezes Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu SA

eprasa.pl 2c83a54b18

czy ubezpieczeń, oferowanych przez instytucje zrzeszone w grupie Polskiego Funduszu Rozwoju. Zadaniem Biura jest również identyfikowanie lokalnych firm zainteresowanych inwestowaniem zagranicznym i pozyskanie ich jako inwestorów dla Polski.

Krystalizująca się sieć Zagranicznych Biur Handlowych PAIH jest kluczowym elementem nowego modelu internacjonalizacji polskiego biznesu jako jednego z filarów Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, flagowego projektu premiera Mateusza Morawieckiego. Sieć globalnego wsparcia biznesu została zainicjowana zaledwie rok temu, a tymczasem do końca bieżącego roku dostępnych będzie już 70 Zagranicznych Biur Handlowych zlokalizowanych na wszystkich kontynentach. Obecnie jest ich blisko 60. Siłą synergii międzynarodowych zespołów eksperckich Agencji powstaje nowa, lepsza jakość szytego na miarę wsparcia dla polskich przedsiębiorców, którzy mają odwagę sięgać dalej i podbijać coraz bardziej odległe, lecz wschodzące, rynki.

Rok 2018 jest nie tylko szczególnym czasem upamiętnienia odzyskania przez Polskę niepodległości, ale także momentem, kiedy promocja naszego kraju i polskich produktów czy usług za granicą znajduje się w centrum uwagi polityki gospodarczej rządu. Dokładnie w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości Polska Agencja Inwestycji i Handlu planuje zakończyć proces przebudowy i unowocześniania systemu internacjonalizacji polskich przedsiębiorstw i promocji polskiej marki, która coraz mocniej zaznacza swoją obecność za granicą. Relacje, które nawiązujemy w ramach sieci Zagranicznych Biur Handlowych, pomagają również promować Polskę jako najlepsze miejsce w Europie do lokowania inwestycji o dużej wartości dodanej, gwarantującej jakościowe miejsca pracy. Po raz pierwszy od dekady Polska awansowała do grona 25 najbardziej rozwiniętych rynków świata według klasyfikacji FTSE Russell, plasując się obok takich gospodarek jak USA, Japonia czy Niemcy. Tak spektakularny awans pozwoli jeszcze mocniej uwiarygodnić Polskę w oczach globalnych inwestorów.

Wychodzimy z założenia, iż potrzebą młodej gospodarki jest dogłębna i wielowymiarowa edukacja przedsiębiorstw w temacie bezpiecznej ekspansji zagranicznej, jak również zaszczepienie praktycznej z zakresu kultury biznesu. Eksport polskich produktów i usług, zwłaszcza tych z dominującym pierwiastkiem innowacyjności, wzmacnia markę Polski na arenie międzynarodowej, będąc naturalnym silnikiem rozwiniętej gospodarki. Już dziś 4 na 10 przedsiębiorstw zajmujących się działalnością B+R eksportuje swoje usługi za granicę, co udowadnia gotowość polskiej gospodarki do konkurowania nie tylko ceną, ale także jakością i wysoką wartością dodaną. Handel zagraniczny stanowi jeden z podstawowych czynników rozwoju kraju, a zadaniem Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu jako organizacji prorozwojowej jest edukowanie polskich środowisk biznesowych w obszarze narzędzi wsparcia oraz stałe zachęcanie do aktywności poza Polską. Tylko 18 proc. polskich biznesów działa w skali europejskiej, z czego 14 proc. w skali światowej, ale już 50 proc. z nich myśli o awansie do grona globalnych graczy. Dziś Agencja pomaga przekuć te aspiracje na konkretny biznesplan dostosowany do realiów danego rynku, minimalizując ryzyko inwestycyjne i pokonując bariery wejścia. PAIH EXPO to miejsce nawiązywania kontaktów z partnerami merytorycznymi z Polski i całego świata. W części wystawienniczej wydarzenia będzie można odwiedzać stoiska m.in. zagranicznych agencji inwestycyjnych, ambasad, izb bilateralnych, polskich instytucji rozwojowych, banków z ofertą wsparcia eksportu, specjalnych stref ekonomicznych oraz kilkudziesięciu Zagranicznych Biur Handlowych PAIH.

Zakres merytoryczny wydarzenia skoncentrowany będzie wokół następujących zagadnień:

- informacja o rynku i branżach priorytetowych,
- nawiązywanie relacji biznesowych,
- identyfikacja potencjalnych partnerów,
- identyfikacja barier wejścia,
- kultura biznesowa,
- dostępne instrumenty wsparcia.

PAIH EXPO adresujemy zwłaszcza do polskich, małych i średnich przedsiębiorstw, które planują działalność lub już działają za granicą. Forum, jako wydarzenie niemające precedensu, ma za zadanie wypełnić lukę w edukacji krajowych środowisk biznesowych odnośnie do narzędzi administracyjnej asysty ekspansji. Oprócz przekazywania solidnej i aktualnej wiedzy, możliwości dzielenia się dobrymi praktykami, wymiany myśli i pozyskiwania kontaktów PAIH EXPO ma ambicję wpisania się na stałe w kalendarze polskich przedsiębiorców i awansowania do miana święta polskiego handlu zagranicznego.

12 pawilonów tematycznych zaprojektowanych zgodnie z kluczem geograficznym spowoduje, iż każdy region świata zostanie profesjonalnie i merytorycznie zaprezentowany przez lokalnych ekspertów biur handlowych PAIH. Dodatkowo dostępny będzie pawilon inwestycyjny, gdzie w pięciu dyskusjach panelowych z udziałem wyśmienitych gości uczestnicy Forum będą mieli możliwość czerpania biznesowych inspiracji od największych inwestorów zagranicznych obecnych w Polsce. Forma pracy z uczestnikami warsztatów ma skutkować uzyskaniem kompleksowej wiedzy dotyczącej prowadzenia operacji biznesowych na ściśle zdefiniowanych rynkach. Każdy z prezentowanych kierunków przedstawi podczas Forum po trzy raporty sektorowe charakteryzujące branże o największym potencjale wzrostu w danym kraju czy regionie wraz z przekrojowym przewodnikiem po rynku.

PAIH EXPO to pionierska impreza inwestycyjno-handlowa, która gwarantuje:

- 12 pawilonów tematycznych z całego świata,
- dostępność ekspertów z 56 Zagranicznych Biur Handlowych PAIH ze wszystkich kontynentów,
- pawilon dla inwestorów,
- 58 praktycznych warsztatów,
- 168 raportów sektorowych i 56 przewodników po rynku,
- wieczorną sesję networkingową – PAIH EXPO Night.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wydarzenie jest realizowane we współpracy z Grupą PFR.
Zapraszamy na PAIH EXPO.
Rejestracja: https://paihexpo.gov.pl/
25 października 2018 r.
PGE Narodowy
Porozmawiajmy o eksporcie.

eprasa.pl 2c83a54b18

Piotr Gociek

„Ślepnąc od świateł" dobrze oddaje ducha powieści Jakuba Żulczyka. To ekranizacja sugestywna, inteligentna, drażniąca, wciągająca jak bagno, które opisuje

Miasto grzechu

Nie mogłem marzyć o lepszym miejscu do oglądania „Ślepnąc od świateł", nowego serialu HBO, niż nowa siedziba tej stacji. Nowobogacki budynek na rogu pl. Trzech Krzyży i ul. Książęcej. Serce stolicy. Kiedy wychodziłem po kilku godzinach spędzonych w zaciemnionym pomieszczeniu, raziło mnie październikowe słońce, a chwilę później mijałem miejsca, które dopiero co widziałem na ekranie: kawałki Warszawy dilera narkotyków o zimnych oczach. Przez skrzyżowania przepływały ciemne luksusowe samochody podobne do tego, którym jeździ bohater serialu, a każdy lepiej ubrany hipster, którego mijałem, każdy biznesmen z pętlą krawata u szyi, każda dziewczyna wbita w ciuchy warte kilka średnich pensji – wszyscy wydawali mi się jego klientami.

Ekranizacja powieści Jakuba Żulczyka jest taka, jakiej można było oczekiwać po naturze tej prozy i po debiutanckim filmie „Hardkor disko" reżysera Krzysztofa Skoniecznego. Sugestywna, gorączkowa, wciągająca jak bagno, które opisuje, inteligentna, drażniąca. Ma swój rytm, imponuje kapitalną czołówką, w której stolica stylizowana na Sin City z ekranizacji powieści graficznej Franka Millera zamienia się w zatopione miasto niczym z komiksów postapokaliptycznych. Ma porządną strukturę, wyjętą jak należy z książki. Gdy czytałem raz jeszcze „Ślepnąc od świateł", chcąc sobie przypomnieć książkę jeszcze przed serialem, widziałem wyraźniej niż za pierwszym razem, jak klasycznie, zgodnie z regułami współczesnego kinowego storytellingu, Żulczyk poprowadził poszczególne wątki, w odpowiednich miejscach je komplikując, a potem splatając w drodze do finału.

Osiem odcinków sztandarowej jesiennej produkcji polskiego HBO trafi na platformę internetową HBO GO w sobotę 27 października, widzowie kanału telewizyjnego będą natomiast oglądać je po jednym w sobotnie wieczory. Jest na co czekać i co oglądać, bo „Ślepnąc od świateł" wraz z „Rojstem" konkurencyjnego Showmaxu wyznaczają nowy standard dla polskich seriali. Niedostępny dla graczy konwencjonalnych (TVN brnie w coraz głupszą konfekcję, czego dowodem jest „Pułapka"), ale wyższy od ostatnich produkcji Canal+ – „Belfer", zwłaszcza drugi sezon, najmądrzejszy nie był, a „Kruk" przyniósł okrutny przerost formy nad treścią.

SEN O ARGENTYNIE

Podobnie jak powieść, na której jest oparty, serial „Ślepnąc od świateł" jest opowieścią o kilku dniach z życia warszawskiego handlarza narkotyków. Kuba (w powieści nosił imię Jacek) to jednak nie byle kto, ze zwykłymi ulicznymi ćpunami się nie zadaje. Zresztą czasy już inne, to już nie epoka, w której Marek Kotański przestrzegał przed heroinowym kompotem. Kuba jest dilerem celebrytów (coś jak Cezary P., o którego trwającym właśnie procesie przypominają od czasu do czasu tabloidy) oraz ludzi naprawdę bogatych, przepuszczających na kokainę dziesiątki tysięcy złotych. Oto współczesny człowiek pracy od wieczoru do świtu pod telefonem – doskonale zorganizowany, przebiegły, zimny, wycofany, przyglądający się swoim klientom niczym badacz obserwujący pasożyty pod mikroskopem. Kuba pilnie strzeże swej anonimowości, jest nieuchwytny dla policji (ma zresztą własną wtyczkę w kryminalnej), sam towaru nie bierze, bo interesuje go pieniądz, a nie przyjemności. Pieniądz

eprasa.pl 2c83a54b18

FOT. HBO

był zresztą głównym bohaterem powieści Żulczyka, bo wszystko, co złe w tej opowieści, brało się z redukcji międzyludzkich relacji do transakcji.

Bohater „Ślepnąc od świateł" nie jest jednak sam sobie panem. Pracuje dla Jacka (w oryginale książkowym nosił imię Piotr), gangstera od lat importującego narkotyki i zaangażowanego w inne dziwne biznesy. Oczywiście Kuba nie jest jego jedynym podwładnym, choć wygląda na to, że jednym z ulubionych i zaufanych. Wśród innych typów z grupy Jacka zwraca uwagę ponury Stryj, gość od mokrej roboty. Kariera Kuby szybko rozwijała się u boku Jacka, który dostrzegł w przybyłym z prowincji chłopaku talent, a w jego studenckich kontaktach możliwość rozszerzenia działalności dilerskiej na nowych klientów, raczej zwykłym gangusom niedostępnych. Teraz współpraca wkracza na nowe terytorium – chodzi o przejęcie popularnego nocnego klubu, którego właściciel tkwi po uszy w długach. Dopinając wart 5 mln dol. (na początek) deal, Kuba nie zapomina i o pozostałych klientach. Idą święta, popyt rośnie, telefon dzwoni. Tak naprawdę jednak jego umysł błądzi już gdzie indziej – udręczony Kuba śni na jawie o Argentynie, cudnej niebiańskiej plaży, chwili wytchnienia i o kobiecie, która złamała mu serce.

Te marzenia – oraz ponure sny nawiedzające bohatera – to jedyne chwile, kiedy przypominamy sobie, że Kuba może być kimś więcej niż tylko maszynką do zarabiania pieniędzy. Poza tym sprawa jest prosta: w świecie zimnych bydlaków tylko zimny bydlak ma szansę na przetrwanie, szczególnie jeśli jest od nich sprytniejszy i bardziej zdeterminowany. Takiego siebie wymyślił i takiego tworzy. Supremacja, kontrola, inteligencja. „Nie znam drugiej osoby, która tak wszystko miałaby pod kontrolą jak ty" – mówi Kubie jego przyjaciółka Pazina, jedyny ludzki element w najbliższym otoczeniu ambitnego dilera. Nie wiadomo, czy więcej w tym podziwu, czy lęku.

Pieniądz, a nie narkotyk, to główny bohater powieści Żulczyka, wspomniałem o tym wcześniej. Drugim jest Warszawa. Na kartach książki i w serialu Skoniecznego jawi się jako miejsce przeklęte, istne piekło, już nie „miasto utrapienia", jak to było u Pilcha, lecz miasto udręczenia. Znikąd nadziei, wszyscy dookoła utytłani w świństwie, modlitwa Kuby, który zwraca się ku niebiosom, żeby ukarało, oczyściło miasto nowym potopem, wydaje się więcej niż uzasadniona. Warto by rozróżnić jednak dwie płaszczyzny.

Pierwsza jest oczywista: świat obserwowany z punktu widzenia sprzedawcy zła musi być pełen zła, tak jak autobiografia żuka gnojarza siłą rzeczy musiałaby być pełna kul gnoju. Wyobrażenia Kuby o tym, że odpocznie, odetchnie, odżyje na sielankowym argentyńskim brzegu, to oczywiście bzdura. W końcu dokądkolwiek pojedzie, zabierze ze sobą siebie – przypomina mu Pazina, zatem żadnych problemów się nie pozbędzie. Ot, wszystko to tylko takie rojenia nieszczęśliwych ludzi w nieszczęśliwym świecie. To ważna konstatacja. Skoro bowiem odwracając słynną formułę „Piękno jest w oku obserwatora", w wykręconym świecie Kuby w oku obserwatora kryje się to, co odrażające, zepsute i chore, to pytanie o to, jaki świat jest naprawdę, a jaki tylko mu się wydaje, jest zasadne.

SIN CITY NA MIARĘ MOŻLIWOŚCI

Przeglądam stare recenzje powieści Żulczyka – wielu autorom ta istotna różnica umknęła, chwalą więc, że to akuratny portret Warszawy, że stolica czekała na prawdziwą opowieść o sobie, że uchwycił Żulczyk „wściekłość i wrzask" metropolii XXI stulecia, miejsca strasznego, odrażającego, upadłego. Zabawne są niektóre z tych opinii, bo robią wrażenie, jakby przedstawiciele przyćpanej hipsterskiej Warszawki napawali się swą potencjalną przynależnością do owego nakreślonego grubą czarną krechą obrazu, jakby każdy, kto przypali blanta, mógł dzięki przenikliwości Żulczyka czuć się częścią tego wielkiego, ekscytującego i przerażającego zła. Oczywiście pozostając całkowicie bezpiecznym między spacerem po pl. Zbawiciela a sojową latte na warszawskich bulwarach. Marzenie o grzechu, coś jak sny chuderlawego inteligenta, który nie potrafi zgiąć gwoździa, ale zdaje mu się, że jeśli podwinie rękawy koszuli i zwiększy objętość klaty, wciągając głębiej powietrze, to będzie wyglądał równie groźnie jak przypakowany kark rządzący warszawską ulicą. Trochę smutne, trochę śmieszne.

Kiedy duży wywiad z Żulczykiem zamieścił swego czasu wydawany przez Agorę magazyn „Książki", wytłuścił taką oto wypowiedź pisarza: „Pisząc »Ślepnąc od świateł«, wyprorokowałem celebrytę, który przejechał kobietę na pasach. Aż się boję, co wyprorokuję »Wzgórzem Psów«". A to bzdurka przecież, pisarzy nie oceniamy za zdolności profetyczne, a takie podpinanie się pod sensacyjne doniesienia gazet ma jedynie zwiększyć komercyjną siłę rażenia sprzedawanego towaru. Z tego samego powodu nie przejmuję się zupełnie powtarzanymi w kółko przez Patryka Vegę zapewnieniami, że wszystko, co pokazuje w swych kryminałach, wzięło się z rzeczywistości. No i co z tego? W ogóle mnie to nie ciekawi, powieści Raymonda Chandlera z rzeczywistością nie miały nic wspólnego, a do dziś pozostają świetną literaturą. Rzeczywistość jest punktem wyjścia, reszta to już robota pisarza, jego zdolność do tworzenia przejmującej metafory, dającej do myślenia syntezy, wreszcie sama umiejętność tworzenia świata, który nie będąc realny, pokazuje nam prawdziwą grozę lub piękno, budząc prawdziwe emocje. Bądźmy szczerzy: może i z perspektywy warszawskiej redakcji dzieje Kuby rozgrywają się w biblijnym Babilonie, ale każdy ma takie Sin City, na jakie zasłużył, a to nasze jest w porównaniu ze światowymi metropoliami jest ledwie wioską, w której nocą błyska kilka neonów, a parę nosków zostaje przypudrowanych.

Zatem nie w demaskatorskim realizmie tkwi siła „Ślepnąc od świateł", czego wielu zdaje się nie zauważać, zwracając uwagę jedynie na czas i miejsce akcji.

eprasa.pl 2c83a54b18

★★★★★☆
REŻ. KRZYSZTOF SKONIECZNY „ŚLEPNĄC OD ŚWIATEŁ" POLSKA 2018

wyst. Kamil Nożyński, Robert Więckiewicz, Jan Frycz, Marta Malikowska, Janusz Chabior, HBO Polska, premiera: 27.10.2018

Książka i serial (naprawdę dobrze oddający ducha powieści) idą dużo dalej. Historia upadku Kuby – więcej nie zdradzę – przypomina zarówno o tym, że pycha kroczy przed upadkiem, jak i o tym, że „najmędrsze plany myszy, ludzi krzyżuje los", ale nade wszystko o tym, że sami jesteśmy sprawcami własnej destrukcji. Kto chce żyć psim życiem, ten sam się skazuje na psi los. Gdy sobie o tym przypomnimy, kwestia realizmu nagle schodzi na drugi plan. Oczywiście mamy w „Ślepnąc od świateł" kawałki prawdziwego świata, ale służą one szerszej metaforze, to nie opowieść o warszawskich ulicach, lecz duszy Kuby. Tak jak „Breaking Bad" nie jest przewodnikiem turystycznym po Albuquerque, lecz dziejami upadku Waltera White'a, a „Zakazane imperium" nie jest telewizyjną historię Atlantic City, lecz kroniką życia Nucky'ego Thompsona, który uczy się na własnej skórze, że nie można być tylko w połowie gangsterem, a potem tego, że wszystkie wybory mają konsekwencje.

WSZYSCY UDAJĄ

„Ślepnąc od świateł" długo każe czekać odbiorcy na lekcję, która z dziejów Kuby wynika, ale warto poczekać, najpierw wraz z nim podróżując przez kolejne kręgi piekła udrapowanego na Warszawę. W roli głównej – zaskoczenie – Kamil Nożyński, filmowy debiutant, ale można powiedzieć, że doświadczony performer, bo chodzi o warszawskiego rapera znanego pod ksywą Saful z występów w formacji Dixon37. Wypada bardzo dobrze, choć konkurencja na ekranie olbrzymia. Jego przestępczego szefa gra Robert Więckiewicz, balansujący między groteską a grozą, konkurencyjnego bandziora imieniem Dario, którego obecność w opowieści okaże się wielce brzemienna, kreuje zaś popisowo Jan Frycz, kradnący każdą scenę, w której się pojawia. Świetna jest Marta Malikowska jako znerwicowana Pazina, o swoim rozmienianym przez lata na drobne talencie przypomina Cezary Pazura jako celebryta, stały klient Kuby.

Gdy obok wielkich plusów zapisywałem sobie w notesie małe minusiki, nie było ich wiele. Niektóre sceny odrobinę przeciągnięte, lepiej było zamknąć je kilka sekund wcześniej. Nieco nazbyt teatralny rodowód niektórych scenografii, bo czasami zamiast wierzyć, że za ścianą tętni życiem Warszawa, zastanawiałem się, czy jakieś drgnięcie ręki operatora nie sprawi, że wyjedziemy poza inscenizację. Wrażenie sztuczności, gdy przychodzi do scen zbiorowych: ten tłum ludzi na przyjęciu u Pazury, po których widać, że udają tylko, że się dobrze bawią (podobnie jest w nocnym klubie Behemot). A może tak powinno być? Może to część metafory – wszyscy udają, że jest super, że jest OK, a tak przecież nie jest, w końcu po to tu przyszli, żeby dzięki prochom i wódzie zapomnieć o tym, jak bardzo wszystko nie jest OK.

Samiście kowalami swego losu. Szkoda, że tak bardzo lichymi.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bój o powstanie wielkopolskie

PATRONAT DO RZECZY

Nowe interaktywne muzeum? A może film, serial bądź powieść? Jakie znaczenie dla odradzającej się Polski miał powstańczy zryw w Wielkopolsce i jak rozpropagować pamięć o nim w całej Polsce – zastanawiali się uczestnicy debat zorganizowanych w cyklu „Jesień z Kulturą"

Jeszcze kilkanaście lat temu o 11 listopada pamiętali nieliczni, głównie aktywiści organizacji patriotycznych. Pamięć o tym tak ważnym dla Polski dniu podnieśli „z ulicy" kibice, narodowcy, członkowie grup rekonstrukcji historycznych i roznieśli ją po całej Polsce. Nie inaczej było z powstaniem warszawskim, o którym pamięć odżyła w Warszawie dzięki budowie Muzeum Powstania Warszawskiego. Ten wielki zryw narodowy w ciągu ostatnich lat stał się istotną częścią polskiej pamięci historycznej. Czy tak może też być z jedynym zwycięskim polskim zrywem niepodległościowym – powstaniem wielkopolskim – o którym wciąż poza Poznaniem i regionem mało kto pamięta?

– W perspektywie naszych dziejów powstanie, które rozpoczęło się zrywem niepodległościowym w Poznaniu 27 grudnia 1918 r., było wydarzeniem niezwykle istotnym, w kontekście tworzącej się niepodległej II Rzeczypospolitej – mówił prof. Janusz Karwat, historyk wojskowości, autor biografii powstania wielkopolskiego i wybitny znawca dziejów tego zrywu, podczas zorganizowanej przez wydawnictwa Zysk i S-ka oraz Nowa Baśń dyskusji poświęconej powstaniu wielkopolskiemu oraz odzyskaniu niepodległości przez Polskę.

Zorganizowane w pierwszej połowie października dwa panele historyczne, w których udział wzięli m.in. prof. Janusz Karwat, dr Tadeusz Zysk, dr Marek Rezler i Ireneusz Wierzejewski, były zwieńczeniem akcji „Jesień z Kulturą", nad którą patronat objął tygodnik „Do Rzeczy". Wcześniej w jej ramach Zysk i S-ka oraz Nowa Baśń zorganizowały także sześć festynów, podczas których poznaniacy mogli poznać autorów książek sensacyjnych, fantasy, podróżniczych i bajek dla dzieci oraz z nimi porozmawiać.

Zdaniem dr. Tadeusza Zyska, by powstanie wielkopolskie zajęło należne miejsce w narodowej pamięci, potrzebna jest praca u podstaw, jeszcze raz praca i odrobina… propagandy. – Przede wszystkim trzeba zbudować nowe funkcjonalne Muzeum Powstania Wielkopolskiego. Powinien też w naszym mieście stanąć pomnik dowódcy powstania, gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego – mówi dr Zysk. – Dalej trzeba zrobić ciekawy serial telewizyjny o powstaniu. Dobrze, gdyby towarzyszył mu jakiś gadżet, który stałby się symbolem wielkopolskiego zrywu. Nadal brakuje też popularnych powieści historycznych, których akcja działaby się właśnie w trakcie walk o przyłączenie Wielkopolski do odradzającej się Polski. ©℗ *(ww)*

eprasa.pl 2c83a54b18

ALEKSANDRA **GINTROWSKA** | JULIA **GINTROWSKA** | RENATA **PRZEMYK** | IZABELA **TROJANOWSKA**
ŁUKASZ **DRAPAŁA** | KRZYSZTOF **KILJAŃSKI** | MAREK **PIEKARCZYK** | JAKUB **WOCIAL**
MATEUSZ **ZIÓŁKO** | ZBIGNIEW **ZAMACHOWSKI**
ORAZ **ORKIESTRA SINFONIA VIVA** POD DYREKCJĄ JANA **STOKŁOSY**

Koncert Galowy Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

TEATR POLSKI W WARSZAWIE

10 GRUDNIA 2018

GODZ. 20.00

BILETY DO NABYCIA W KASIE GŁÓWNEJ TEATRU

UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 6

ZAPRASZAMY: PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK 10.00-19.00 SOBOTA-NIEDZIELA 12.00-19.00
KASA W TEATRZE POLSKIM CZYNNA WYŁĄCZNIE NA GODZINĘ PRZED SPEKTAKLEM.

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

MECENASI KONCERTU

PGNiG | LOTOS

PARTNERZY

Poczta Polska | LOTTO | FUNDACJA XX. CZARTORYSKICH | PZU FUNDACJA

PATRONAT MEDIALNY

wprost | DO RZECZY

WSPÓŁORGANIZATOR

TVP

Partner Fundacja PZU

eprasa.pl 2c83a54b18

Arcydzieło ze wsi

Z Katarzyną J. Kowalską, dziennikarką TVP, autorką książki „Polski El Greco”
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

FOT. ANDRZEJ BANAŚ/POLSKA PRESS/EAST NEWS

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Kto, kiedy i gdzie odnalazł „Ekstazę św. Franciszka”?

KATARZYNA J. KOWALSKA: Był rok 1964. Izabella Galicka i Hanna Sygietyńska robiły inwentaryzację zabytków w powiecie sokołowskim. Przygotowywały „Katalog zabytków sztuki w Polsce” wydawany przez Instytut Sztuki PAN. Odwiedziły m.in.: Czerwonkę Grochowską, Sokołów Podlaski, Kożuchówek, Sterdyń i Kosów Lacki. Kiedy zajechały do Kosowa, ksiądz proboszcz Władysław Stępień zaprowadził je do kościoła, otworzył drzwi do zakrystii i zostawił je tam, żeby w spokoju mogły pracować. Fotograf Witalis Wolny zrobił zdjęcia najcenniejszych obiektów. Po skończonej pracy badaczki udały się do kancelarii, żeby oddać księdzu klucze. Poprosiły o udostępnienie ksiąg wizytacyjnych, czasem były w nich zapisane informacje o ciekawych zabytkach, których nie było w kościele. Tym razem nie znalazły w nich niczego nadzwyczajnego, ale przez uchylone do mieszkania księdza drzwi ujrzały obraz. Zapytały, czy to jego własność, ponieważ nie zajmowały się inwentaryzowaniem prywatnych obiektów. Kapłan w pośpiechu odpowiedział, że należy do parafii. Poprosiły o możliwość zobaczenia obrazu. Święty Franciszek z cudownym błyskiem w oku zrobił na nich niesamowite wrażenie. W pamiętniku zanotowały: „Po prostu cudo! Hiszpański?”. Wtedy jeszcze nie zastanawiały się, czyjego był pędzla. Dopiero w Warszawie zaczęły czytać, pokazywać zdjęcie obrazu bardziej doświadczonym kolegom. Ktoś zasugerował, że to może być El Greco, i postanowiły to zbadać. Trzy lata później opublikowały artykuł, w którym przedstawiły wyniki swoich analiz i postawiły tezę: „To obraz El Greca”.

Dlaczego początkowo w tej sprawie podważano autorstwo El Greca?

Kiedy prof. Jan Białostocki, ekspert od malarstwa obcego z Muzeum Narodowego w Warszawie, prof. Marek Rostworowski z Muzeum Narodowego w Krakowie oraz Anna Dobrzycka, kuratorka malarstwa hiszpańskiego w Muzeum Narodowym w Poznaniu, pojechali do Kosowa Lackiego, żeby na własne oczy zobaczyć obraz i ocenić, czy mógł wyjść spod pędzla Domenikosa Theotocopulosa, byli dziełem rozczarowani. W drodze

eprasa.pl 2c83a54b18

powrotnej zaczęli dyskutować, że poziom nierówny, że ręka słabo namalowana, czaszka też odbiega od poziomu mistrza z Toledo. Profesor Białostocki udzielił wywiadu „Expressowi Wieczornemu", a ten na pierwszej stronie opublikował opinię profesora, tytułując ją: „El Greco? Na pewno nie".

Profesorom nie można odmówić ogromnej wiedzy w ich dziedzinach, niestety doskonale rozczytywali obrazy w muzealnych wnętrzach, czyste, dobrze oświetlone. Tutaj mieli do czynienia z obrazem brudnym, zakurzonym, gdzie warstwa malarska jest przykryta pożółkłym werniksem, który przekłamuje kolory, ociepla je. W dodatku obraz był przemalowany. Prawdziwe dzieło El Greca, jak się okazało podczas konserwacji, ukryte było pod trzema warstwami nałożonej dużo później farby.

W jaki sposób potwierdzono autentyczność dzieła?

Po siedmiu latach od odkrycia płótna biskup siedlecki Jan Mazur zdecydował się oddać je do konserwacji. Zajął się tym zespół z Warszawy pod kierunkiem prof. Bohdana Marconiego. Maria Orthwein i Zofia Blizińska miały doświadczenie w pracy nad restaurowaniem sakralnych zabytków. Najpierw prof. Marconi prześwietlił obraz rentgenem. Zdjęcia wykazały świetny stan zachowania obrazu, drobne wykruszenia, na zdjęciach zrobionych w ultrafiolecie i podczerwieni ujawniły się przemalowania – np. lewa dłoń wyglądała zupełnie inaczej niż w XVI w. Konserwatorki przede wszystkim usunęły werniksy i przekazały chemikowi Piotrowi Rudniewskiemu próbki farb do analizy mikrochemicznej. Wykazała ona, że dwie pierwsze warstwy zostały namalowane później. I chociaż przy zdejmowaniu przemalowań ukazuje się konserwatorkom sygnatura „A. van Dück", wiedzą, że to nie może być koniec. Rzeczywiście – pod kolejną warstwą dostrzegają złotą literkę – grecką deltę. Żeby nie było żadnych wątpliwości, oddają maleńką próbkę farby do analizy spektralnej. Okazuje się, że w farbie jest tlenek ołowiowo-cynkowy stosowany między XIV a XVIII w. To wystarczy, by sygnaturę potraktować jako dowód na to, że obraz namalował El Greco.

Konserwacja dzieła odbyła się niejako potajemnie?

Biskup Mazur, podejmując decyzję o niej, wiedział, że sprawa musi pozostać w sekrecie. Z relacji wynika, że obraz został przewieziony do Warszawy pod osłoną nocy. Prace badawcze odbywały się w prywatnym mieszkaniu Marii Orthwein przy ul. Kruczej, ale niemożliwe było zrobienie tam np. zdjęć w ultrafiolecie, podczerwieni czy rentgenogramów, więc obraz trafił do Pracowni Konserwacji Zabytków przy ul. Senatorskiej, gdzie prof. Marconi wykonał zdjęcia. Cała operacja mogła trwać nie dłużej niż dwa dni. Nikt w Pracowni Konserwacji Zabytków nawet nie podejrzewał, że w laboratorium na piętrze znajduje się arcydzieło!

Jak obraz trafił do Polski?

Nie wiadomo. Najbardziej rozpowszechniona była wersja wymyślona przez samych dziennikarzy, jakoby do Polski przywiózł obraz generał, który brał udział w bitwie pod Somosierrą i w drodze na wojnę z Rosją wiózł pod pachą zwinięte płótno. Wzięło się to prawdopodobnie stąd, że inwentaryzatorki napisały w swoim artykule dla „Biuletynu historii sztuki", że niedaleko Kosowa Lackiego, w Sterdyni, mieszkał Wincenty Krasiński – ojciec wieszcza – który istotnie bił się pod Somosierrą. Historia z rodem Lubomirskich pojawiła się w latach 70., kiedy badaczki skontaktowały się z ks. Szepietowskim, który w międzywojniu zakupił obraz dla swojego wuja – ks. Franciszka Dąbrowskiego, ówczesnego proboszcza parafii w Kosowie Lackim. Miał to zrobić w antykwariacie w Warszawie, prowadzonym przez Michała Ryka. Ojciec żony właściciela był administratorem dóbr i lasów Lubomirskich. Być może chcieli sprzedać obraz i powierzyli go znanemu sobie antykwariuszowi.

Dlaczego malowidło tak długo nie było udostępniane?

Kościół obawiał się, że podzieli los innych cennych dzieł do niego należących, które zagarnęła władza ludowa. Oczywiście z czasem stosunek komunistów do Kościoła ewaluował. Józef Tejchma, minister kultury i sztuki z czasów Edwarda Gierka, zapewnił mnie w rozmowie, że mimo dużego zainteresowania obrazem w kręgach KC PZPR nie było planów

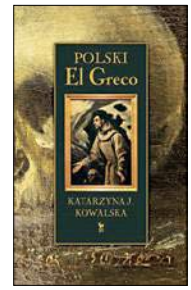

KATARZYNA J. KOWALSKA „POLSKI EL GRECO" ISKRY 2018

odebrania go, ponieważ w tym czasie władza dbała o dobre relacje z Kościołem. Udało mi się jednak dotrzeć do dokumentu z 1991 r., kiedy dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie prof Aleksander Gieysztor zaproponował biskupowi siedleckiemu wystawienie obrazu. Dostał odpowiedź, że mogłoby dojść do wypożyczenia dzieła pod warunkiem, że zgodzi się na to Stolica Apostolska i uda się uzyskać gwarancję zwrotu ze strony wypożyczających. Dobitnie świadczy to o tym, że Kościół nawet już w III RP obawiał się, iż obraz zostanie odebrany.

W latach 80. usiłowała go zrabować Służba Bezpieczeństwa?

Takie relacje pozostawił bp Mazur. Raz plądrowano jego mieszkanie, ale wystraszył złodziei, oddając kilka strzałów ze straszaka. Złodzieje, uciekając przez parkan, zgubili pistolet. Zdaniem ks. Roberta Mirończuka, dyrektora Muzeum Diecezjalnego w Siedlcach, w tym czasie tylko „ubecy" mogli mieć broń palną. Drugi raz włamano się do pomieszczeń siedleckiej kurii, szukając obrazu w skarbcu. Bezskutecznie.

Jaki jest obecnie status płótna?

Dzisiaj wisi ono w Muzeum Diecezjalnym w Siedlcach. Przez pewien czas w mediach opisywano spór między diecezją siedlecką, na której terenie znajdowało się ono w momencie ustanowienia nowego podziału diecezjalnego w 1992 r., a drohiczyńską, w której granicach znalazł się wtedy Kosów Lacki. A tej parafii w testamencie zapisał obraz ks. Stępień.

Czy był on jednak jego własnością? Zrazu przecież utrzymywał, że malowidło należy do parafii, ale już w pierwszym wywiadzie wyznał, iż jest jego własnością. Pewne jest tylko, że to Izabella Galicka i Hanna Sygietyńska, kiedyś nazwane elgreczynkami, odkryły i ocaliły „Ekstazę św. Franciszka" El Greca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Katarzyna J. Kowalska
– dziennikarka TVP, specjalistka od zagadnień z dziedziny kultury oraz kwestii społecznych.

eprasa.pl 2c83a54b18

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Polowanie na „USS Arkansas”

★★★★★★

REŻ. DONOVAN MARSH
„OCEAN OGNIA” („HUNTER KILLER”)
USA 2018

wyst. Gerard Butler, Toby Stephens, Gary Oldman

W ogniu stanęły już Olimp – czyli Waszyngton – i Londyn. Teraz przyszła pora, by zapłonął Ocean Arktyczny. Autorzy niewydanego u nas sensacyjniaka „Punkt ostrzału” założyli, że w tak ekstremalnych okolicznościach przyrody zimna wojna łacno może się przekształcić w gorącą. Ich śladem podążyli filmowcy, lecz po drodze musieli zaliczyć kolizję z górą lodową, skoro od zakończenia zdjęć do kinowej premiery upłynęły aż dwa lata.

Oglądaniu „Oceanu ognia” towarzyszy narastające déjà vu. Pomijając efekty specjalne, taka fabuła równie dobrze mogłaby powstać 30 lat temu. Tyle że zamiast prezydenta Zakajewa (porte-parole Putina) dostalibyśmy sympatycznego awatara Gorbaczowa. Rosjanie, jak w filmach z Bondem, są przeciwnikami jankesów i zarazem nimi nie są. Pamiętacie „Ośmiorniczkę”? Zły generał Orłow chciał sprowokować wybuch III wojny światowej, nad czym ubolewał dobry generał Gogol z KGB. Tutaj samowolkę odstawia minister obrony. Pani prezydent Stanów Zjednoczonych (scenariusz najwyraźniej pisali miłośnicy Hillary Clinton) nie należy jednak do osób, które zwlekają z decyzjami.

W rejon Archangielska, gdzie zaginęła amerykańska łódź podwodna, wysyła lepiej uzbrojony okręt „Arkansas” i zgrany team chłopaków z piechoty morskiej. Misja ratunkowa wkrótce przeistacza się w walkę o pokój. Aczkolwiek podejrzewamy, że świat przetrwa i kryzys zakończy się tradycyjnym shake-handem, kibicujemy poczynaniom kapitana Joe Glassa. Gra go przecież niedoszły agent 007.

Już w pierwszej scenie dowiadujemy się o dzielnym podwodniaku wszystkiego, co trzeba. Mając na muszce dorodnego rogacza, zrezygnuje ze strzału, widząc małe jelonki – przecież nie uczyni ich sierotami. Ludzi też traktuje po ludzku. „Niczym się nie różnimy, jesteśmy braćmi” – mówi do admirała wrażej floty. W ustach Gerarda Butlera nawet takie gadki brzmią wiarygodnie, natomiast Gary Oldman dał plamę. Zdaje się, że potraktował swój występ jako wprawkę do oscarowej roli premiera Churchilla. Najbardziej pozytywnego z Rosjan udaje Szwed (ten film to pożegnanie z Michaelem Nyqvistem, aktor zmarł w zeszłym roku).

„Ocean w ogniu” to produkt doskonały, czyli nieznośnie obły. Jeśli ktoś wierzy w debeściaków z USA, marynarsko-ochroniarską solidarność ponad podziałami oraz konieczność wprowadzenia płciowo-rasowych parytetów w administracji państwowej i armii, wyjdzie z kina usatysfakcjonowany.

O fabułach bondowskich mówiło się, że są zawsze zgodne z aktualną linią Foreign Office. Jeżeli ten film wyraża poglądy amerykańskich elit na kwestię rosyjską, to powinniśmy sobie szukać innych sojuszników. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „HALLOWEEN”

Zaczęło się w roku 1978, od świetnego i świeżego horroru Johna Carpentera. Mike Myers, morderca w hokejowej masce, szybko wszedł do kanonu popkultury i doczekał się dziewięciu kolejnych filmów różnej jakości. Najnowszy odrzuca jednak wszystko to, co opowiedziano do tej pory w sequelach, i nawiązuje bezpośrednio do fabuły oryginału. Uwagę zwraca powrót Jamie Lee Curtis, dla której 40 lat temu pierwszy „Halloween” był pierwszym krokiem ku sławie. ©℗ *Piotr Gociek*

- ***„Halloween”, reż. David Gordon Green, wyst. Judy Greer, Jamie Lee Curtis, Virginia Gardner, USA 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Dziewczyna w sieci pająka”, reż. Fede Alvarez, Szwecja/USA 2018***
- ***„Ocean ognia”, reż. Donovan Marsh, USA 2018***
- ***„The World Is Yours”, reż. Romain Gavras, Francja 2018***
- ***„Bergman – Rok z życia”, reż. Jane Magnusson, Szwecja 2018***

eprasa.pl 2c83a54b18

Dotrwać do świtu

Gaspar Noé znowu wszystkich zaskoczył. Do tego, że robi filmy męczące, zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Tym razem dyżurny skandalista francuskiego kina popełnił nudny performance, dowodzący, że narkotyki szkodzą, życie zaś „to zbiorowa niemożliwość".

Rzecz oparta jest na faktach z zamierzchłej przeszłości. Dwadzieścia dwa lata temu grupa młodych tancerzy zaliczyła ponoć balangę, której rozmach przeszedł wszelkie oczekiwania, gdyż ktoś (nieważne kto) dodał do kadzi z sangrią psychotropów. Intro zwiastuje deliryczny horror, ale obietnica jazdy po bandzie zostanie spełniona jedynie w warstwie wizualnej.

Reżyser, chcąc jakoś zamaskować mizerię treści, eksperymentuje z formą. Pokazuje świat z boskiej perspektywy albo do góry nogami. Film zaczyna się od napisów końcowych, lista płac tudzież tytuły wykorzystanych utworów pojawiają się na ekranie mniej więcej w środku seansu. Początkujący aktorzy z poświęceniem symulują kolejne fazy odurzenia. Kto i w jakiej formie doczeka wschodu słońca, mało nas jednak obchodzi.

★★★★★★
REŻ. GASPAR NOÉ
„CLIMAX"
FRANCJA 2018

wyst. Sofia Boutella, Romain Guillermic, Souheila Yacoub

Moda na kompulsywny taniec-opętaniec na pewno powróci (wszak żyjemy w epoce hedonizmu), lecz „Climax" to strzał obok tarczy. Weterani clubbingu mogą się poczuć urażeni, o producentach sangrii nie wspominając. Noé stracił instynkt czy po prostu się postarzał? ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SOLO: SZYBKI I WŚCIEKŁY

★★★★★★
REŻ. RON HOWARD
„HAN SOLO: GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE"
USA 2018

wyst. Alden Ehrenreich, Emilia Clarke, Woody Harrelson, Danny Glover

Najbardziej niepotrzebny ze wszystkich filmów, które dotąd powstały w ramach uniwersum „Gwiezdnych wojen". Opowieść o młodości Hana Solo składa się przede wszystkim z wyjaśnień: skąd pochodzi, jak zszedł na złą drogę, jak poznał Lando Calrissiana i Chewbaccę, jak zdobył „Sokoła Millennium" itd. Dla hardcore'owych fanów frajda, dla mniej zainteresowanych – po prostu gwiezdny kryminał, dla wszystkich – okazja, by nie przejmować się tym, co oglądamy na ekranie, bo i tak wiemy, ku czemu to zmierza, więc zabawa jest umiarkowana. To także pierwsza finansowa klapa w serii. Film za 275 mln dol. przyniósł z biletów mniej niż 400 mln, co oznacza, że nie zwrócił łącznych kosztów produkcji ani marketingu. W obsadzie wyróżnia się Woody Harrelson jako bandzior z doświadczeniem, ale o tym, że to dobry aktor, wiedzieliśmy i bez „Gwiezdnych wojen". Alden Ehrenreich jako młody Han Solo wypada ledwie poprawnie, Emilia Clarke jako miłość jego życia – po prostu słabo.

AMERYKANIN I RÓŻA SYBERII

★★★★★★
REŻ. MATTHEW ROSS
„SYBERIA"
USA 2018, MONOLITH

wyst. Keanu Reeves, Ana Ularu, Boris Volkov

Sprzedawca diamentów przybywa do Sankt Petersburga, ale zamiast oczekiwanego wspólnika spotyka kłopoty. Obiecanych klejnotów brak, rosyjski gangster (nabywca gorącego towaru) się niecierpliwi, konkurencja z RPA krąży po okolicy, a trop prowadzi na Syberię, gdzie amerykański turysta napotyka seksowną właścicielkę kawiarni oraz mało przyjaznych tubylców. Wątek romansowy jest w tym wszystkim najciekawszy, zwłaszcza że jest na ekranie prawdziwa chemia między Keanu Reevesem a rumuńską aktorką Aną Ularu grającą Katię. Jako thriller sensacyjny „Syberia" sprawdza się średnio. Wyszły z tego dwie różne opowieści, opatrzone zakończeniem katapultującym cały film w jeszcze inne rejony. W efekcie każdy jest zdezorientowany – i ten, kto oczekiwał krwistego kryminału, i ten, kto kibicował romansowi. Keanu Reeves pracuje ostatnio sporo, ale widać, że pomiędzy kolejnymi odsłonami „Johna Wicka" rozmienia się na drobne. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „CALL OF DUTY: BLACK OPS IV"

★★★★★★

Żadnemu fanowi strzelanek nie trzeba przedstawiać serii „Call of Duty", szczególnie w wersji „Black Ops". I choć lubimy te gry, które znamy, to zaskoczy każdego, kto oczekiwał powielenia starych rozwiązań. „Czwórka" na starcie uderza brakiem kampanii dla pojedynczego gracza, w zamian oferując różnorodność trybów kooperacji i multiplayer. Mamy zatem rozbudowany fabularnie tryb walki z hordami zombi, klasyczne pojedynki na małych arenach i – co chyba najważniejsze – tryb Blackout, czyli stworzenie na silniku gry pojedynku w stylu battle royale. Pomimo momentami słabej grafiki – wysoka sprzedaż murowana. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *FPS*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Treyarch/Cenega*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 2c83a54b18

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Co się komu śni

Pan Mareczek z „Rozmów polskich latem roku 1983" Jarosława Marka Rymkiewicza w pewnym miejscu tej powieści skarży się żonie: „Śnili mi się Niemcy. – Chcieli mnie rozstrzelać. – Śpij – mówi pani Mareczkowa. – I nie wrzeszcz, bo obudzisz dziecko. Każdemu śnią się Niemcy. No śpij".

Markowi Harnemu, autorowi wydanych właśnie „Wojennych snów", też śnią się Niemcy. Nie tylko jednak oni, bo i Polacy, i Żydzi, a wszyscy ukazani w tym samym okupacyjnym czasie i w tym samym miejscu: na Nowosądecczyźnie, obecnej w pisarstwie Harnego już wcześniej, co nie dziwi, gdyż autor – choć urodzony w Zabrzu – w Nowym Sączu się wychował. To o tej ziemi opowiedział m.in. w jednej z najciekawszych powieści powstałych po 1989 r. – „Urodzonym z wiatru", odnoszącym się do legendy „Ognia", wciąż żywej w tamtym regionie kraju.

„Wojenne sny" mają również drugi, równoległy plan czasowy: rok 1966, w którym fabuła przenosi się głównie do Krakowa, ale zahacza także o Warszawę, i o niemieckie Bochum, tyle że wciąż wszystko, co ważne, odnosi się do wojny i snów o niej. Wciąż bowiem bohaterom książki Harnego śnią się Niemcy. A co się śni Niemcom?

O czym śnił np. powieściowy Heinrich Nordmann, naprawdę Heinrich Hamann, który w latach 1939–1943 kierował komisariatem granicznym Policji Bezpieczeństwa w Nowym Sączu, a potem, do stycznia 1945 r., był szefem gestapo w Krakowie? To był modelowy wręcz oprawca. Wydawał rozkazy zabijania i sam, własnoręcznie, zabijał (udowodniono mu 77 morderstw). Urządzał pijaństwa i orgie seksualne. Poza przygodnymi kochankami miał stałą polską partnerkę,

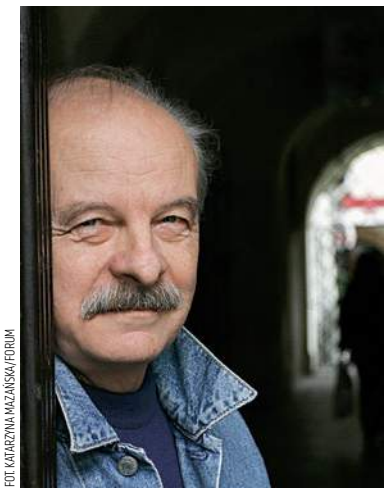

FOT. KATARZYNA MAZAŃSKA/FORUM

z czego teraz autor uczynił jeden z głównych wątków „Wojennych snów".

Dla mieszkańców Sącza to Hamann był uosobieniem zła. Nie Hitler, ten był daleko, a Hamanna spotkać można było na ulicy, choć wtedy najlepiej było schować się w najbliższej bramie. To on też osobiście ponosi odpowiedzialność za makabryczną (przy dźwiękach muzyki) eksterminację Żydów z miejscowego getta, skazanych na śmierć na podstawie… kart bibliotecznych. W ten sposób zbrodniarz w kwietniu 1942 r. wyeliminował 360 przedstawicieli żydowskiej inteligencji.

Po wojnie Hamann ukrywał się w Niemczech Zachodnich, był drwalem, robotnikiem rolnym, w końcu kelnerem. Naturalnie używał fałszywego nazwiska. Zdemaskowany został w roku 1960, a właściwie sam się zdemaskował, po kłótni z klientem restauracji… zabijając go strzałem z pistoletu. W śledztwie, prowadzony na przesłuchanie, usiłował zbiec, ale po nieudanym skoku z okna został ujęty.

W procesie, który toczył się w Bochum, zeznawało ok. 200 świadków. Hamanna skazano już wówczas na najwyższy w RFN wymiar kary – dożywocie. W Polsce dostałby karę śmierci, na którą zasłużył jak mało kto. W demokratycznych, a jakże, Niemczech po 20 latach wyszedł z więzienia i ostatnie lata życia spędził w domu spokojnej starości w Bad Neuenahr. Zmarł w roku 1996.

Nordmann z powieści Marka Harnego nie jest, oczywiście, lustrzanym odbiciem Hamanna. To postać literacka, ale podobieństwo jednego do drugiego jest nieprzypadkowe. Zgodne z historyczną prawdą są też wydarzenia przedstawione przez autora, natomiast to, jak zachowywały się w konkretnych okolicznościach postaci zaludniające strony „Snów wojennych", przede wszystkim Polacy, to już inna sprawa. Oczywiście imiona i nazwiska występujących tu osób są fikcyjne, ale najważniejsze jest co innego. Otóż poza niemiecką zbrodnią – bo ta jest bezdyskusyjna – nic nie jest tu takie, jakim się mogło wydawać. Tak zresztą było i w poprzednich powieściach Marka Harnego, m.in. w „Zdrajcy" i „Dwóch kochankach".

To w tej ostatniej książce, jak powiadał jeden z jej bohaterów, „jakaś pani za okupacji udawała wielką patriotkę, a w Krakowie miała kochanka Niemca, do którego jeździła w każdą sobotę. Albo że za Stalina jakiś pan po cichu donosił na kolegów z lasu do UB, a naiwni koledzy z lasu dali mu potem Krzyż Partyzancki". W „Snach wojennych" dzieje się nie inaczej. Czyjś ojciec zginął z rąk hitlerowców, a może jednak w ogóle nie zginął, tylko sam był esesmanem? Kogoś zastrzelili Niemcy lub partyzanci albo bandyci?

Co wiemy naprawdę, a o czym tylko śnimy? I co, do cholery, śni się naszym zachodnim sąsiadom? Wciąż to samo? ©℗

★★★★★★

MAREK HARNY „SNY WOJENNE"
PRÓSZYŃSKI I S-KA 2018

eprasa.pl 2c83a54b18

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Według łotra

Dokumentalny film „Nauka chodzenia" (TVP2) o Piotrze Mudynie skupiał się na traumie byłego żołnierza warszawskiej mafii. Jako kilkuletnie dziecko widział, jak ojciec zabija matkę. Bity i poniżany w rodzinie zastępczej, znalazł wyzwolenie i dumę na przestępczej ścieżce. Po latach, gdy próbował zrozumieć, co to takiego ta słynna miłość, o której wszyscy mówią, przypomina sobie najwyżej, że kochał swojego psa.

Książka „Ostatni" poszerza ten obraz, a jej pierwsze sto stron to najlepsze non-fiction, jakie czytałem w tym roku. Piotr schyłek PRL i początki III RP oglądał z perspektywy, której nie znajdziecie we wspomnieniach opozycjonistów ani rockmanów. Może trochę w wywiadach z Markiem Kotańskim. Dom dziecka, przemoc, narkotyki, kradzieże. Transformacja dała takim jak Mudyn (i jego brat, który też jest ważnym bohaterem opowieści) okazję do życia na wzór postaci z sensacyjnych filmów, jakie przynosili z wypożyczalni kaset wideo. Strasznego życia, bo Mudyn torturował, katował, zabijał. Tak, zabijał. Bo jak inaczej postrzegać wyznania typu: „Potem chłopak, którego zawinęliśmy, zmarł w szpitalu"?

Książka robi się mniej odkrywcza, gdy dochodzimy do lat 90., rozkwitu potęgi warszawskich grup przestępczych, a to, co opowiada Mudyn, podobne jest do wyznań „Masy" czy do tego, co znamy z dawnych seriali Patryka Vegi. Mudyn jest od „Masy" ciekawszym narratorem, bo mniejszym kabotynem. Sedno się jednak nie zmienia: otchłań przemocy, pogardy dla cudzego życia, dla kobiet. Narastająca paranoja w miarę, jak policja skuteczniej zaczyna walczyć z bandziorami, a narkotyki wyżerają gangsterom mózgi. „Nie byłem gangsterem – podkreśla Mudyn – byłem żołnierzem grupy". Robił to, co mu kazano. A jego rzemiosłem była przemoc.

Jest i część trzecia opowieści. Ta budzi największe wątpliwości. Dzisiaj Mudyn jest buddystą, stroni od używek, pomagał chorym w hospicjum. „Czy jego przemiana jest prawdziwa? Czy wynika ze świadomej decyzji, a może została podyktowana przez zewnętrzne okoliczności?" – pytał Marcin Kopeć, reżyser „Nauki chodzenia". Marzena Matuszak, która spisała historię Mudyna, we wstępie ujawnia: „Próbował mnie zastraszać, poniżyć, obrazić [...], miałam wrażenie, że musi się bardzo powstrzymywać, by mnie nie uderzyć". Historia, którą opowiada, jest dokumentem czasów, jest portretem człowieka, który czynił zło. Czy jest też opowieścią o przemianie i odkupieniu? Jeszcze nie. ©℗

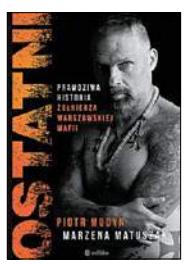

★★★★☆☆

PIOTR MUDYN, MARZENA MATUSZAK „OSTATNI. PRAWDZIWA HISTORIA ŻOŁNIERZA WARSZAWSKIEJ MAFII"
EDITIO 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autor książek „Kozioł ofiarny" oraz „Sacrum i przemoc", wychodząc od analizy słynnego dzieła Clausewitza „O wojnie", przekonuje, że polityka nie kontroluje przemocy, lecz jest przez nią napędzana. Co zwiastuje rychły koniec ludzkości.

RENE GIRARD „APOKALIPSA TU I TERAZ" WYDAWNICTWO WAM

O sztuce powieści, o sztuce czytania, o Londynie, o podróżach, o kinie, o pracy zawodowej kobiet, o metafizyce, o śmiechu – najobszerniejszy w języku polskim wybór esejów znakomitej brytyjskiej pisarki. Lektura obowiązkowa.

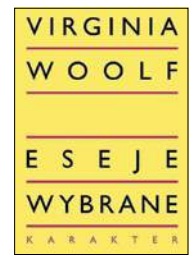

VIRGINIA WOOLF „ESEJE WYBRANE" KARAKTER

„Analiza zachowań użytkowników Facebooka w trakcie kampanii parlamentarnej" na podstawie danych z 2015 r. Lektura w sam raz na czas między pierwszą a drugą turą wyborów samorządowych – i nie tylko.

PAWEŁ MATUSZEWSKI „CYBERPLEMIONA" PWN

„Co najgorszego zrobiłeś w życiu?" – zadają sobie pytanie bohaterowie książki, a odpowiedzi zamieniają się w misternie splecioną, wielowątkową powieść grozy, jedną z najlepszych w XX stuleciu. Nowe wydanie w pięknej szacie graficznej.

©℗ ***poleca Piotr Gociek***

PETER STRAUB „UPIORNA OPOWIEŚĆ" VESPER

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Anja Rubik „Sexed.pl" (W.A.B.) – modelka Anja Rubik „łamie tabu" w 18 rozmowach o seksie. Tyleż puste, co głupie. Najbardziej niepotrzebna książka roku.***
2. ***Nela mała reporterka „Nela i sekrety dalekich lądów" (Burda Media Polska) – dziewiąta pozycja z bestsellerowej serii podróżniczej dla młodszych czytelników.***
3. ***Remigiusz Mróz „Kontratyp" (Czwarta Strona) – ósmy tom serii o komisarz Joannie Chyłce (wkrótce serial TVN, w roli głównej: Magdalena Cielecka).***
4. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował numery więźniom niemieckiego obozu.***
5. ***Harlan Coben „Nie odpuszczaj" (Albatros) – małe miasteczko i jego sekrety, od słodkich lat 50. do 90. Znany autor kryminałów wraca w dobrej formie.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 17 do 30 sierpnia 2015 r.)

eprasa.pl 2c83a54b18

Pod batutą kardiologa

FOT. NINA ALTMANN/MATERIAŁY PRASOWE

Kiedy muzycy tworzący orkiestrę symfoniczną nie grają zawodowo, koncertują okazjonalnie, a ich występy mają charakter niekomercyjny lub charytatywny – bywalcy ich koncertów raczej nie liczą na wielkie doznania muzyczne. Kiedy w grę wchodzi aspekt charytatywny – nie to jest przecież najważniejsze. Nie ma się wtedy co obrażać na niedociągnięcia.

Od początku istnienia World Doctors Orchestra (Światowej Orkiestry Lekarzy) działalność charytatywna jest na pierwszym planie. – Chcieliśmy pokazać odpowiedzialność medyczną, lekarską także poza granicami swojego kraju. To miał być gest swego rodzaju solidarności międzynarodowej lekarzy – tłumaczył na antenie Polskiego Radia prof. Stefan Willich, ceniony niemiecki kardiolog, założyciel, dyrektor artystyczny i dyrygent World Doctors Orchestra. – Już sam początek był obiecujący. Na początku zgłosiło się ok. 60 lekarzy, teraz jest to grupa ok. tysiąca medyków, którzy systematycznie koncertują w różnych częściach świata, a cały dochód z koncertów przeznaczany jest na działalność organizacji charytatywnych związanych z ochroną zdrowia – wyjaśniał.

Lekarska orkiestra dała ostatnio w Polsce dwa koncerty z okazji 10-lecia fundacji DKMS, która tworzy bazę potencjalnych dawców szpiku kostnego. Z lekarzami zagrał profesjonalista – Krzysztof Książek, wybitny, nagradzany polski pianista. A doktorzy pokazali, że oczywiście działalność charytatywna jest na pierwszym planie, ale w warstwie muzycznej też nie ma się do czego przyczepić, i zagrali nie gorzej niż niejeden zawodowy skład.

Co bez dwóch zdań jest zasługą prof. Willicha, którego CV muzyczne jest niemniej imponujące od medycznego. Profesor studiował grę na skrzypcach, muzykę kameralną i dyrygenturę w Stuttgarcie i Berlinie. Uczestniczył w prestiżowych warsztatach dyrygenckich z Sergiu Celibidache (Monachium), Leonem Fleisherem (Boston, Tanglewood) i Léonem Barzinem (Paryż). Od 2007 r. z założoną przez siebie World Doctors Orchestra koncertuje na całym świecie, wspierając m.in. takie organizacje jak DKMS. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Słowiański mrok symfoniczny

Warszawska formacja należy do nielicznych naszych wykonawców, których twórczość jest śledzona poza granicami kraju. Zespół zaistniał w Holandii, Niemczech i Szwajcarii, a jego płyty sprzedają się nawet w kilkutysięcznych nakładach w Ameryce.

Istniejący od 17 lat Riverside gra muzykę na styku progresywnego rocka i metalu, czyli kierunków mało wspieranych przez krytyków, za to lubianych przez polską publiczność. „Wasteland" jest siódmym albumem studyjnym grupy, a pierwszym powstałym bez tragicznie zmarłego w 2016 r. gitarzysty Piotra Grudzińskiego. „Tematyka postapokaliptyczna chodziła za mną już od dawna – książki, filmy, gry wideo, opowieści o próbie przetrwania w świecie, który się skończył" – tłumaczy wokalista Mariusz Duda, opisując teksty z płyty.

Muzycznie grupa operuje na „progresywnych" kliszach, ale trzeba przyznać, że robi to z wyczuciem stylu i ze studyjnym znawstwem. Płyta brzmi światowo, a przy tego typu graniu jest to podstawa. Mamy przestrzenne gitary, gotycko-słowiańskie zaśpiewy, klawiszowe pejzaże, nagłe zmiany tempa, a wszystko to oparte na aranżacyjnym patosie. W swoim gatunku jest to naprawdę niezła płyta. Szkoda tylko, że nie ma na niej choć jednej piosenki w rodzimym narzeczu. ©℗

★★★★☆☆
RIVERSIDE „WASTELAND" MYSTIC

★★★★★★
JOHN LENNON „IMAGINE" UNIVERSAL

Krystalicznie brzmiący najpopularniejszy album Lennona. Dwukompaktowy album uzupełniają nagrania singlowe i robocze. Dla fanatyków jest sześciopłytowa wersja z 120-stronnicową książką, filmami oraz kwadrofonicznym i sześciokanałowym miksem.

★★★★☆☆
CULTURE REVOLUTION PROJECT „WHEN YOU ARE HERE" AGORA

Intrygujące spotkanie amerykańskiego trębacza Keyona Harrolda i saksofonisty Sylwestra Ostrowskiego. Jazz, soul, hip-hop, a nawet improwizacje „Etiudy rewolucyjnej" czy pieśni „My Pierwsza Brygada". Nowocześnie i stylowo. ©℗

eprasa.pl 2c83a54b18

NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 22 PAŹDZIERNIKA 2018

SZESNASTY ODCINEK SERII

Wojna przeciw wszystkim

Po odzyskaniu niepodległości, prowadziliśmy wojny z niemal wszystkimi sąsiadami, walcząc o granice. I wygraliśmy.

ZWYCIEZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIEZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH „ZWYCIĘZCY"

PGE Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl 2c83a54b18

Rafał Dębski

Wizja świata bez miłości

Opowieść, którą stworzył Paweł Lisicki, mogłaby się zaczynać słowami: „Rok 2217 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia". Zaczyna się jednak inaczej – opisem takiego nadzwyczajnego zdarzenia, czyli wyboru papieża. Co należy podkreślić, zwycięża on już w pierwszym głosowaniu konklawe złożonego z kardynałów i kardynałek. Wszyscy się spodziewają, że wzorem siedmiu poprzedników przyjmie imię Franciszek, żeby podkreślić chęć kontynuacji reformowania Kościoła. On jednak zaskakuje wszystkich, bo wcale nie zamierza wprowadzać reform, lecz przeprowadzić rewolucję. Dlatego na patrona bierze sobie Judasza. Tak, tak – to papież Judasz.

Świat, który poznajemy w powieści, zarówno przypomina ten nam znany, jak i jest zupełnie inny. Autor ekstrapoluje brawurowo zjawiska współczesne, nadając im nowe sensy i znaczenia. Mamy zatem kliniki dobrej śmierci dla tych, którzy chcą odejść, i dla tych, którym nie bardzo podoba się ten pomysł, ale już powinni to zrobić. Produkuje się coraz nowocześniejsze pojemniki do zamrażania zwłok. Istnieje możliwość swobodnej zmiany płci, i to wielokrotnie, jeśli ktoś ma takie życzenie. Mamy obozy reedukacyjne dla tych, którzy nie chcą się poddać jedynie słusznej koncepcji funkcjonowania społeczeństwa ani wszechwładnej poprawności polityczno-obyczajowej. A poprawność ta promuje z całą mocą hasło: „Hulaj dusza, piekła nie ma", stanowiące twórcze rozwinięcie raczej nawoływania: „Róbta, co chceta" niż radosnych słów św. Augustyna: „Kochaj i czyń, co chcesz! Gdy milczysz, milcz z miłością; gdy mówisz, mów z miłości; gdy karcisz, karć z miłości; gdy przebaczasz, przebaczaj z miłości. Niechaj tkwi w sercu korzeń miłości; wyrośnie z niego tylko dobro".

> **Świat, który poznajemy w powieści, zarówno przypomina ten nam znany, jak i jest zupełnie inny**

W tym świecie niewiele bowiem pozostaje miejsca na miłość rozumianą w tradycyjny sposób. Związki międzyludzkie powinny być płytkie, hedonistyczne, nastawione na branie, a nie dawanie. Przypomina to bolszewickie postulaty dotyczące życia intymnego obywateli, oczywiście z okresu, zanim komunizm przekształcił obyczajowość w skrajnie purytańską formę relacji seksualnych.

Uniwersum, do którego zabiera nas Paweł Lisicki, jest zarazem fascynujące i przerażające, ale przede wszystkim bardzo sprawnie skonstruowane, pełne życia i krwistych postaci.

Podczas lektury przyszła mi do głowy pewna refleksja. Gdyby tkanka rakowa objęła cały organizm, a on wciąż lepiej czy gorzej by funkcjonował, to choroba stałaby się normą, a wszelkie pozostałości zdrowych tkanek stałyby się niepożądane. Można by mówić wręcz o ewolucji, bo przecież

eprasa.pl 2c83a54b18

FOT. FOTOLIA

zmiany są właśnie elementem rozwoju. Nawet jeśli prowadzą w ślepą uliczkę.

Wspomniana poprawność polityczno-obyczajowa staje się w powieści właśnie takim zrakowaceniem, które zawładnęło prawie całą ludzkością. Państwo przejęło m.in. kontrolę nad wychowaniem dzieci, a rodzina straciła zupełnie na znaczeniu, jej oddziaływanie postrzega się wyłącznie jako toksyczne. Do tego dochodzi seksualizacja dzieci, które trzeba wszak wychować do życia w społeczeństwie sformatowanym wedle rygorystycznych zasad „pełnej wolności".

WALEC NOWEJ OBYCZAJOWOŚCI

W takim właśnie społeczeństwie dorasta przyszły papież Judasz. Jest przedstawicielem Kościoła ateistycznego, pragnie za wszelką cenę udowodnić, że Boga w istocie rzeczy nie ma, a cud Zmartwychwstania to tylko jakieś przesądy i zabobony. Oczywiście autor nie odkrywa tutaj Ameryki, bo zaprzeczanie istnieniu Stwórcy jest równie stare jak wszelkie rozważania teologiczne, podobnie jak podważanie zmartwychwstania Jezusa datuje się od dnia zaistnienia tegoż cudu. W samym Kościele również zdarzały się i zdarzają spory nie tylko o sprawy pomniejsze, lecz także dogmaty. Wystarczy przypomnieć sobie problem „współistotności" i „tożsamości" osób w Trójcy Świętej. W 325 r. sobór w Nicei przyjął dogmat współistotności, a nie tożsamości Ojca i Syna, ale dyskusje teologiczne trwały jeszcze przez wieki.

Jednak w historii przedstawionej w „Epoce Antychrysta" nie ma miejsca na takie niuanse jak układy personalne w Trójcy Świętej. Są one mało istotne, bo Kościół należy zreformować, waląc weń młotem, a nie naprawiając go za pomocą delikatniejszych narzędzi. Skończył się czas stopniowego rozmontowywania tej instytucji. Papież pragnie ją wręcz unicestwić, aby wreszcie chrześcijanie mogli spokojnie odetchnąć. Oczywiście chrześcijanie ateiści. Prawdziwie wierzących należy potraktować jak mniej lub bardziej szkodliwych wariatów, a najlepiej zamknąć ich w ośrodkach reedukacyjnych, urobić do pożądanej konsystencji i wtłoczyć w odpowiednie ramy.

Przerażające? Tak. Czy jednak podobnego procesu nie da się zauważyć już dziś? Poczynając od kształcenia młodych ludzi, a kończąc na rozmaitych szkoleniach personalnych, coachingach i podobnych technikach manipulacji osobowością. Coraz mniej jest miejsca na wolność i rozwój osobisty. Edukacja, zapewniając wyrównywanie szans z jednej strony, stosuje koszmarną urawniłowkę z drugiej. Znacznie większą uwagę zwraca się na dociągnięcie słabszych jednostek do pożądanego poziomu (nawet jeśli nie chcą bądź nie bardzo mogą go osiągnąć) niż zapewnienie rozwoju dzieciom szczególnie uzdolnionym. Są wprawdzie programy wspierające utalentowanych młodych ludzi, ale nie ma działań naprawdę programowych i skutecznych w ramach funkcjonowania oświaty. Szkoła ma wszak przygotować do wykonywania testów, a nie samodzielnego myślenia, i rozliczana jest na podstawie wyników egzaminów. Uczeń może napisać najpiękniejszą językowo pracę, ale jeśli nie wypełni odpowiednich wskaźników – to znaczy nie spełni oczekiwań systemu – to zostanie nisko oceniony. To samo dzieje się potem w życiu zawodowym, co zresztą jest konsekwencją wcześniejszego kształcenia. I żadne zaklęcia w rodzaju modnych ostatnio innowacji nie są w stanie znacząco tego zmienić.

Autor pokazuje skutki właśnie takiej koncepcji formowania społeczeństwa. Żeby było zabawniej i zarazem straszniej, celem ma być powołanie do istnienia nadczłowieka. Upiór Nietzschego bezustannie wisi nad ludzkością. A przecież wstępem do osiągnięcia tego wyższego stadium rozwoju jest śmierć Boga. Między ludzi musi zejść ktoś, kto ją ogłosi (jak u Nietzschego mędrzec Zaratustra). I ktoś taki właśnie się znajduje. W dodatku może liczyć na wsparcie najtęższych umysłów i najpotężniejszych instytucji świata, a także korzystać z przetartej przez poprzedników ścieżki. Ludzie zostali już gruntownie przygotowani na pogrzebanie Stworzyciela. Wyrównał ich walec nowej obyczajowości, nowego sposobu myślenia o bliźnich i o całym otoczeniu.

GROTESKA STRASZNA I ŚMIESZNA

Właśnie to mnie najbardziej uderzyło i przeraziło w wizji Pawła Lisickiego – ta uniformizacja społeczeństwa. Skojarzyła

eprasa.pl 2c83a54b18

mi się nieco z „Powrotem z gwiazd" Lema, ale u starego mistrza betryzacja nie wyjałowiła społeczeństwa aż tak dalece z tradycyjnych wartości i pozytywnych emocji jak w opowieści redaktora naczelnego „Do Rzeczy". Poza tym Lem dokonał swoistej kastracji człowieka za pomocą chemii, a ludzie z opowieści Lisickiego sami sobie zgotowali ten los za pomocą inżynierii społecznej. Ta rozbieżność – pomijając oczywiście aspekt wizji artystycznych obu autorów – to zapewne skutek rozwoju „filozofii" ponowoczesności, a co za tym idzie – coraz bardziej wynaturzonego podejścia do rzeczywistości. Wszystko – największą podłość, najgorsze kłamstwo – można dzisiaj wytłumaczyć postmodernizmem, postprawdą i tym podobnymi konstrukcjami logicznymi oraz pseudofilozoficznymi. Lem opisywał

Paweł Lisicki nie epatuje obrzydliwością świata dla samego epatowania. Wszystko jest doskonale uzasadnione

ludzkość przyszłości, obserwując procesy społeczne na przełomie lat 50. i 60., a nas otacza świat znający już rewolucję 1968 r. i jej skutki. Stanisław Lem nie mógł sobie z pewnością wyobrazić, że jest możliwe daleko idące sformatowanie ludzkości zupełnie bez użycia środków farmakologicznych. Paweł Lisicki już wie, że to najzupełniej możliwe. Trzeba tylko czasu i cierpliwości, byle tylko pamiętać o tym, co komuniści nazywają mądrością etapu.

Ponieważ opowieść została umieszczona w przyszłości, niektórzy z krytyków zaliczyli ją już do nurtu społecznej fantastyki naukowej. Można i tak. Jednak czy należy? Równie dobrze da się zaszufladkować powieść jako antyutopię czy alternatywną wizję przyszłości. Biorąc pod uwagę konstrukcję i formę, którą posłużył się autor, można też mówić o reportażu SF. Moim zdaniem jakiekolwiek kategoryzowanie jest tutaj mało uprawnione. Paweł Lisicki stworzył bowiem rzecz mocno nietypową koncepcyjnie i artystycznie. Wprawdzie sposób prowadzenia narracji i pewne rozwiązania fabularne przywodzą na myśl publikację po trosze dziennikarską, jednak w istocie rzeczy jest to opowieść zawierająca sporo wątków, rozwiązań fabularnych rodem z beletrystyki, a także zaskakujących zwrotów akcji. Dlatego piszę o tym dziele „powieść". Chociaż formalnie nie jest typową przedstawicielką literatury pięknej, do jakiej przywykł czytelnik nieudziwnianych na siłę książek, to faktycznie zawiera wszystko, co trzeba, aby „Epokę Antychrysta" do tego rodzaju literatury zaliczyć. Należy się tylko przyzwyczaić do dialogów konsekwentnie ujętych w cudzysłowy, a nie myślniki, zorientować się, dlaczego występują różne czcionki (np. osobna do artykułów prasowych i w ogóle materiałów pisanych), aby chłonąć zawartość bez najmniejszych problemów. Zresztą taki, a nie inny zapis sprawia, że powieść staje się jeszcze bardziej soczysta, podkreśla wyjątkowość postaci. Cokolwiek by bowiem o papieżu Judaszu i jego pomocnikach powiedzieć, są to ludzie wyjątkowi.

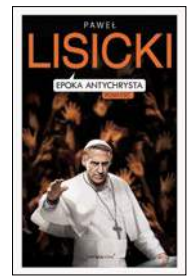

PAWEŁ LISICKI „EPOKA ANTYCHRYSTA" FABRYKA SŁÓW

Autor nie boi się także pójść w stronę groteski (na zasadzie, że wszystko, co jest naprawdę straszne, jest również naprawdę śmieszne) zarówno w opisach sytuacji, jak i personaliach bohaterów. Papież nosi nazwisko Juan Pablo Bergamoto, co kojarzy się na pewno bardzo mocno z pewną współczesną postacią, mamy kardynałkę Giovannę Turbo Bigośnicki, są też nazwiska tak bezpośrednio znaczące jak Juan Piccolino Virgo Ligiduppa (kardynał, jeden z najbliższych totumfackich papieża), Bill Gooddeath (szef sieci klinik dobrego umierania), Nadieżda Hieronim Hujko (przywódczyni ruchu LGBTQPRTSYULLL) i wiele innych.

W ogóle powieść jest pełna różnorakich smaczków i odniesień do współczesności, autor niejednokrotnie mruga okiem także do tych, którzy amatorsko bądź zawodowo interesują się filozofią i teologią.

ZA 200 LAT CZY WCZEŚNIEJ?

Należy stanowczo podkreślić, że nie jest tak, aby na Pawła Lisickiego mieli się oburzać jedynie przedstawiciele umownej lewej strony światopoglądowej. Autor rozdaje ciosy praktycznie wszystkim – skrajnie lewackim reformatorom, a także bezradnemu Kościołowi i konserwatywnym oszołomom. Jak by bowiem patrzeć, wszyscy żyjemy na tym samym świecie i wszyscy jesteśmy za niego odpowiedzialni. Grzechem jest działanie niezgodne z naturą, ale grzechem są również bezczynność i zaniedbanie. Dlatego spodziewam się, że na autora spadną gromy z obu stron coraz bardziej spolaryzowanego społeczeństwa. Rzecz jasna ze skrajnych skrzydeł, bo wszyscy inni powinni być zadowoleni, otrzymując słuszną porcję znakomitej literackiej potrawy.

Czy jest to książka dla każdego? Spotkałem się z poglądem, że „Epoka…" jest pozycją hermetyczną, tylko dla wybranych, że nie jest lekka, łatwa i przyjemna, wywołuje protest, a nawet wstręt. Osobiście miałem o wiele bardziej stonowane odczucia. Rzeczywiście, szczególnie na samym początku można poczuć się nieswojo, może przelecieć przez plecy dreszcz odrazy. Takie wrażenia nie odstręczają jednak od czytania, przeciwnie – wywołują ciekawość i przykuwają do fabuły. Trochę to może kojarzyć się z turpizmem, ale Paweł Lisicki nie epatuje obrzydliwością świata dla samego epatowania. Wszystko jest doskonale uzasadnione.

I wszystko prowadzi do jedynie słusznego końca. Końca dającego się może przewidzieć, ale jednocześnie bardzo zaskakującego.

Jest też pewna kwestia, w której nie zgadzam się z wizją autora. Chociaż pojęcie „zgadzam się" czy „nie zgadzam" może nie jest najszczęśliwsze w kontekście utworu beletrystycznego, bo to wizja pisarza i nic nikomu do tego, jak i co sobie wymyślił. Niemniej podczas czytania poczułem, że Paweł Lisicki nieco przesadził. Akcja powieści, jak już zaznaczałem, rozgrywa się za 200 lat. Drogi autorze, naprawdę? Nie za wielką pokładasz wiarę w człowieka i jego możliwości stawiania oporu nowinkom obyczajowym? Osobiście uważam, że coś podobnego może zdarzyć się o wiele, wiele wcześniej. Byle tylko nie za mojego życia, że wyrażę takie egoistyczne życzenie.

W moim osobistym rankingu „Epoka Antychrysta" zajmuje bardzo poczesne miejsce z oceną 10 na 10. Myślę, że zostanie zaliczona do najważniejszych książek tego roku. A może nie tylko tego…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Rafał Dębski – polski pisarz fantasy, science fiction, powieści historycznych, wojennych, sensacyjnych oraz kryminalnych. Z wykształcenia i zawodu psycholog (absolwent Wydziału Psychologii KUL). Od czerwca 2009 do maja 2012 r. redaktor naczelny miesięcznika „Science Fiction, Fantasy i Horror".

eprasa.pl 2c83a54b18

ICONOCLAST i CHI - FOU - MI PRZEDSTAWIAJĄ

„GANGSTERKA W STYLU TARANTINO"
VARIETY

„TOTALNY ODJAZD"
THE WRAP

„ZŁOŚLIWY JAK TRZEBA"
TELERAMA

KARIM **LEKLOU**

ISABELLE **ADJANI**

VINCENT **CASSEL**

OULAYA **AMAMRA**

FRANÇOIS **DAMIENS**

PHILIPPE **KATERINE**

THE WORLD IS YOURS

REŻYSERIA
ROMAIN GAVRAS

QUINZAINE 50 DIRECTORS' FORTNIGHT CANNES

A film by ROMAIN GAVRAS starring KARIM LEKLOU ISABELLE ADJANI VINCENT CASSEL OULAYA AMAMRA SAM SPRUELL SABBY ROSE SOFIAN KHAMMES MOUNIR AMAMRA MAHAMADOU SANGARE with the participation of FRANÇOIS DAMIENS & PHILIPPE KATERINE produced by ICONOCLAST & CHI-FOU-MI coproduced by STUDIOCANAL NJJ ENTERTAINMENT TRIBUS P FILMS ROMAIN GAVRAS 1210 FILMS with the participation of CANAL+ CINÉ+ screenplay and adaptation by ROMAIN GAVRAS NOÉ DEBRÉ KARIM BOUKERCHA in association with JÉRÔME PIERRAT & STÉPHANE SEBAG production manager BACHIR ARFAOUI director of photography ANDRÉ CHEMETOFF edited by BENJAMIN WEILL sound by ARNAUD LAVALLEIX JÉRÔME BONTHIER MARCO CASANOVA casting by PHILIPPE ELKOUBY costume designers HANNAH EDWARDS & NOÉMIE VESSIER original music by JAMIE XX & SEBASTIAN

ICONOCLAST FILMS NJJ CANAL+ CINÉ+ POSTER NIGHSHIFT DIGITAL DISTRICT COLOR cobblestone oclair STUDIOCANAL

Photo : Charles Negre

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

W KINACH OD 26 PAŹDZIERNIKA

muzo.fm K MAG MAGAZYN HIRO AKTIVIST RZECZY FILM newonce MOKATE LOYD INSTITUT FRANÇAIS Biret.pl DEMOTYWATORY.PL STRÖER SKA TV

eprasa.pl 2c83a54b18

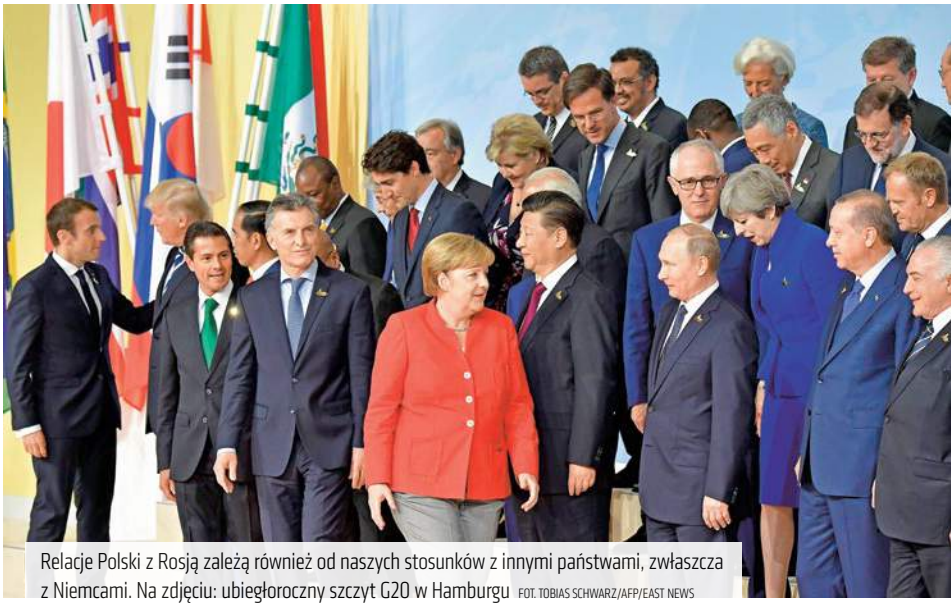

Relacje Polski z Rosją zależą również od naszych stosunków z innymi państwami, zwłaszcza z Niemcami. Na zdjęciu: ubiegłoroczny szczyt G20 w Hamburgu FOT. TOBIAS SCHWARZ/AFP/EAST NEWS

Przełomu nie będzie

Marek Budzisz

Droga do poprawy relacji z Moskwą wiedzie przez Berlin

Szukając odpowiedzi na pytanie, jaką politykę wobec Rosji powinna uprawiać Polska, musimy uprzednio postawić inne ważne kwestie, a mianowicie jak rosyjskie elity oceniają sytuację swojego kraju, jakie mają cele i jak wyglądają u naszego sąsiada mechanizmy kształtujące wizję ich obecności w świecie.

ROSYJSKA SIŁA

Zacznijmy od kilku podstawowych konstatacji. Po pierwsze, na kształt rosyjskiej polityki zagranicznej rzeczywisty wpływ ma bardzo niewielka grupa osób. Odpowiada za nią prezydent Putin, jego narzędzia to przede wszystkim rozbudowany aparat Rady Bezpieczeństwa. Rola MSZ jest w gruncie rzeczy drugoplanowa i wykonawcza. Decyzje podejmowane są w bardzo wąskim gronie, niemałe znaczenie ma w związku z tym pogląd na świat osób na kluczowych stanowiskach w rosyjskim establishmencie. Jednak również z tego powodu podejmowane są one szybko. Względna stabilność rosyjskiej elity władzy powoduje też, że mamy do czynienia z realizowaniem przez Rosję polityki długofalowej, o celach rozpisanych na lata, a nawet na dziesięciolecia. Warto też pamiętać, że Moskwa gra globalnie. Pozycjonuje się w skali światowej, a kierunek europejski traci w jej oczach na znaczeniu. Tym bardziej Polska, kraj z rosyjskiej perspektywy trzeciorzędny.

Wszystkie badania ankietowe, a także analizy przeprowadzane w celu sprawdzenia, jakimi wartościami kierują się rosyjskie elity władzy, dają jedną i powtarzającą się odpowiedź – przywiązują ogromną, znacznie większą niźli Europejczycy, wagę do siły jako ostatecznej instancji budowania pozycji swego kraju w świecie. Jest to efekt nie tylko tego, że gros, a jeśli chodzi o najważniejszych ludzi w państwie – to chyba wszyscy, z grona rosyjskiej elity ma za sobą doświadczenia służby w rozmaitych formacjach siłowych (armia, służby specjalne). Taka ocena jest również rezultatem rosyjskich analiz tego, jak się zmienia układ sił w świecie w czasie ostatnich 30 lat i jak będzie wyglądał za kilkadziesiąt lat.

W ostatecznym rozrachunku rosyjskie elity uważają, że jednym z głównych atutów ich kraju, jeśli nie głównym, jest siła i dzięki jej zastosowaniu, albo tylko posiadaniu, Rosja chce i może osiągać swe cele polityczne. Nie oznacza to oczywiście szafowania jej użyciem, ale dysponowanie sprawną armią, gotową do natychmiastowej reakcji, i możliwością jej szybkiego użycia (w sensie szybkości podejmowania decyzji). Warto przy okazji obalić pewien zakorzeniony, jak przypuszczam, w Europie mit, a mianowicie ten, że różnica potencjałów ekonomicznych może mieć w tym obszarze zasadnicze znaczenie. Nic z tych rzeczy. Rosyjscy wojskowi już dawno, czyli od czasów marszałka Ogarkowa, opracowali koncepcję rewolucji w sztuce wojennej. Ujmując rzecz skrótowo, ich zdaniem przyszła wojna, o której w Rosji mówi się dużo i poważnie, nie będzie porównywalna z wojnami na wyniszczenie poprzedniej epoki, gdzie zdolność mobilizowania potencjału ludzkiego i ekonomicznego miała decydujące znaczenie. Teraz będziemy mieli do czynienia z wojną sił specjalnych, krótką, przy użyciu nowoczesnej techniki. Nie jakąś wojną hybrydową, bo to kolejny rozpowszechniony mit, ale wojną konwencjonalną, a w razie konieczności przy zastosowaniu uderzeń taktyczną bronią jądrową. Zachodni analitycy zwracają uwagę na to, że wszystkie ostatnie rosyjskie interwencje (zarówno wojna z Gruzją, jak i inwazja na Krym oraz Donbas, a także w Syrii) są niczym innym, ale rzeczywistym, w warunkach bojowych, zastosowaniem rozmaitych rodzajów sił zbrojnych. Jeśli mówić o kwestiach militarnych, to dziś rosyjskie elity są przekonane, że przewaga sił w Europie jest tak przytłaczająca po ich stronie, iż nie ma sensu przywiązywać nadmiernej wagi do tego, co robi NATO, zwłaszcza że jest ciałem ociężałym i znacznie, przynajmniej w Europie, słabszym

eprasa.pl 2c83a54b18

niźli jeszcze 20 lat temu. Co oczywiście nie oznacza, że Rosja zaniecha swej tradycyjnej polityki powstrzymywania NATO i „adekwatnych odpowiedzi". Nie zaniecha, bo jest ona skuteczna. Zadajmy sobie proste pytanie: Czy Gruzja, po upływie 10 lat od szczytu NATO w Bukareszcie, jest dalej czy bliżej członkostwa w Pakcie?

CORAZ MNIEJSZY DYSTANS

Jednak też z tego samego powodu nie ma mowy o żadnych ustępstwach. Rosyjskie elity władzy są dziś przekonane, że z rywalizacji z kolektywnym Zachodem wychodzą obronną ręką i powołują się np. na badania przeprowadzone na Harwardzie, które pokazują, iż państwa Zachodu w ciągu ostatnich 30 lat osłabły w znacznie większym stopniu niźli Rosja, a zatem dystans między nimi się zmniejsza. A – jak napisał niedawno guru rosyjskiej geopolityki Siergiej Karaganow – w trwającej dziś zimnej wojnie nie będzie ani zwycięzcy, ani pokonanego. Ten podyktuje warunki pokoju, kto przetrwa rywalizację w lepszej kondycji. Trzeba przy okazji obalić kolejny mit. Jesteśmy, jako Polacy, dość zadowoleni z tego, że przeznaczamy na zbrojenia 2 proc. naszego PKB, a mamy zamiar w perspektywie roku 2030 wydawać 2,5 proc. Tylko że Rosja wydaje dziś siedem razy więcej niż my, mając PKB tylko trzy razy większy. Dystans więc rośnie, a zatem stajemy się relatywnie coraz słabsi.

Wracając do tego, jak rosyjskie elity oceniają perspektywy swego kraju na zwycięstwo w tym, co określa się mianem „drugiej zimnej wojny", to uważają, że ich szansa na końcowy sukces jest dziś większa niż za czasów ZSRS. Oczywiście, o ile nie popełnią zasadniczych błędów – to znaczy nie dadzą się wciągnąć w wyścig zbrojeń, w którym nie mają szans ani nie rozbudują nadmiernie swego zaangażowania w światową politykę, bo na to też nie mają wystarczających zasobów. Oczywiście nie chodzi o zaangażowanie dyplomatyczne, ale takie jak w Syrii czy Donbasie.

Tym bardziej jednak nie należy, i to jest częsty motyw w przemyśleniach wiodących rosyjskich analityków, w niczym ustępować Zachodowi. Przede wszystkim z tego względu, że zostanie to odebrane jako oznaka słabości i pozbawi Moskwę istotnych osiągnięć ostatnich lat. A jest nim uzyskanie tego, co w Rosji określa się „strategiczną głębią" i przejęciem inicjatywy. Otóż trzeba pamiętać, że rosyjskie elity władzy traktowały Majdan, i nadal tak robią, jako formułę agresji Zachodu, narzucenie Rosji scenariusza przyszłego konfliktu i zaabsorbowanie jej uwagi i zasobów. Odmianą tego, co w Rosji uznaje się za agresję, były w ich opinii arabska wiosna oraz protesty rosyjskiej opozycji na placu Błotnym w 2012 r. Dzisiaj w Moskwie uważa się, że dzięki Donbasowi, ale przede wszystkim Syrii, inicjatywa jest po ich stronie i – kolokwialnie rzecz ujmując – „gra się toczy na waszej połowie". I można przypuszczać, że w najbliższych miesiącach Rosja będzie szukała nowych boisk, nadających się do prowadzenia tego rodzaju rozgrywek z Zachodem. Nie zapominając o Ukrainie, warto skupić uwagę na tym, co się dzieje w Mołdawii oraz na Bałkanach, w grę wchodzą też państwa afrykańskie (Libia, Sudan) i bliskowschodnie (Liban).

Patrząc na to z tej perspektywy, Polska nie jest dziś dla Rosji wyzwaniem ani nawet partnerem do prowadzenia jakichkolwiek rozmów. Naszą pozycję wyznacza nie tylko nasza relatywna słabość, lecz także to, że rosyjskie elity mają, jak się przyjęło uważać, transakcyjny stosunek do polityki zagranicznej. A jaką transakcję jesteśmy Moskwie w stanie samodzielnie zaproponować, zagwarantować jej realizację i dopilnować jej wykonania? Mowa oczywiście o transakcji, na której bardzo jej będzie zależało. Trzeba w tym kontekście pamiętać też o tym, jak postrzegają naszą sytuację wewnętrzną. W rosyjskim myśleniu o zagrożeniach, z którymi państwa się mierzą, na samym czele sytuuje się ryzyko wystąpienia konfliktu elit. Czego efektem jest nie tylko naruszenie wewnętrznej stabilności, lecz także pozbawienie kraju strategicznej sterowalności. To m.in. z tego powodu Rosjanie zaczęli ingerować w życie polityczne Stanów Zjednoczonych i państw europejskich. Nie miejmy też złudzeń, jak postrzegają naszą sytuację, kraju podzielonego na dwa wrogie sobie polityczne plemiona, w którym przedstawiciele jednego z nich proszą obce rządy o rozjemstwo w wewnętrznych, politycznych sporach.

NOWE OTWARCIE?

W perspektywie najbliższych kilku lat brak jest, w mojej opinii, szans na jakiekolwiek nowe otwarcie w relacjach z Moskwą. To nie oznacza, że jesteśmy w tej materii w sytuacji bez wyjścia. Jest jeden element dla Moskwy ważny i taki, który możemy starać się obrócić na naszą korzyść. Otóż dla Rosji i dla jej elit w największym stopniu liczą się w Europie Niemcy, a na świecie Stany Zjednoczone. Na naszą korzyść działają siła relacji atlantyckich i ewentualny wpływ na politykę Berlina, a przez to całej Unii Europejskiej. Czy nam się to podoba, czy nie, jeżeli chcemy wzmocnić naszą pozycję w relacjach z Rosją, to musimy wzmocnić się w Berlinie i dbać o to, aby naturalne tarcia między naszym kontynentem a Stanami Zjednoczonymi nie nadwątliły tych związków. Napiszę kolejną, być może niepopularną w Polsce prawdę. Moim zdaniem kolejne, a z pewnością po 2014 r., rządy kanclerz Merkel prowadzą najbardziej stanowczą, w porównaniu z poprzednikami, politykę wobec Moskwy. Być może nie taką, jaką byśmy witali owacjami, ale też, zauważmy to, dość zasadniczo odmienną od wizji lansowanych przez Paryż. I w tym kontekście konfliktowanie się z Berlinem oznacza osłabianie naszych atutów, ale też atutów całego regionu, którego możemy stać się naturalnym liderem. Między skrajnościami wyznaczonymi przez politykę uległości wobec niemieckich interesów i tak daleko posuniętej niezależności, że grozić ona może samotnością, musimy znaleźć punkt, w którym i nasze interesy, i nasza suwerenność będą szanowane.

Skrótowo rzecz ujmując, jeśli chcemy mieć więcej do powiedzenia w relacjach z Moskwą, to musimy się wzmacniać w Berlinie. Nie należy z tego wyciągać wniosków, że na innych płaszczyznach możemy być bezczynni, ale na przełom nie liczmy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem i analitykiem specjalizującym się w tematyce Rosji i postsowieckiego Wschodu oraz blogerem.

O Rosji na łamach „Do Rzeczy":

- **Piotr Gursztyn** – „Kreml nie chce zgody" – 12 września 2016 r.
- **Tomasz Kwaśnicki** – „Ameryka nie kocha Polski" – 21 maja 2018 r.
- **Rafał A. Ziemkiewicz** – „Kwadratura Rosji i Niemiec" – 11 czerwca 2018 r.
- **Stanisław Żaryn** – „Atakowani po kryjomu" – 25 czerwca 2018 r.
- **Piotr Semka** – „Rosja – mroczny obiekt pożądania" – 25 czerwca 2018 r.
- **Andrzej Talaga** – „O Rosji realnie" – 9 lipca 2018 r.
- **Tomasz Kwaśnicki** – „Słoń w salonie" – 23 lipca 2018 r.
- **Rozmowa z Kornelem Morawieckim** – „Rosja nie prowadzi agresywnej polityki' – 30 lipca 2018 r.
- **Gabriel Michalik** – „Społeczeństwo jest Kremlowi zbędne" – 3 września 2018 r.

eprasa.pl 2c83a54b18

Strażnik Polski – konstytucja

Romuald Kmiecik

Marzenie o nowej wersji Polski „dzielnicowej" odseparowanej od władzy centralnej to osłabianie państwa. Realizację takiego scenariusza powinny utrudniać odpowiednie zapisy w konstytucji

Chociaż pomysł ogólnonarodowego referendum w sprawie nowej konstytucji okazał się chybiony zarówno koncepcyjnie, jak i politycznie, to co najmniej kilka rocznic przypadających na 2018 r. zachęca do kontynuowania debaty nad kształtem przyszłej Konstytucji RP. Za aktualny kryzys polityczny w dużej mierze „odpowiada" obecnie obowiązująca ustawa zasadnicza z 1997 r., której luki i wewnętrzne sprzeczności pozwalają każdemu na znaczną swobodę interpretacji jej przepisów. Konstytucja ta zniosła instytucję wykładni powszechnie obowiązującej. O innych słabościach i brakach tej ustawy zasadniczej pisano już w latach 90. ubiegłego stulecia. Przewidywano niepodległości i jednolitości państwa. Trudno uznać za zadowalające enigmatyczne unormowanie zawarte w art. 90 ust. 1 Konstytucji RP, które nie wprowadza żadnych realnych ograniczeń dla przekazywania „organizacji międzynarodowej lub organowi międzynarodowemu" kompetencji polskich organów władzy państwowej. Zastrzeżenie, że chodzi tylko o „niektóre sprawy", w praktyce nie jest żadnym ograniczeniem. Przepis ten trudno pogodzić z deklarowaną „niepodległością" (art. 5), „suwerennością" (art. 126 ust. 2), a nawet „jednolitością" państwa (art. 3), czyli wartościami wzmiankowanymi także w kilku innych przepisach konstytucji.

wówczas właśnie taki rozwój wydarzeń, jaki obserwujemy obecnie.

OKAZJA DO DEBATY

Niezależnie od 100. rocznicy odzyskania niepodległości w 1918 r. również – i w nie mniejszym stopniu – tysięczna rocznica uzyskania niepodległości w 1018 r. skłania do debaty m.in. nad przepisami określającymi międzynarodową pozycję Polski oraz jej relacje z Unią Europejską i innymi instytucjami międzynarodowymi, szczególnie w aspekcie suwerenności,

Wydarzenia roku 1018 warto więc na równi z tymi z 1918 r. upamiętnić debatą konstytucyjną, ponieważ ów rok stanowił przełomową datę w procesie kształtowania się niepodległego państwa polskiego. Jak zauważył niegdyś prof. August Sokołowski, dopiero w 1018 r., w wyniku pokoju w Budziszynie, Bolesław Chrobry „uwolnił się od wszelkiej zawisłości od Cesarstwa". Był to polityczny sukces, który wstrząsnął niemieckimi adwersarzami Bolesława, a kronikarz Thietmar, który odnotował z bólem to wydarzenie, zmarł ze zgryzoty jeszcze w tym samym roku. Warto pamiętać, że pomimo niewątpliwych zasług ojca Bolesława – Mieszka I – jako budowniczego państwa polskiego, odznaczającego się geniuszem politycznym, pomimo sukcesów militarnych w walkach z pogranicznymi margrabiami niemieckimi nasz pierwszy chrześcijański władca przez całe życie pozostawał „przyjacielem cesarza niemieckiego" (amicus imperatoris), którym to eufemizmem określano zależnych od cesarza lenników – władców sąsiednich krajów, zobowiązanych do świadczeń na rzecz swego feudalnego zwierzchnika. Cokolwiek by rzec, mimo, a może dzięki tej zależności od cesarstwa, Mieszko powiększył państwo o Śląsk i ziemie Wiślan oraz zachodnich Lędzian. Ziemie wschodnich Lachów, czyli tzw. Grody Czerwieńskie, zajął wówczas Włodzimierz, książę kijowski.

MOCNI LUB PODZIELENI

Autorzy dokumentów niemieckich z X w. nie bardzo wiedzieli, jak tytułować

eprasa.pl 2c83a54b18

Mieszka jako władcę chrześcijańskiego. W najlepszym razie określali go tytułem margrabiego (marchio), w najgorszym nazywali „Słowianinem" bądź „komesem", bez żadnego tytułu godnego władcy, a on sam w dokumencie „Dagome iudex" określał siebie skromnie tytułem „iudex" (nie „rex", nie „dux", nie „princeps", ale „iudex"). W owej epoce „iudex" bądź „comes civitatis" mógł oznaczać administracyjno-sądowego i wojskowego zarządcę prowincji cesarstwa.

Po śmierci Mieszka I, jeszcze podczas zjazdu gnieźnieńskiego w 1000 r., cesarz Otton III miał wątpliwości, jakim tytułem należałoby obdarzyć Bolesława, z pewnością nie tytułem komesa ani grafa, lecz bardziej znamienitym, może nawet nawiązującym do imienia własnego Karola Wielkiego, które w językach słowiańskich stało się wtedy synonimem najwyższego, choć niekoniecznie całkiem niezależnego od cesarstwa władcy – króla (ros. korol, czes. kral, serb. krajl). Dlatego tak ważny okazał się rok 1018, gdyż dokładnie tysiąc lat temu, na siedem lat przed oficjalną (choć nieuznawaną przez większość Niemców) koronacją, państwo Bolesława uzyskało pełną niezależność, którą znacznie później określono mianem suwerenności.

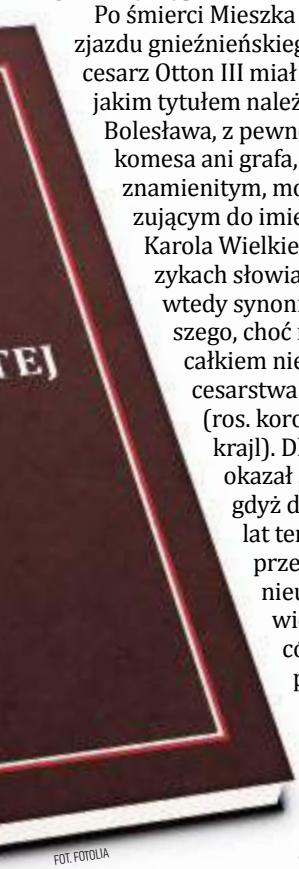
FOT. FOTOLIA

Bezimienne państwo gnieźnieńskie Mieszka I „polane" chrzcielną wodą, a więc ochrzczone, stało się za czasów Bolesława Polanią vel Polonią, a idea królestwa, spójnego i niepodległego, przetrwała w dziejach dzięki koronacji, którą zawdzięczamy temu wielkiemu władcy. On to sprzeciwił się po śmierci swego ojca podziałowi kraju na dzielnice przewidziane dla przyrodnich braci urodzonych przez niemiecką drugą żonę Mieszka – Odę. Być może z jej właśnie inspiracji dokument „Dagome iudex" nie wymieniał w ogóle pasierba Bolesława, potencjalnego jedynowładcy.

Dążenie do podziału Polski na dzielnice było od tego czasu stale wspierane przez cesarstwo niemieckie w imię zasady „dziel i rządź" (divide et impera). Nic bowiem nie osłabia państwa bardziej niż słabość władzy centralnej, słabość, którą współcześnie zapewnia propagowana w UE regionalizacja Europy. Niegdyś przekonali się o tym Słowianie połabscy podzieleni na blisko 40 plemion, które nie zdołały się zjednoczyć i uległy cesarstwu mimo zaciekłego oporu. Ostatecznie, gdy ponad 100 lat po pokoju budziszyńskim „testament" Bolesława III Krzywoustego podzielił niestety Polskę na dzielnice, kraj nasz przez kolejne dwa stulecia przestał się liczyć w Europie, całkowicie zdominowany przez cesarstwo. W drugiej połowie XII w. prestiż Polski „dzielnicowej" sięgnął dna, a upokorzony Bolesław IV Kędzierzawy bił monetę z wizerunkiem cesarza Fryderyka Barbarossy, który uważał nasz kraj nie tylko za część cesarstwa, lecz także za wręcz integralną część królestwa Niemiec.

Będąc niewiele znaczącym podzielonym wewnętrznie krajem, niezdolnym w XIII w. do obrony swego terytorium, Polska stała się obiektem wyniszczających ataków nie tylko rzeczywiście groźnych (choć przecież do pokonania) hord mongolskich („Tatarów"), lecz także relatywnie słabszych najeźdźców ze wschodu i z północy, ulegając im lub walcząc z nimi na ogół ze zmiennym szczęściem, często bez sukcesów.

Po raz ostatni w I Rzeczypospolitej pomysł podziału Polski na odrębne udzielne księstewka (prowincje), gwarantujący likwidację silnej władzy centralnej, w szczególności królewskiej, przedstawił Katarzynie II Stanisław Szczęsny Potocki, targowiczanin, ów wyrodek z zacnego rodu Potockich, skazany zaocznie w 1794 r. za zdradę na karę śmierci. Ten sam, który ogłosił się później „Rosjaninem", choć gardzili nim sami Rosjanie.

JAKA KONSTYTUCJA

Jeżeli zatem są obecnie w Polsce środowiska polityczne, którym marzy się „słaba Polska", to postulowana likwidacja urzędów wojewódzkich i innych organów państwowych w terenie w imię rozwoju opacznie pojmowanej „samorządności" (lokalnych klik i koterii) jest najlepszą formą urzeczywistnienia tego marzenia. Marzenie o „samorządnej" Polsce, nowej wersji Polski „dzielnicowej" odseparowanej od władzy centralnej wydaje się czymś szokującym oczywiście dla ludzi myślących po polsku, świadomych wartości, jaką jest silne państwo polskie. Samorządność lokalna zapewne jest cenną wartością, ale nie w opozycji do władzy państwowej.

Nowa konstytucja powinna skutecznie zabezpieczyć nasz kraj przed tego rodzaju destrukcyjnymi marzeniami anihilatorów państwa polskiego. Jednocześnie powinna też w relacjach z Unią Europejską wykluczać możliwość zmian w kierunku realizacji liberalno-lewicowej koncepcji federalizacji Europy przewidującej likwidację państw narodowych drogą stopniowego, lecz stałego ograniczania ich suwerenności na rzecz organów UE.

Nic nie osłabia państwa bardziej niż słabość władzy centralnej, słabość, którą współcześnie zapewnia propagowana w UE regionalizacja Europy

Artykuł 90 ust. 1 Konstytucji RP należałoby uchylić bądź znowelizować, określając wyraźnie, w jakich sprawach nie jest dopuszczalne przekazywanie kompetencji władzy państwowej organizacjom lub organom międzynarodowym oraz w jakich sprawach wyłączona będzie sądowa jurysdykcja UE. Nie ma też żadnej potrzeby wprowadzania do konstytucji nazwy „Unia Europejska". Twór ten bowiem powinien pozostać tym, czym jest w świetle obowiązującej konstytucji – jedną z wielu organizacji międzynarodowych. Konstytucja powinna też gwarantować taki kształt samorządu terytorialnego, który by eliminował lub ograniczał obserwowany obecnie antagonizm między władzą państwową a niektórymi jednostkami samorządu regionalnego lub lokalnego. Tym bardziej dotyczy to prób „autonomizacji" niektórych obszarów lub „wolnych" miast.

Czy nie byłoby zatem wskazane, aby w nowej konstytucji urząd starosty uczynić formą przedstawicielstwa rządu w samorządowym powiecie, odpowiednio do statusu wojewody na obszarze?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem doktorem habilitowanym w zakresie nauk prawnych, specjalistą w zakresie procedury karnej i prawa dowodowego.

eprasa.pl 2c83a54b18

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Łapówka story

W Kazachstanie i Kirgistanie najbardziej podobały mi się konie. Stada koni pasące się na stepach i w górskich dolinach. To zupełnie co innego niż krowy, a nawet – przy całym szacunku – owce. Końska uroda zwiększa jeszcze piękno krajobrazu.

Podobała mi się też Ałma Ata (teraz Ałmaty). Dawna stolica Kazachstanu to najbardziej kosmopolityczne miasto Azji Centralnej. Gwarne, ruchliwe, zaskakująco europejskie. Pełne świetnych restauracji (najlepsze gruzińskie), snobistycznych barów, sklepów światowych marek i luksusowych aut. Jeśli Kazachstan kojarzy się komuś wyłącznie z Boratem, to w Ałma Acie przeżyłby szok.

Podobała mi się też korupcja. Czy może raczej to, że jej wszechobecność pokazywała, jaką długą drogę przebyliśmy. Wiem, że w Polsce korupcja wcale nie zniknęła, lecz wycofała się w rozmaite dziwne miejsca (jak np. komercyjne stacje telewizyjne, w których ten i ów szef anteny zleca produkcję programu producentowi, który dzieli się z nim zyskiem). Jednak przeciętny obywatel jest narażony na natarczywe domaganie się łapówy zdecydowanie rzadziej niż kiedyś.

W dawnych azjatyckich republikach ZSRS nikt nie czuje obciachu. Gdy wypożyczaliśmy samochód w Ałma Acie, właściciel wypożyczalni (skądinąd sam niezły gagatek) uprzedził nas, że stawki łapówek wynoszą między 3 a15 tys. tengów. Granicę między bogatym Kazachstanem a biednym Kirgistanem przekraczaliśmy na odludnym przejściu położonym w stepie. Nic dziwnego, że byliśmy pewną atrakcją dla kazachskich pograniczników. Byli młodzi, sympatyczni i uśmiechnięci. Jednak kiedy przeglądali nasze bagaże, to jeden z nich w sposób sympatyczny i z uśmiechem na ustach zasugerował, że podoba mu się maszynka do golenia. I chciałby ją sobie wziąć. No więc wziął.

W Kirgistanie drogówka łapała nas trzy razy jednego dnia. Za pierwszym – uroczy milicjant zażądał 2 tys. somów mandatu, ale żadnego mandatu nie wypisał. Za drugim – twardo oświadczyliśmy, że nie mamy somów, ale milicjant wypatrzył u nas kazachską walutę i w efekcie zapłaciliśmy łapówkę wyższą niż oficjalny mandat. Rodzina milicjanta wieczorem przy ufundowanej przez nas kolacji musiała mieć z nas niezły ubaw. Za trzecim razem milicjanier zatrzymał nas tuż przed przejściem granicznym (już takim dużym, ruchliwym). Zaprosił do specjalnej budki i zażądał pieniędzy. Szczęśliwie zauważyliśmy czytnik do kart i twardo oświadczyliśmy, że pieniędzy u nas „niet" i mandat (nie bardzo wiadomo za co) zapłacimy kartą. Zmartwiło to funkcjonariusza, który rozpaczliwie domagał się gotówki. A w końcu otworzył szufladę w biurku i błagalnie jęknął: „No wrzućcie cokolwiek". Nie wrzuciliśmy.

Bardzo miło jest czasem odwiedzić takie miejsce. Po powrocie ojczyzna wydaje się jakby mniej niedoskonała. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Biały dym

Jubileusz pontyfikatu papieża Polaka zaowocował masą wspomnień i refleksji. Starsi przypominali sobie, gdzie zastała ich wiadomość o białym dymie, młodsi sięgali do dnia wielkiej żałoby po nim.

Były dziesiątki analiz o Janie Pawle II jako polityku, teologu, proroku. Pewne rzeczy traktuje się obecnie jako oczywiste, ale wtedy, jesienią 1978 r., wcale takie nie były. Dla wschodniej Europy niebo wydawało się zasnute na długo, może na zawsze. Imperium zła sięgało po coraz nowe rubieże na kolejnych kontynentach, porozumienie w Helsinkach praktycznie sankcjonowało podział świata i naszą niewolę. Inteligencji wmówiono, że w Boga wierzą już tylko staruszki, dewotki i niektórzy księża, a lud prostaczy głównie kombinował, jak przeżyć, omijając co mniej wygodne przykazania.

Karol Wojtyła dał ludziom nadzieję, wyprostował karki i pozwolił się policzyć

I zdarzył się cud. A właściwie seria cudów, wyśniony przez Słowackiego grom z jasnego nieba – „w czasie niesnasek Pan Bóg uderza", wielka pielgrzymka nadziei, potem Solidarność. Opatrzność czuwała. Papież przeżył zamach na swoje życie, a Polska stan wojenny. I cokolwiek zdarzyło się potem, nie było powrotu do status quo. Karol Wojtyła dał ludziom nadzieję, wyprostował karki i pozwolił się policzyć. Z samotnych szamocących się tubylców ulepił wspólnotę obywateli. Przewartościował. Dał drugą szansę.

Ten drugi chrzest Polski miał moc oczyszczającą – wielką pokojową rewolucję. Moc Solidarności tworzyli zwykli ludzie, często pojedynczo słabi, pogubieni, po przejściach i z przeszłością, członkowie PZPR i ZSL, PAX i organizacji młodzieżowych. Później wielu nie wytrzymało, zawiodło w dniach próby, ale nadzieja pozostała, a kłamstwu przetrącono kark tak, że nie mogło odzyskać dawnego wigoru, choćby ile sił wywijało uszami…

Gdzie bylibyśmy bez tamtego gestu Opatrzności? I czym bylibyśmy? Kupką popiołu po atomowej hekatombie czy gubernią w imperium zła przekształconym na modłę chińską?

Czy nadal potrzeba nam cudów? Tak jak „naród wybrany" za Mojżesza ciągle grzeszymy zwątpieniem, słabością wiary. Być może dlatego potrzebne są nie tylko cuda, lecz także bolesne traumy, „by nasze blizny nie zarosły błoną podłości". Bóg pisze prosto na liniach krzywych. Trudno wyobrazić sobie, gdzie byśmy byli bez polskiego papieża, ale również bez Smoleńska. Jak zwykle jestem optymistą. I wierzę w sens dziejów. Dlatego kiedy ktoś narzeka, że wielka część dorobku Jana Pawła II jest zapominana, powtarzam: Poczekajcie, nadejdzie czas, kiedy przypomniana bardzo się nam przyda! ©℗

eprasa.pl 2c83a54b18

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

6 LISTOPADA 2018

GALA WRĘCZENIA NAGRÓD

VI EDYCJA

NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł **STRAŻNIK PAMIĘCI** przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PATRONAT HONOROWY

SEJM

niepodległa – Polska stulecie odzyskania niepodległości

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

SPONSOR

PGNiG

PARTNERZY

PZL-ŚWIDNIK a LEONARDO HELICOPTERS company

Poczta Polska

Bank Pekao

PKP INTERCITY

TOTALIZATOR SPORTOWY

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

99 RENT

WSPÓŁORGANIZATOR

eprasa.pl ZC83a54b18

Ambasador Jakub Kumoch

FOT. MSZ

Lista Ładosia

Z Jakubem Kumochem, ambasadorem Polski w Szwajcarii

rozmawia Piotr Zychowicz

PIOTR ZYCHOWICZ: Kim był Aleksander Ładoś?

JAKUB KUMOCH: Polskim posłem w Szwajcarii. Do Berna przyjechał w 1940 r., na krótko przed kapitulacją Francji. I od razu musiał zmierzyć się z poważnym kryzysem humanitarnym. W Szwajcarii została internowana polska 2. Dywizja Strzelców Pieszych. W ślad za wojskiem zaczęli napływać polscy uchodźcy – jak pisał Ładoś – „z Belgii, Holandii i obu Francji".

Żydzi?

W dużej części tak. Byli to ludzie, którzy już przed wojną mieszkali na Zachodzie i utracili polskie obywatelstwo. W efekcie znaleźli się w trudnej sytuacji, groziła im deportacja na tereny okupowane przez Niemców. Rząd Polski przywrócił im obywatelstwo. I w ten sposób uniemożliwił ich deportację. Wymagało to ciężkiej pracy od konsula Konstantego Rokickiego, który masowo produkował dla tych ludzi polskie paszporty, legalne paszporty Rzeczypospolitej Polskiej.

To wtedy nawiązano kontakty z organizacjami żydowskimi?

Tak. Między innymi z Abrahamem Silberscheinem, który stał na czele utworzonego w Genewie komitetu pomocy Żydom. Obie strony – polska i żydowska – przekonały się, że mają do czynienia z poważnymi partnerami, którym można zaufać. To miało zaprocentować w przyszłości.

A skąd pomysł, żeby do ratowania użyć fałszywych paszportów państw Ameryki Południowej?

Mamy w tej sprawie dwa tropy i oba prowadzą do polskiego konsulatu w Bernie. Według pierwszego już w 1941 r. poseł Ładoś załatwiał pojedyncze paszporty Chile w ambasadzie tego kraju w Rzymie.

A drugi trop?

Drugi dotyczy polskich Żydów, którzy w 1939 r. uciekli na tereny okupowane przez Związek Sowiecki. Tak zwanych bieżeńców. Ci ludzie znaleźli się w pułapce. Sowieci nie zgadzali się, żeby wyjechali w głąb ich terytorium, a jednocześnie Żydzi nie mieli najmniejszej ochoty wracać pod niemiecką okupację. Japoński konsul w Kownie Chiune Sugihara wydawał takim ludziom wizy tranzytowe do Japonii.

Tak, to znana sprawa. Co to ma jednak wspólnego z grupą berneńską?

Nieformalny asystent posła Ładosia, młody polski Żyd Juliusz Kühl, powiedział w 1943 r. prokuratorowi w czasie przesłuchania, że polscy dyplomaci wpadli wówczas na pomysł, żeby wyciągnąć Żydów ze Związku Sowieckiego, „nadając im obywatelstwo" Paragwaju. Kupiono kilkadziesiąt paszportów tego kraju.

Gdy Niemcy w 1942 r. uruchomili obozy zagłady, działania grupy berneńskiej nabrały tempa i rozmachu.

Do tej pory to była operacja elitarna. Wyrabiano paszporty wybranym członkom żydowskiej społeczności w nadziei, że Niemcy będą ich – jako obcokrajowców – lepiej traktować. Akcja nie była masowa, bo obawiano się wpadki. Nie przewidywano wtedy, że Hitler przystąpi do eksterminacji całego narodu. W 1942 r. sytuacja uległa zmianie. Teraz trzeba było ratować przed śmiercią, kogo się da.

eprasa.pl 2c83a54b18

Paszporty były drogie.

Ceny dochodziły do 2 tys. franków za sztukę, czyli więcej, niż wynosiła miesięczna pensja posła Ładosia. Szwajcarska gazeta, która napisała niedawno o sprawie, wyliczyła, że 2 tys. franków w 1943 r. to 14 tys. franków dziś, czyli równowartość ponad 50 tys. zł.

Kto brał te pieniądze?

Berneński adwokat Rudolf Hügli, który sprawował funkcję konsula honorowego Paragwaju. Początkowo akcja była dość chaotyczna. Żydzi zgłaszali się do polskiego konsulatu, konsulat dawał pieniądze Hüglemu i powstawały paszporty. Hügli sprzedawał jednak również dokumenty na własną rękę i popełnił błąd. Prawdopodobnie wręczył paszport niemieckiemu agentowi. Gestapo interesowało się akcją od samego początku.

Wtedy został aresztowany?

Tak. To było w styczniu 1943 r. Podejrzewano go prawdopodobnie o szpiegostwo, więc Hügli – pewnie żeby się ratować – ujawnił cały schemat akcji. Zrzucił całą „winę" na Polaków. Powiedział, że to polscy dyplomaci namówili go do fałszerstw. Ponieważ był przedstawicielem starej prawniczej rodziny, szwajcarska policja dała wiarę jego słowom. Uznała, że jest w podeszłym wieku – miał 70 lat – i nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Wszystko zakończyło się na tym, że władze Szwajcarii udzieliły Polakom ostrzeżenia, a sprawę początkowo zamieciono pod dywan.

Hügli wypadł z gry.

Nie. Stał się ostrożniejszy. Zrozumiał, że odkrył „złotą żyłę", więc dalej sprzedawał Polakom paszporty. Tylko wszystkie z datą sprzed stycznia 1943 r. Tak, żeby wyglądało na to, iż wystawił je przed aresztowaniem. Proszę zajrzeć do Internetu, można znaleźć w nim mnóstwo skanów tych paszportów. Niemal wszystkie mają datę: grudzień 1942 r.

Co Polacy zrobili po wpadce?

Postanowili sprawę uporządkować. Uznali, że ratowanie musi mieć charakter metodyczny. Jako osobę odpowiedzialną za sporządzanie list wyznaczyli Abrahama Silberscheina. Polsko-żydowski działacz otrzymał dwa zadania: sporządzić listy polskich Żydów, których należy uratować, i zorganizować zbiórkę pieniędzy w Stanach Zjednoczonych. Jednocześnie kooperowano z Chaimem Eissem z Zurychu, który wykonywał podobną pracę. Silberschein był świeckim syjonistą, Eiss – ultraortodoksem. Mimo to ich współpraca była bardzo lojalna.

Kto wyłożył te środki?

Przede wszystkim żydowskie organizacje w Ameryce. Za niektóre paszporty płacił też polski rząd. Co najważniejsze – Polacy wynegocjowali z Hüglim cenę hurtową. Zbili ją do 700, a później 500 franków za paszport Paragwaju. Wypisywał je od tej pory wyłącznie polski konsul Konstanty Rokicki – zidentyfikowaliśmy jego charakter pisma na zachowanych dokumentach. Niedawno dostaliśmy prawdziwy polski paszport z Berna

Aleksander Ładoś, konsul generalny Polski w Monachium FOT. NAC

z 1940 r. Pismo konsula jest identyczne jak na paszportach „paragwajskich".

Cały czas mówiliśmy o tym, co się dzieje w Szwajcarii. Przenieśmy się do okupowanej Polski.

Część paszportów wyrobionych w Szwajcarii trafiła do warszawskiego getta, ale większość do Będzina i Sosnowca.

Jaki był klucz? Nadal ratowano elity?

Na początku paszporty rzeczywiście mieli dostać wybrani – rabini, młodzież syjonistyczna, inteligencja. Znani i wpływowi Żydzi. Akcja wkrótce nabrała jednak masowego charakteru. Paszporty wystawiano wielopokoleniowym rodzinom, kibuce szykujące się przed wojną do emigracji pozyskiwały je dla swoich członków. Próbowano też ratować członków ruchu oporu. Część z nich stanowczo jednak odmówiła i zginęła później w trakcie powstania w getcie w Będzinie.

Do paszportu potrzeba zdjęcia.

Fotografie były szmuglowane przez Słowację i Węgry do Szwajcarii. Niedawno udało nam się pozyskać archiwum Chaima Eissa, jednego z członków grupy berneńskiej. Znaleźliśmy w nim zdjęcia przysłane z okupowanej Polski. Widać wyraźnie, że zostały one wycięte ze starych fotografii rodzinnych. Na jednym ktoś trzyma na rękach dziecko, na innym w tle widać jakieś postacie.

Zdjęcie trafiało na biurko konsula Rokickiego, który wklejał je do fałszywego paszportu. A jak ten paszport przesyłano potem do okupowanej Polski?

Tych paszportów nie przesyłano do Polski. Żaden z paszportów miał nie opuszczać terytorium Szwajcarii. Jedynie nieliczne – wskutek pomyłki albo wyższej konieczności – wysłano za granicę.

Jak to?

Przesłanie paszportów skończyłoby się katastrofą. Fiaskiem całej operacji. Ludzie, którzy by je dostali, próbowaliby masowo wyjechać z okupowanej Polski. Straż graniczna państw neutralnych lub Osi natychmiast zorientowałaby się, że coś jest nie tak. I wszyscy nowi „obywatele" krajów Ameryki Południowej zostaliby zamordowani przez Niemców.

Co się więc działo z paszportami?

Trafiały do sejfów Abrahama Silberscheina lub Chaima Eissa. Zgodnie z umową miały być zniszczone natychmiast po wojnie. Rudolf Hügli sporządzał kopie notarialne paszportów i podpisywał je za zgodność z oryginałem. Kopie te pakował do koperty i wysyłał do okupowanej Polski. Z listem, w którym informował adresata, że został obywatelem Paragwaju. Dzięki temu taka osoba mogła próbować wykazać Niemcom, że jest obcokrajowcem. Nie mogła jednak wyjechać za granicę.

To jaki był cel tej operacji?

Cel był taki, żeby Niemcy nie zamordowali takiej osoby, tylko internowali ją w jednym z obozów dla obcokrajowców. Osadzeni w tych ośrodkach oczekiwali na wymianę na niemieckich obywateli internowanych w krajach alianckich.

eprasa.pl 2c83a54b18

Wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie to, że Niemcy w pewnym momencie zorientowali się, iż zostali oszukani.

Ja to widzę inaczej. Niemcy od początku wiedzieli, że ci Żydzi nie mają nic wspólnego z Paragwajem. Mieli jednak dwie opcje. Część niemieckiej administracji uważała, że należy grać w tę grę i wymieniać „Latynosów" na internowanych Niemców. Inni byli do reszty ogarnięci żądzą zabijania. Dlatego niektórzy posiadacze paszportów byli eksterminowani, a inni wyłączani z transportów.

Kiedy Niemcy zaczęli weryfikować paszporty internowanych w obozie Vittel we Francji, państwa Ameryki Łacińskiej wyparły się swoich „obywateli".

Nie do końca tak było. Akurat Paragwaj może być dumny ze swojej postawy. Państwo to w 1944 r. uznało paszporty Hüglego. I zrobiło to całkowicie bezinteresownie. W sprawie tej interweniował szef polskiej dyplomacji Tadeusz Romer. Polskie ambasady w innych krajach Ameryki Południowej otrzymały od Romera instrukcję, aby domagać się uznania paszportów wydanych polskim Żydom. Poszło to na „szeroki rozdzielnik" – do Buenos Aires, Río, Limy, Santiago, Hawany, Meksyku i Waszyngtonu.

Co więc poszło nie tak?

To bardzo tajemnicza sprawa. Według jednej z teorii poseł jednego z zachodnich państw reprezentujący Paragwaj nie przekazał w Berlinie tej informacji na czas. Według innej to Niemcy przerwali grę. Jak bowiem pisał poseł Ładoś, Niemcy uznawali Żydów za Latynosów tylko wtedy, jeżeli znajdowali się Niemcy na wymianę. W 1944 r. był z tym problem. Niemcy przegrywały i mało kto spośród internowanych chciał wracać do Rzeszy.

Żydzi przestali być potrzebni.

Niestety tak. W gestapo wygrywali przeciwnicy układów. Część posiadaczy latynoskich paszportów trafiła do obozów zagłady. Sprawdziliśmy to w archiwach Muzeum Auschwitz. Z transportu z Vittel nie przeżył żaden posiadacz paszportu. Jedynie dwóm ludziom udało się wyskoczyć z pociągu.

Stąd zrodziła się plotka, że cała akcja była nieudana?

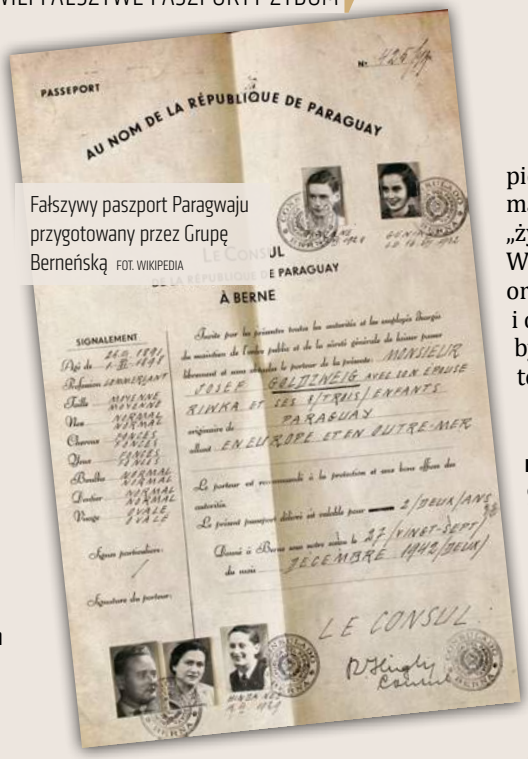

Fałszywy paszport Paragwaju przygotowany przez Grupę Berneńską FOT. WIKIPEDIA

Tak. Likwidacja Vittel była tragedią i potworną zbrodnią. Stąd powstała też legenda o tym, że paszporty nikomu nie ocaliły życia. Vittel nie był jednak jedynym obozem, w którym przebywali posiadacze paszportów. Znacznie więcej zostało internowanych w podobozie w Bergen-Belsen, Tittmoning oraz znajdowało się poza obozami – w ukryciu albo w obozach pracy. Paszporty wyłączały ich z kolejnych wywózek.

Ilu ludzi udało się uratować?

Spośród 2,2 tys. posiadaczy paszportów Paragwaju do końca wojny dotrwało co najmniej 800 osób. Według moich ostrożnych i wstępnych szacunków uratowało się ponad 400 posiadaczy paszportów Hondurasu i pojedyncze osoby zaopatrzone w paszporty Haiti i Peru. Jestem jednocześnie bardzo ostrożny wobec słowa „uratować". Paszporty Ładosia mocno zwiększały prawdopodobieństwo ocalenia, ale po ich wyprodukowaniu polscy dyplomaci nie byli w stanie zrobić nic więcej. Ważne jest to, że próbowali uratować kilka tysięcy osób.

W mediach krążyła informacja, że posiadaczy paszportów uratowało się ok. 400.

To informacja nieaktualna. Z nazwiska znamy znacznie więcej ocalonych.

Grupa berneńska była grupą polsko-żydowską. W jej skład wchodziło trzech polskich dyplomatów i trzech działaczy żydowskich. Taka współpraca to rzecz – szczególnie wówczas – nieczęsto spotykana.

Ja zawsze zwalczam dwa poglądy. Po pierwsze twierdzenie, że „polscy dyplomaci ratowali Żydów", a po drugie, że „żydowskie organizacje ratowały Żydów". W rzeczywistości polscy dyplomaci bez organizacji żydowskich byliby bezradni i odwrotnie – żydowskie organizacje nic by nie osiągnęły bez polskich dyplomatów. To była operacja wspólna.

Bardzo krzepiąca historia. Według powszechnego stereotypu relacje Polaków i Żydów za granicą z reguły są dość chłodne.

Stereotypy mają to do siebie, że często bywają nieprawdziwe. Pochodzenie etniczne ratowanych osób nie miało dla naszych dyplomatów znaczenia. Słowa „Polacy" i „Żydzi" używane były w dokumentach wymiennie, a korespondencja między poselstwem a organizacjami żydowskimi była pełna szacunku. Poseł Ładoś, radca Stefan Ryniewicz i konsul Rokicki nie uważali, że pomagają „obcym". Uważali, że pomagają obywatelom Rzeczypospolitej, którzy znaleźli się w potrzebie, a potem, gdy cała akcja przeniosła się do Holandii, pomagali po prostu zagrożonym śmiercią ludziom.

A jakie były motywy postępowania posła Ładosia i jego kolegów?

Policja szwajcarska określiła je w 1946 r. mianem „patriotycznych". Uznała, że choć Rokicki jest fałszerzem dokumentów, to robił to nie dla zysku, tylko dla ratowania rodaków. Ja bym określił ich motywy jako patriotyczno-humanitarne.

Pojawiały się plotki podważające ich uczciwość.

Zawsze tam, gdzie są transfery gigantycznych sum pieniędzy, są też plotki. W tym jednak przypadku byłyby one haniebne. Ładoś po wojnie przebywał na emigracji we Francji. Mieszkał w strasznej ruderze i żył z przydomowego ogródka. Rokicki został pochowany na koszt opieki społecznej w miejscu, w którym grzebano ubogich. Stefan Ryniewicz prowadził w Argentynie myjnię samochodową, a Juliusz Kühl wylądował w Kanadzie z jedną walizką. Również Silberschein i Eiss nie pozostawili po sobie żadnych bogactw.

To skąd wzięły się te podejrzenia?

Taka jest już natura ludzka. Nawet Silberschein na początku chyba nie wykluczał, że Kühl i Rokicki mogą część pieniędzy inkasować do kieszeni. Postanowił więc znaleźć w Bernie konsulów innych państw, którzy załatwiliby mu paszporty taniej.

eprasa.pl 2c83a54b18

Znalazł?

Nie. Nikt mu taniej paszportów nie sprzedał.

Czyli nie ma wątpliwości?

Nie ma. Polscy dyplomaci pomagali Żydom z przyczyn humanitarnych i patriotycznych. Uważali, że to ich obowiązek. Nawet jeżeli oznaczało to łamanie prawa i podjęcie poważnego ryzyka.

Symbolem ratowania Żydów jest „dobry Niemiec" Oskar Schindler. Czy historia Ładosia ma szansę przebić się do masowej świadomości?

Ona już się przebija, bo wciąż żyją ludzie ocaleni przez Ładosia. Widzę reakcje potomków Żydów uratowanych dzięki paszportom. Do części napisałem, część sama się ze mną skontaktowała. To są ludzie zafascynowani tą historią. I niezwykle wdzięczni. Niektórzy pytali mnie o namiary na potomków Ładosia i Rokickiego, którym chcieli podziękować. Ci ludzie opowiadają tę historię znajomym, wieść się roznosi, zatacza coraz szersze kręgi. Tego nie da się zamieść pod dywan, bo lista Ładosia – jeżeli już pan użył tego porównania do Schindlera – zawiera tysiące nazwisk. Jestem przekonany, że doczekam się bardzo dobrego filmu i znakomitych książek na ten temat.

A nie spotyka się pan z zarzutem, że jako ambasador uprawia pan „polską propagandę"? Polacy ratujący Żydów – to dziś modny temat.

Nikt do tej pory niczego takiego mi nie zarzucał. Wprost przeciwnie – Żydzi, z którymi się kontaktujemy, podchodzą do naszych badań z wielką życzliwością i wyrażają wdzięczność, że się tym zajęliśmy. Nigdy nie słyszałem opinii, że to wszystko „kłamstwa i polska propaganda". My nie zawyżamy liczby uratowanych, a wszystko, o czym panu mówię, mogę udokumentować. Dokumentów mamy setki. Zresztą nie ma potrzeby upiększać tej historii. Ona jest wystarczająco piękna.

Na Zachodzie dominuje jednak opinia, że Polacy raczej Żydom szkodzili, niż pomagali. Historia Grupy Berneńskiej twórcom naszej „polityki historycznej" spadła z nieba.

Nie uważam sprawy grupy Ładosia za część polskiej „polityki historycznej". To po prostu fakt historyczny, to się wydarzyło. Czy mam jako ambasador udawać, że się nie wydarzyło?

Czy to prawda, że w budynku, w którym urzędował poseł Ładoś, jest obecnie pańska rezydencja?

Tak. Gabinet posła Ładosia znajduje się tam, gdzie znajdował się podczas wojny. Mieszkam w tym samym miejscu, w którym mieszkał Ładoś. Dlaczego pan pyta?

Ponieważ zastanawiam się, czy to odgrywa w pańskich działaniach jakąś rolę?

Nie, to nie jest kwestia sentymentu. To kwestia poczucia obowiązku. Ładoś był bohaterem, podobnie jak reszta wtajemniczonych w operację dyplomatów. Każdy ambasador w Szwajcarii ma obowiązek dbać o ich pamięć. To jest naprawianie krzywdy, którą uczyniła im PRL.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jakub Kumoch – jest ambasadorem RP w Szwajcarii. Wcześniej pracował jako ekspert ds. stosunków międzynarodowych i dziennikarz. Od czasu objęcia placówki w Bernie zajmuje się badaniem działalności posła Aleksandra Ładosia.

REKLAMA

Festiwal EUFONIE – o nierozerwalnej więzi kultury i historii

Wielkie społeczne przemiany zawsze znacząco wpływają na wydarzenia w świecie kultury i sztuki. Nieprzypadkowo w roku obchodów 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości debiutują EUFONIE — I Międzynarodowy Festiwal muzyki Europy Środkowo-Wschodniej. I nieprzypadkowo w Warszawie, stolicy kraju tak bardzo angażującego się we współpracę z państwami między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnym.

W październiku 1918 roku koniec I wojny światowej był już przesądzony. Na europejskich ulicach wrzało. Dokładnie 31 października Węgry ogłosiły deklarację niepodległości. Siedmiogród i Besarabia zjednoczyły się ze Starym Królestwem Rumunii dając początek Wielkiej Rumunii. W tym czasie w Krakowie powstała Komisja Likwidacyjna z Wincentym Witosem - jej zadaniem było utrzymywanie bezpieczeństwa i spokoju do czasu powstania niepodległego państwa polskiego. 11 listopada Józef Piłsudski przejmuje zwierzchnictwo i naczelne dowództwo nad Wojskiem Polskim, a 22 listopada obejmuje obowiązki Tymczasowego Naczelnika Państwa. Jednym z pierwszym działań jakie podejmie będzie przeprowadzenie wyborów do Sejmu Ustawodawczego.

W tym czasie George Enescu, Karol Szymanowski czy Bela Bartók tworzą nowe ramy dla narodowych stylów muzycznych dbając przy tym by to, co narodowe włączyć w nurt muzyki europejskiej. Powstaje „I Koncert skrzypcowy" Szymanowskiego, w którym kompozytor porzucił XIX-wieczne tradycje, system dur-moll, a samo dzieło zyskało miano pierwszego nowoczesnego koncertu skrzypcowego. Sukces baletu „Drewniany książę" w 1917 zmienia pozycję Beli Bartoka w kraju i wyzwala w kompozytorze nową energię twórczą. Właśnie po I wojnie światowej nastąpił okres największych eksperymentów dźwiękowych i stylistycznych. Powstaje balet „Cudowny mandaryn", „Improwizacje na fortepian op. 20." i dwie sonaty skrzypcowe. Nad III Symfonią C-dur pracuje George Enescu, wielki skrzypek i kompozytor, rówieśnik Karola Szymanowskiego o podobnym jak polski twórca znaczeniu w ojczystym kraju.

I Międzynarodowy Festiwal Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej EUFONIE to pierwsze wydarzenie na rynku muzycznym, którego głównym celem jest ukazanie unikatowego dorobku kulturowego Europy Środkowo-Wschodniej. Obszar ten stanowi fascynujący tygiel ścierających się wpływów Wschodu i Zachodu, kipiący energią kulturową, która nieraz określała tożsamość narodów bez własnych państw. EUFONIE to 11 koncertów symfonicznych, folkowych i elektronicznych przez 9 dni w 5 największych salach koncertowych w Warszawie.

Rok 1918 to rok wielkich zmian w tej części Europy – nam przyniósł odrodzenie niepodległości, wielu narodom dał doświadczenie własnej państwowości po raz pierwszy. Pragniemy, aby po stu latach dzisiejsza Warszawa była miastem, gdzie – jak w soczewce – możemy zobaczyć to, co najciekawsze w XX-wiecznej i współczesnej muzyce Europy Środkowo-Wschodniej – mówi prof. Rafał Wiśniewski, Dyrektor Narodowego Centrum Kultury – organizatora EUFONII.

Koncert „U progu niepodległości" odbędzie się 24 listopada (sobota), o godz. 19.30 w Sali koncertowej Filharmonii Narodowej. Usłyszymy kompozycje G. Enescu, K. Szymanowskiego, J. Sibeliusa i B. Bartoka. Koncert wykona Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia pod batutą Lawrence'a Fostera, z udziałem słynnej japońskiej skrzypaczki Akiko Suwanai.

Mecenasem wydarzenia jest PKN Orlen.

Bilety na **eufonie.pl**

eufonie I Międzynarodowy Festiwal Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej

Festiwal EUFONIE organizowany jest przez Narodowe Centrum Kultury dzięki dofinansowaniu ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

eprasa.pl 2c83a54b18

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Przemytnicy i Żydzi

Co jedli mieszkańcy getta warszawskiego? Urzędowe racje żywnościowe były głodowe. Gdyby Żydzi ograniczali się tylko do nich, warszawska dzielnica zamknięta wymarłaby po kilku miesiącach. Na szczęście był jednak szmugiel!

Mimo drakońskich niemieckich zarządzeń i olbrzymich środków policyjnych przez cały okres istnienia getta z aryjskiej strony do getta płynęła rzeka produktów. Przemytnicy przeciskali się przez wszystkie dziury w ogrodzeniach, przechodzili po dachach i spuszczali się na linach. Przez teren żydowskiego cmentarza przepędzano nawet żywe krowy!

W proceder zamieszani byli nie tylko przemytnicy, lecz także policjanci – żydowscy, polscy i niemieccy. Za przymykanie oczu na szmugiel dostawali sowite łapówki. Dzięki tej ryzykownej i nielegalnej działalności dziesiątki tysięcy Żydów mogły przeżyć kolejny dzień.

Dlatego właśnie tak trafiony jest tytuł wspomnień Bernarda Konrada Świerczyńskiego „Przemytnicy życia". Świerczyński był jednym z tych Polaków, którzy szmuglowali żywność do getta. W swojej książce przedstawia to w niezwykle barwny sposób.

To opis codziennego życia przemytników. Niesamowitych sposobów przedzierania się do żydowskiej dzielnicy i czyhających na nich niebezpieczeństw.

„Jest przejście na rogu Wroniej i Ogrodowej – pisał. – W prywatnym mieszkaniu na suterenie. Po dwadzieścia złotych od łebka. Przez szafę do piwnicy, stamtąd dziura między rurami kanalizacyjnymi i już jest się w getcie. Tylko że człowiek utytła się jak nieboskie stworzenie".

Nie zawsze było jednak tak łatwo: „Cienka, składana, oparta o mur drabina wyginała się jak trampolina. Wejść na nią mógł tylko ktoś niewielkiej wagi. U góry oparta była o zbawczy gzyms szerokości jednej cegły. Miał on kilka metrów długości, które trzeba było przebyć, już nie klejąc się do muru, ale po prostu się weń wciskając. Utrata równowagi groziła spadnięciem i co najmniej ciężkim kalectwem. Ostrożnie, stopa za stopą, człowiek posuwał się do zbawczego narożnika. Tam, po drugiej już stronie, stała żydowska drabina".

„Przemytnicy życia" to nie tylko opowieść o ludzkiej pomysłowości i odwadze, o koszmarze Holokaustu. To także unikalny opis warszawskiego półświatka. Jego obyczajów i języka. Czyta się go równie dobrze jak głośne przemytnicze powieści Sergiusza Piaseckiego. ©℗

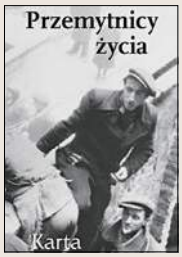

★★★★★★

BERNARD KONRAD ŚWIERCZYŃSKI „PRZEMYTNICY ŻYCIA" KARTA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pocztowy jubileusz

Jedną z instytucji, która obecnie nie cieszy się specjalnym uznaniem wśród klientów, jest tradycyjna poczta. Chociaż wszyscy na nią narzekają, to pomimo rozwoju mediów elektronicznych i konkurencji ze strony firm kurierskich instytucja ta nadal jest potrzebna.

Stosunkowo mało znany pozostaje fakt, że polska poczta ma już 460 lat, a za jej założyciela uważa się króla Zygmunta Augusta.

Usługi pocztowe były niezwykle intratną działalnością

18 października 1558 r. na jego polecenie zainicjowano pierwsze stałe połączenie międzynarodowe między Krakowem a Wenecją.

Niewiele też osób zwiedzających rynek we Lwowie zdaje sobie sprawę, że jedna z tamtejszych kamienic, a właściwie rodzina, która ją zbudowała, również wyjątkowo zasłużyła się dla rozwoju polskiej poczty.

W 1593 r. pod numerem drugim we wschodniej pierzei powstała piękna kamienica Bandinellego utrzymana w stylu lwowskiego manieryzmu. Jej najsłynniejszy właściciel, Roberto Bandinelli, wnuk znanego włoskiego rzeźbiarza Bartolomeo Bandinellego, zgodnie z dekretem króla Zygmunta III Wazy został w 1629 r. przyjęty w poczet dworzan królewskich. Jednocześnie otrzymał przywilej organizowania poczty monarszej między Polską a Włochami, a wojewoda ruski, książę Stanisław Lubomirski, i hetman polny koronny, Stanisław Koniecpolski, wydali uniwersały, w których brali pocztę pod swą opiekę i protekcję.

Siedzibą poczty stała się lwowska kamienica, korespondencję odsyłano raz w tygodniu – w sobotę. Pocztę obsługiwało 17 kurierów, z których dwaj specjalizowali się wyłącznie w obsłudze klientów wyznania mojżeszowego. Kurierzy mieli ściśle określone obowiązki: czas trwania podróży, opiekę nad korespondencją, zakaz samowolnego zabierania przesyłek. Klienci płacili pewną, z góry umówioną sumę. Opłatę ustalano indywidualnie, w zależności od odległości i wielkości przesyłki.

Jeżeli jednak kontrahent chciał wysłać korespondencję, nie czekając do soboty, to wówczas poczta zobowiązana była zapewnić kuriera. Nadawca powinien jednak wyprowadzić kuriera poza miasto, a kurier nie miał prawa dodatkowo zabierać innej korespondencji. Oczywiście usługa tego typu była wyceniana znacznie drożej niż normalna. Usługi pocztowe były wówczas niezwykle intratną działalnością, toteż Roberto Badinelli błyskawicznie powiększał swój majątek.

Inna sprawa, że pod tym względem niewiele się do dziś zmieniło, a bez sprawnej działalności tradycyjnej poczty nawet w dobie Internetu nie można się obejść. ©℗

eprasa.pl 2c83a54b18

DZISIAJ
GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI
codziennie 18:30

REPUBLIKA

eprasa.pl 2c83a54b18

Upokorzona

Jacek Przybylski

Po fatalnym wyniku wyborczym CSU w Bawarii w Niemczech doszło do politycznego trzęsienia ziemi, które może zniszczyć rządzącą koalicję w Berlinie. Rządząca 13 lat kanclerz Angela Merkel walczy już tylko o przetrwanie

Dla Angeli Merkel tegoroczny adwent raczej nie będzie czasem radosnego oczekiwania na święta Bożego Narodzenia. Przeciwnie. Jeszcze przed rozpoczęciem świąt może się okazać, że Niemcy zmuszą „cesarzową Europy" do abdykacji. Mimo świetnych danych gospodarczych, w tym najniższego od 1990 r. bezrobocia (w czerwcu 2018 r. stopa bezrobocia wyniosła jedynie 5,2 proc.).

O rewolucji w Urzędzie Kanclerskim mówi się bowiem coraz częściej.

WYBORCY MAJĄ DOŚĆ

Tradycyjne duże partie tworzące koalicyjny rząd w Berlinie dostają tęgie lanie w wyborach regionalnych. Podobnie jak w Polsce wybory samorządowe były testem popularności rządu w Warszawie, tak i głosowanie w niemieckich regionach mniej niż zwykle zależy od spraw lokalnych, a bardziej od stosunku do niemieckiej kanclerz i pozostałych liderów najważniejszych partii w kraju.

14 października w wyborach do parlamentu w Monachium chadecy z CSU zdobyli jedynie 37 proc. głosów i choć teoretycznie wybory wygrali, to odnotowali najgorszy od lat rezultat (w poprzednich wyborach był on lepszy o ok. 10 punktów procentowych), drugi raz w ciągu 60 lat stracili bezwzględną

eprasa.pl 2c83a54b18

FOT. FABRIZIO BENSCH/REUTERS/FORUM

Merkel

większość w landzie i aby rządzić, będą musieli szukać koalicjanta. Zapewne będą to politycy z partii Wolnych Wyborców.

Tak czy owak, największymi wygranymi tych wyborów będą jednak Zieloni, którzy korzystając z ogólnokrajowego sporu o imigrację i przekonując do siebie wielu dotychczasowych zwolenników SPD, a także część niedawnych sympatyków CSU, zdobyli rekordowe poparcie, wynoszące 17,5 proc. Tradycyjnie nikt o wejściu do rządu nie będzie rozmawiał z przedstawicielami Alternatywy dla Niemiec (AfD), która z wynikiem niemal 11 proc. pierwszy raz w historii weszła do bawarskiego parlamentu. Chociaż nie osiągnęła tak dobrego wyniku, jak spodziewali się jej przywódcy, to i tak może mówić o sukcesie, bo przedstawiciele AfD są już w 15 niemieckich parlamentach z 16.

CIOS DLA ESTABLISHMENTU

Jednocześnie z żółtą kartką dla CSU mieszkańcy najbogatszego i największego landu w Niemczech pokazali czerwoną kartkę socjaldemokratom z SPD. W porównaniu z 2013 r. poparcie dla lewicowych polityków spadło praktycznie o połowę do zaledwie 9,7 proc. – tym samym SPD uzyskało najgorszy rezultat w historii bawarskich wyborów regionalnych. Taki wynik to katastrofa nie tylko dla regionalnych polityków, lecz także dla centrali.

Beznadziejne wyniki chadeków w wyborach w Bawarii osłabiają cały obóz CDU/CSU. Bez wątpienia wpłyną więc na stabilność koalicji rządowej w Berlinie, a także na polityczne losy Angeli Merkel – pierwszej kobiety na stanowisku przewodniczącej Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej. Córka pastora z NRD piastuje tę funkcję od roku 2000, czyli od czasów, gdy świat żył jeszcze romansem Billa Clintona. Pierwsza kobieta na stanowisku kanclerza, która od 2005 r. tak sprawnie radziła sobie z rozwiązywaniem politycznych łamigłówek, że stała się symbolem silnych zjednoczonych Niemiec, a jednocześnie jedną z najbardziej znanych oraz najpotężniejszych postaci XXI w., dziś musi ostro walczyć o polityczne przetrwanie.

Coraz głośniej mówi się bowiem o zerwaniu przez CSU sojuszu z partią Angeli Merkel. Fatalny wynik socjaldemokratów może też zagrozić dalszemu istnieniu wielkiej koalicji CDU/CSU z SPD, którą po wielu miesiącach trudnych negocjacji udało się zawiązać dopiero w marcu obecnego roku. A przecież słaba koalicja w Berlinie jeszcze przed ogłoszeniem wyników z Bawarii rozdzierana była wieloma wewnętrznymi konfliktami.

Wyniki wyborów regionalnych w jednym z najważniejszych dla Niemiec landów zmotywują więc liderów partii w Berlinie do stanowczych działań, a ich partyjnych oponentów do walki o przejęcie władzy w swoich ugrupowaniach. Fatalny rezultat Unii Chrześcijańsko-Społecznej (CSU) wśród najmłodszych głosujących nie tylko skłoni zapewne do poszukiwania nowego przywódcy tej partii, lecz także zmotywuje członków CDU do pilnego myślenia o potencjalnych następcach Angeli Merkel. Politycy obu ugrupowań słusznie bowiem winą za wyborczą porażkę obarczają kanclerz Niemiec, a zwłaszcza jej nieodpowiedzialną politykę migracyjną. Bawaria jako region bogaty i przygraniczny była jednym z pierwszych landów, które dotkliwie odczuły skutki polityki otwartych drzwi.

BUNT PRZECIW „MUTTI"

Teoretycznie Merkel zostały jeszcze trzy lata kanclerstwa. W obozie rządzącym coraz dobitniej słychać jednak

eprasa.pl 2c83a54b18

głosy domagające się pilnego ustąpienia Merkel na długo przed planowym końcem kadencji. Najprawdopodobniej jej los rozstrzygnie się po zaplanowanych na 28 października wyborach regionalnych w Hesji – wyjątkowo ważnym dla CDU kraju związkowym. Tu bowiem znajduje się Frankfurt nad Menem, czyli stolica finansowa Niemiec. Tu też Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna rządzi od niemal dwóch dekad.

Jeśli więc potwierdzą się przedwyborcze sondaże – według których CDU tym razem dostanie solidne lanie, uzyskując wynik o 10 punktów procentowych gorszy niż w ostatnich wyborach – to 7 grudnia, na wielkim zjeździe CDU w Hamburgu – miejscu urodzenia Angeli Merkel – obecna kanclerz może nie mieć wystarczającego poparcia, aby zdobyć kolejny dwuletni mandat na kierowanie swoją partią. Partyjna porażka oznaczać zaś będzie również pożegnanie z fotelem szefa niemieckiego rządu.

Przegrana w Hamburgu wcale nie jest zaś nieprawdopodobna. Osłabienie pozycji „Mutti" widać na każdym kroku. Niemiecka żelazna dama zamiast jak przed kilku laty cieszyć się z opinii silnej i mądrej „mamusi wszystkich Niemców", która potrafi wyprowadzić kraj z wszelkich tarapatów, kojarzy się dziś raczej z „matką wszystkich problemów". Atmosfera w kraju jest już taka, że Niemcy chętnie obarczają Merkel winą za wszystko złe, co im się przytrafi. „Nie ma terminu do lekarza. Merkel musi odejść. Kurier nie zadzwonił, tylko zostawił przesyłkę. Merkel musi odejść" – żartował niedawno jeden z niemieckich felietonistów.

Jeszcze przed wyborami w Bawarii przeciwnicy Angeli Merkel coraz śmielej podnosili więc głowy. We wrześniu w Bundestagu doszło do buntu przeciw Merkel: członkowie frakcji poselskiej CDU/CSU po 13 latach sprawowania funkcji szefa klubu przez Volkera Kaudera, zaufanego człowieka Angeli Merkel, wspieranego także oficjalnie przez lidera chadeków i ministra spraw wewnętrznych Horsta Seehofera, wybrali nowego przewodniczącego. W tajnym głosowaniu na 69-letniego Kaudera głosowało 112, a na 50-letniego Ralpha Brinkhausa 125 posłów. Dla porównania w 2013 r. na człowieka pani kanclerz głosowało 97,5 proc. posłów. Wynik wrześniowego głosowania w Bundestagu pokazuje więc jasno, że

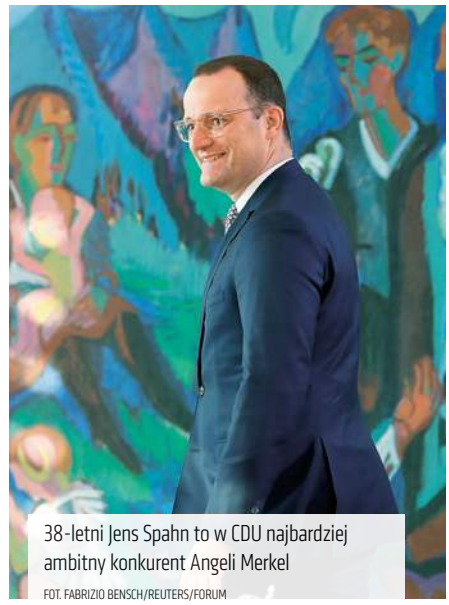

38-letni Jens Spahn to w CDU najbardziej ambitny konkurent Angeli Merkel

FOT. FABRIZIO BENSCH/REUTERS/FORUM

Angela Merkel traci już autorytet nawet we własnym klubie. „Mutti" publicznie przyznała się zresztą do porażki. „To nic innego jak znak zmiany epoki" – ocenił „Die Welt", a „Bild" pisał wprost: „Era Merkel zmierza ku końcowi". Liberalna FDP wezwała zaś do przeprowadzenia w Bundestagu głosowania nad wotum zaufania dla kanclerz Niemiec.

Oficjalnie i jawnie nikt w CDU nie chce być jednak partyjnym buntownikiem. Nawet Brinkhaus po swoim zwycięstwie przekonywał, że w partii potrzeba zmian, i jednocześnie deklarował pełną lojalność wobec Angeli Merkel.

REWOLUCJA PAŁACOWA

Nieoficjalnie 64-letnia kanclerz Niemiec ma coraz więcej przeciwników na różnych frontach. Myśli o usunięciu jej z urzędu chodzą po głowie zarówno 60-latkom, z których wielu wciąż nie może się pogodzić z tym, że kobieta fizyk ze wschodnich Niemiec piastuje już czwartą kadencję na stanowisku kanclerza, jak i 30- i 40-latkom, którzy nie mogą się doczekać, aż wreszcie dostaną się na szczyty władzy.

Wśród nich jest 61-letni Matthias Herdegen, profesor prawa z Bonn, który twierdzi, że styl sprawowania władzy przez Merkel zniechęca do CDU wielu jej dawnych sympatyków. Herdegen chciałby więc gruntownej reformy Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej, choć niekoniecznie zależy mu na samej funkcji kanclerza. Dużo bardziej ambitny jest reprezentant młodych gniewnych: 38-letni Jens Spahn. Ekonomiczny liberał, który pierwszy raz w parlamencie zasiadł jako 22-latek, od 2018 r. pełni funkcję ministra zdrowia w czwartym rządzie Angeli Merkel. Kanclerz postawiła na niego nie bez powodu: Jens Spahn to bowiem jeden z najgłośniejszych krytyków jej rządów w całej CDU. Domaga się m.in. ograniczenia liczby imigrantów czy zakazu noszenia burek w miejscach publicznych.

Rządowa nominacja miała pozwolić Merkel trzymać go w szachu, a jednocześnie przymknąć usta sfrustrowanym młodym konserwatystom. Spahn to jednak wielki fan 32-letniego kanclerza Austrii Sebastiana Kurza. Zrobi więc wiele, aby i w Niemczech doszło do znacznego odmłodzenia najważniejszych kadr.

Jest jeszcze jedna grupa, która nie może się doczekać politycznego pogrzebu Merkel. To 50-latkowie, bojący się o swoją przyszłość po przegranych przez CDU wyborach. Przedstawicielem tego obozu jest m.in. 53-letni Norbert Röttgen, niegdyś ważny gracz. W 2012 r. Merkel zabrała mu jednak tekę ministra środowiska po tym, jak przegrał ważne wybory regionalne. Obecnie przewodniczący komisji spraw zagranicznych w Bundestagu marzy o politycznej zemście, powrocie na szczyty władzy i publicznie krytykuje sposób sprawowania rządów przez Angelę Merkel. Röttgen żąda zmian, ale w wywiadach nie bardzo potrafi powiedzieć, co konkretnie i jak należałoby zmienić.

Żaden z wymienionych nie ma dziś wielkich szans na zwycięstwo. Samo to, że serio rozważa się następców obecnej kanclerz, to jednak istotna zmiana w niemieckiej polityce. Zmiana zmuszająca do debaty w partii, którą od początku wieku rządzi jedna kobieta. Angela Merkel zapewne dobrze jednak wie, że utrzymuje się jeszcze na swoim stanowisku głównie dlatego, iż inne tradycyjne duże partie tracą w wyborach jeszcze bardziej niż CDU. Podczas swej ostatniej kadencji sprawia bowiem wrażenie, jakby zamiast zdecydowanie rządzić, po cichu ukrywała się w swym gabinecie w Urzędzie Kanclerskim, aby przetrwać kolejne miesiące i – jeśli uda się dotrwać do połowy kadencji – spróbować namaścić swojego następcę.

Pytanie nie brzmi już bowiem, czy obserwujemy schyłek rządów Angeli Merkel, ale jak szybko nastąpi ich koniec.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

FOT. FOTOLIA

CZAROWNICE KONTRA SĘDZIA KAVANAUGH

W księgarni na Brooklynie w Nowym Jorku zaplanowano konwent czarownic. Wiedźmy mają się tam spotkać, by rzucić klątwę na nowego sędziego Sądu Najwyższego – Bretta Kavanaugha (tego, którego przed wyborem na stanowisko nagle oskarżono o molestowanie sprzed 36 lat). Bilet na rzucanie klątwy kosztował 10 dol. Połowa wpływów zostanie przekazana na rzecz kobiet i środowisk LGBT. Nie wiadomo, czy na konwent wybrały się któreś z polskich czarownic.

BYĆ BIAŁYM TO NIE JEST OK?

W Australii afera. Rząd przeprasza. Wszystko przez wniosek pani z antyislamskiego ugrupowania, który poparło 23 senatorów (w głosowaniu jednak przepadł). We wniosku bowiem potępiono rasizm skierowany przeciw białym i zapisano zdanie: „Jest OK być białym". Krytycy wniosku uznali to za rasizm. Dzień po głosowaniu australijski rząd tłumaczył, że senatorowie, którzy poparli te tezy, po prostu się pomylili – mieli dostać e-mail z prośbą o poparcie tej deklaracji i nie zauważyli w niej zwrotu, który potem wywołał taką polityczną burzę.

UDAWANA OFIARA

Nic to nowego, że i na tragediach ludzie chcą się wzbogacić. Tej pani jednak sztuczka się nie udała. 33-letnia Francuzka postanowiła udawać ofiarę zamachów, do których doszło w listopadzie 2015 r. Dzięki temu dostała 20 tys. euro z państwowego funduszu wsparcia ofiar terroryzmu, a francuskie stowarzyszenie zajmujące się poszkodowanymi przez terrorystów zapewniło jej jeszcze sesje terapeutyczne w Normandii. Po tym, jak kłamstwo wyszło na jaw, Francuzka dostała jeszcze coś – dwa lata więzienia, w tym 18-miesięcy w zawieszeniu.

UZIEMIONA SZKOŁA

Rodzice uczniów z University College School Hampstead w Londynie mają kłopot. Sąsiedzi szkoły skarżyli się, że przywożenie małolatów do szkoły helikopterami powoduje taki hałas i wibracje, iż ciągle włączają się im przez to alarmy antywłamaniowe. Szkoła musi teraz zamknąć tereny, na których pozwalała na lądowanie. I jak teraz młodzi i bogaci londyńczycy dotrą do miejsca, w którym mają zdobywać wiedzę?

SAMOOSTRZELANIE

Mechanik belgijskich sił lotniczych, który pracował przy wojskowym samolocie F-16, tak majstrował, że ostrzelał stojący obok taki sam samolot wart miliony dolarów. Po tym incydencie do kraju ściągnięty został dowódca bazy, który pełnił misję w krajach bałtyckich (belgijskie samoloty patrolują tam granicę między krajami należącymi do NATO a Rosją). Śledztwo ma wykazać, czy mechanik się „tylko" pomylił, czy może celowo wystrzelił. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Mao – sen zniewolonych

We Włoszech wyszła właśnie książka „To, co pozostało z Mao. Apogeum i upadek zachodniego mitu" autorstwa Maria Tesiniego i Lorenza Zambernardiego. Można tam znaleźć wiele cytatów z wypowiedzi tuzów intelektualnej lewicy na temat Mao. Zabawa jest pyszna. Zapraszam.

Umberto Eco: „Życie społeczne Chin jawi się jako alternatywny model dla ludzkości". Noblista Dario Fo: „W Chinach każdy mówi, co myśli". Maria-Antonietta Macciocchi (pisarka, włoska deputowana i posłanka do PE): „Mao jest wielkim filozofem, mędrcem i królem-wojownikiem". Raniero La Valle (pisarz, dziennikarz, polityk): „Mao jest jak bohater Starego Testamentu" (czyżby Asmodeusz z Księgi Tobiasza?). Mario Capanna (pisarz, deputowany, europoseł): „W Chinach panuje władza szerokiej demokracji". Dodajmy jeszcze francuskiego historyka i ekonomistę Charles'a Bettelheima: „Mao zburzył mit wyższości ekspertów". Do tych myślicieli i wizjonerów włoscy postępowcy modlą się do dziś.

Obóz postępu cierpi. Nie ma kogo wciągać na sztandary, nie ma przed kim bić pokłonów, nie ma kogo stawiać za wzór młodzieży. Doszło do tego, że idolem progresistów stał się papież Franciszek. Oczywiście nie wtedy, gdy mówi o Panu Jezusie czy aborcji, ale jednak. Jeszcze chwila, a usłyszymy: „Galilaee, vicisti!". Zdesperowani postępowcy ukorzyli się więc przed rzekomym sprzedawcą opium dla ludów i zabobonu. To świetna wiadomość, szczególnie jeśli zważyć, że ideowi antenaci dzisiejszych progresistów wielbili arcymordercę Stalina, a potem Wielkiego Sternika Mao, absolutnego rekordzistę, jeśli chodzi o liczbę śmiertelnych ofiar zideologizowanego szaleństwa: 100, a może i 200 mln ofiar. Jest postęp! ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 2c83a54b18

Ostro w lewo

Papież podczas spotkania w Dublinie, 25 sierpnia 2018 r.

FOT. VATICAN MEDIA/HANDOUT/REUTERS/FORUM

Piotr Czyżewski z Dublina

Liberalizacja prawa antyaborcyjnego w Irlandii uruchomiła lawinę kolejnych pomysłów wiodących ku laickiemu „rajowi"

Zachęceni olbrzymim poparciem dla zmian obyczajowych politycy irlandzcy domagają się kolejnych. Pierwsi zabrali głos posłowie Clare Daly z socjalistycznej partii Independents 4 Change i Richard Boyd-Barrett ze skrajnie lewicowej (trockistowskiej) Solidarity-People Before Profit, potępiając obecność krzyży w katolickich szkołach. W ślad za tym pojawiły się bardziej radykalne postulaty, i to nie tylko wśród skrajnej lewicy: całkowitej likwidacji szkolnictwa katolickiego w Irlandii.

Chwilę potem uwagę na sobie skupiła znana z antyklerykalnych przekonań była prezydent Irlandii Mary McAleese, sprawująca urząd w latach 1997–2011, która powiedziała, że chrzest jest pogwałceniem podstawowych praw dziecka. Jej zdaniem bowiem za pomocą chrztu Kościół „czyni z dziecka nieletniego poborowego, który od małego żyje w posłuszeństwie". W wywiadzie dla irlandzkiego „The Times" McAleese powiedziała: – Nie możesz narzucić dwutygodniowemu dziecku zobowiązań, które obligują je na całe życie, a których warunków ono jeszcze nie zna. Nie możesz następnie mówić mu, że jest do tego czy owego zobligowane, bo w rzeczywistości ono się na to nie pisało.

Nie przebrzmiały jeszcze komentarze w sprawie wypowiedzi byłej pani prezydent, kiedy gruchnęła wieść, że oto w sobotni wieczór minister kultury odprawiła mszę (sic!) w dublińskim kościele pw. św. Teresy (okazało się jednak, że nie chodziło o mszę, lecz o to, że Josepha Madigan po tym, jak proboszcz przez roztargnienie zapomniał przyjść do kościoła, samowolnie poprowadziła liturgię komunii). Przy okazji pani Madigan, która słynie z proaborcyjnych poglądów, postulowała, aby Kościół wprowadził kapłaństwo kobiet. Mimo potępienia tego incydentu przez hierarchów kościelnych w sukurs pani minister

eprasa.pl 2c83a54b18

przyszedł premier Leo Varadkar, który stwierdził, że kapłaństwo kobiet to nic innego jak równouprawnienie w miejscu pracy. Varadkar wyraził się też na temat nadchodzącego Światowego Spotkania Rodzin i wielu towarzyszących mu konferencji, w których organizatorzy odmówili uczestnictwa małżeństwom homoseksualnym. Premier jako czynny homoseksualista podkreślił, że w papieskim wydarzeniu powinny uczestniczyć rodziny związków jednopłciowych. Varadkar odgrażał się, że podczas spotkania z Ojcem Świętym będzie próbował przekonać go, by Kościół zrezygnował ze swojego stanowiska wobec homoseksualizmu.

Organizatorzy się nie ugięli – homoseksualistów nie dopuszczono do głosu i w efekcie pod dublińskim RDS, gdzie odbywały się konferencje poprzedzające wizytę papieża, pojawiła się tęczowa grupa demonstrantów pod wodzą byłej dziennikarki TV3 Ursuli Halligan, która w 2015 r. przyznała się do swojej homoseksualnej orientacji. Jeden z prelegentów uczestniczących w konferencji, jezuita o. James Martin, wsparł demonstrujących i podczas swojego wystąpienia stwierdził, że osoby LGBT są traktowane przez Kościół jak trędowate.

Premier Leo Varadkar poinformował papieża, że Irlandia buduje nowy świat, odrzucając wartości chrześcijańskie

OKAZJA DO WROGOŚCI

Wizyta Ojca Świętego stała się doskonałą okazją do manifestowania wrogości do Kościoła. Okazję tę szybko wykorzystał premier Leo Varadkar, który podczas powitania Franciszka na zamku dublińskim w obecności członków rządu i korpusu dyplomatycznego z satysfakcją zakomunikował papieżowi, że Kościół katolicki nie odgrywa już tak ważnej roli w Irlandii, jak było to w przeszłości. W swym butnym przemówieniu najpierw zażądał przeprosin w stosunku do osób pokrzywdzonych przez księży: kobiet i dzieci. Do tej grupy premier sprytnie dokooptował także osoby wykluczone, czytaj: homoseksualistów. Następnie poinformował papieża, że Irlandia buduje nowy, lepszy świat, odrzucając wartości chrześcijańskie: zalegalizowano małżeństwa homoseksualne, wprowadzana jest aborcja na życzenie, tradycyjne małżeństwa się nie sprawdzają, a rodziny często przybierają nowoczesne formy: samotny rodzic, para jednopłciowa czy rozwiedzeni rodzice.

Następne punkty wizyty Ojca Świętego, choć dotyczyły głównie rodziny, jej roli oraz problemów, z którymi się boryka we współczesnym świecie, w relacji mediów sprowadzały się i koncentrowały się na przeprosinach papieża. Kiedy kilka godzin później papież uczestniczył w zamkniętym spotkaniu z ośmioma ofiarami pedofilii, najważniejszą informacją podawaną przez media było to, że Franciszek używał ostrych, niecenzuralnych słów, wypowiadając się na temat pedofilii księży.

Ofiary przestępstw wyrządzonych przez duchownych zaczęto nazywać ocalonymi (ang. survivors, Irish Survivors of Child Abuse, Magdalene Survivors) tak samo jak ludzi, którzy przeżyli Holokaust. Nieuniknioną konsekwencją

REKLAMA

PRENUMERATA

ROCZNA PRENUMERATA
TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ KSIĄŻKA
TORBJØRN FÆRØVIK
„MAO. CESARSTWO CIERPIENIA"

Cena: 260 zł
Oszczędność: 338 zł

+ e-wydanie

OFERTA LIMITOWANA
60%
RABATU OD CENY OKŁADKOWEJ

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 2c83a54b18

takiej logiki jest przyrównanie Kościoła do nazistów, co jest niesłychanie niebezpieczne i odkrywa prawdziwe intencje przeciwników katolicyzmu chcących zepchnąć Kościół do jeszcze głębszej defensywy.

W niedzielę 26 sierpnia Franciszek odprawił pożegnalną mszę w Phoenix Park, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie 39 lat temu odbyła się msza z udziałem Jana Pawła II. Spodziewano się, że na mszę z Franciszkiem przybędzie 600 tys. wiernych, lecz ostatecznie do tego największego parku miejskiego w Europie przybyło tylko 130 tys. osób. Jednym z powodów tak niskiej frekwencji mogli być ci, którzy z premedytacją zarezerwowali sobie bezpłatne wejściówki, aby potem pozostać w domach. Do takiej złośliwości nawoływali przeciwnicy wizyty Franciszka w Irlandii i finansowaniu jej z budżetu państwa.

JAN PAWEŁ II VS FRANCISZEK

Wizyty Franciszka nie sposób nie porównać do wizyty Jana Pawła II, który odwiedził Irlandię na samym początku swojego pontyfikatu we wrześniu 1979 r. Papież Polak w odróżnieniu od Franciszka nie przyjechał na Zieloną Wyspę, by kajać się czy przepraszać. Wizyta Wojtyły była triumfem. Irlandczycy byli zachwyceni i dowartościowani samym faktem, że nowy papież zechciał odwiedzić ich mały kraj, i to od razu po wyborze na Stolicę Piotrową. – Nikt tu do nas nigdy nie chciał przyjechać, bo my się w wielkiej polityce nie liczymy. Mały kraj na zadupiu Europy. A on nas odwiedził! Kocham Jana Pawła II, kocham Polskę, kocham Polaków! – opowiadał mi ze łzami w oczach lekko podchmielony Irlandczyk, którego spotkałem w pubie w Lucan w pierwszym tygodniu mojego emigranckiego życia w 2006 r. We mszy świętej w Phoenix Park wzięło udział 1,3 mln Irlandczyków, czyli 10 razy więcej niż we mszy z Franciszkiem. Jan Paweł II rozmawiał z Irlandczykami po angielsku, mimo że nie najlepiej władał tym językiem. Kilka zdań wypowiedział nawet w będącym w zaniku języku gaelic, wywołując euforię. Podczas homilii, a zwłaszcza podczas mniejszych spotkań z wiernymi Jan Paweł II, mówiąc w języku, którym Irlandczycy posługują się na co dzień. Zjednywał sobie słuchaczy, zdobywał sympatię, nawiązywał bezpośredni kontakt. Na filmie z wizyty w seminarium w Maynooth widać, że treść przemówienia papież czyta z kartki, potem odkłada ją i zwraca się bezpośrednio do tłumu, wolno cedząc słowa: – And now say to me how many mistakes did pope in his speech (A teraz powiedzcie mi, ile błędów zrobił papież w swoim przemówieniu). I wzbudza ogromny aplauz.

Franciszek większość przemów wygłosił po włosku, homilia podczas mszy w Phoenix Park wyświetlana była z napisami po angielsku na telebimach. To budowało dystans. No i co chyba najważniejsze – wierni nie doczekali się jasnego i zdecydowanego potępienia ostatnich przemian w Irlandii, które są niezgodne z nauką Kościoła. Jan Paweł II w homilii wygłoszonej podczas mszy w Limerick zdecydowanie podkreślił nierozerwalność małżeństwa i świętość sakramentu. A był to moment, kiedy w Irlandii toczyła się debata przed referendum, które w 1986 r. ostatecznie dopuściło rozwody. Ojciec Święty w 1979 r. nie był tylko miłym starszym panem, który chciał zaskarbić sobie sympatię Irlandczyków, ale pasterzem Kościoła, który potrafił w zdecydowany sposób przypomnieć o podstawowych zasadach obowiązujących katolików. Franciszek co prawda wspomniał kilka razy o prawach nienarodzonych i świętości małżeństwa, ale był to głos niepewny i niezdecydowany. Nie było: „Irlandio, córo Kościoła, coś zrobiła ze swoim chrztem?". Nie było: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze tej ziemi!". Wielu spośród irlandzkich katolików, którzy nie wyrzekli się swojego chrześcijaństwa, a dziś są w Irlandii zdecydowaną mniejszością, z pewnością czekało na takie słowa. I się nie doczekało. Papież wyleciał w niedzielę wieczorem, a w poniedziałek rano pierwsze strony dzienników utrzymane były w identycznej narracji: „Papież Franciszek: wybacz nam, Irlandio!", „Ojciec Święty prosi o wybaczenie za grzechy Kościoła" itd.

CO DALEJ Z ABORCJĄ?

Majowe referendum w Irlandii zniosło ósmą poprawkę, która gwarantowała takie same prawa zarówno matce, jak i nienarodzonemu dziecku. Od tego momentu rząd w zaciszu swoich gabinetów mozolnie pracuje nad szczegółowymi zapisami nowego prawa, które budzi kontrowersje i sprzeciw.

Szpitale nie będą mogły już odmawiać wykonania aborcji, co najbardziej uderzy w placówki służby zdrowia, które są własnością Kościoła oraz zarządzane są przez osoby o katolickim światopoglądzie, ponieważ oznacza to, że będą one zmuszone, wbrew własnym przekonaniom, do zatrudnienia lekarzy aborterów. Proponowane zmiany mają w praktyce zmuszać także lekarzy o poglądach pro-life do zabijania nienarodzonych dzieci, wbrew ich sumieniu.

85 proc. lekarzy rodzinnych w Irlandii uważa, że aborcja nie powinna być rutynowym zabiegiem na żądanie

Doktor Brendan Crowley, irlandzki lekarz, który zasłynął jako obrońca nienarodzonych podczas telewizyjnej debaty dotyczącej aborcji, twierdzi, że klauzula sumienia w konfrontacji z nowymi przepisami stanie się fikcją, bo lekarz, który sprzeciwia się aborcji, będzie musiał przekazać „opiekę" nad pacjentką lekarzowi, który takich obiekcji nie ma, czyli de facto skazywać nienarodzone dziecko na pewną śmierć. Dla lekarzy pro-life oznacza to ponurą konieczność wyboru pomiędzy wykonywaniem zawodu wbrew własnym przekonaniom a rezygnacją z pracy w służbie zdrowia i życie w zgodzie z własnym sumieniem.

Czy to oznacza, że bitwa o życie jest przegrana? Wydaje się, że nie. Bo choć można zmienić przepisy prawa, nie da się ustawą zmienić ludzkich sumień. Badanie lekarzy rodzinnych w Irlandii po referendum wykazało, że 85 proc. z nich uważa, że aborcja nie powinna być rutynowym zabiegiem na żądanie, a ponad 50 proc. twierdzi, że aborcja jest niezgodna z ich sumieniem. A przecież to nie ludzie głosujący „za" w referendum czy proaborcyjny premier będą wykonywali zabiegi, tylko lekarze właśnie. Doktor Brendan Crowley: – Bitwa pro-life z pewnością jeszcze się nie skończyła. Każda istota ludzka, niezależnie od okoliczności, ma równą i niezastąpioną wartość i godność. Dopóki życie jest chronione w naszym społeczeństwie, dopóty walka toczy się dalej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

100% polski produkt

III EDYCJA KONKURSU

ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

TYLKO DO
31 PAŹDZIERNIKA

PATRONAT HONOROWY

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

FUNDACJA FIRMY RODZINNE

PARTNERZY

ORLEN

PHN

GRUPA CEDROB

Poczta Polska

arp

LANDESKRONE

99 RENT

PARTNER MERYTORYCZNY

pwc

eprasa.pl 2c83a54b18

FOT. INTS KALNINS/REUTERS/FORUM

Łotwa bliżej Rosji

Tomasz Teluk

W wyborach parlamentarnych na Łotwie zwyciężyła prorosyjska partia Zgoda Niła Uszakowa

Po łotewskich wyborach widać, że nastąpiła zmiana pokoleniowa w polityce. Wśród parlamentarzystów ze świecą szukać weteranów, którzy brali udział w transformacji ustrojowej czy choćby wprowadzali ten kraj do UE i NATO. Można za to znaleźć nowych liderów, takich jak Uszakow, któremu udało się przeciągnąć na swoją stronę innych znanych urzędników, choćby Wiaczesława Dombrovskisa z Partii Reform. Są też nowe twarze, takie jak Edvīns Šnore, reżyser znany w Polsce z filmu „The Soviet Story", reprezentujący Związek Narodowy.

Przez tę zmianę scena polityczna na Łotwie uległa rozdrobnieniu. Zamiast tradycyjnych partii konserwatywnych, centrowych i lewicowych do Sejmu dostało się aż siedem ugrupowań, które przekroczyły próg wyborczy. Najwięcej – ok. jednej piątej wszystkich głosów – zdobyła Zgoda (łot. Saskaņa), reprezentująca interesy mniejszości rosyjskiej. Na drugim miejscu uplasowało się populistyczne ugrupowanie aktora Artussa Kaimiņša Do Kogo Należy Państwo z poparciem na poziomie 14,3 proc., a 13,6 proc. głosów przypadło Nowej Partii Konserwatywnej, w której skład weszli byli funkcjonariusze państwowych instytucji antykorupcyjnych oraz działacze patriotyczni. Na kolejnym miejscu uplasowali się politycy ugrupowania Na Rzecz Rozwoju/Za!, składającego się z liberałów dawnej partii Jedność, z 12-procentowym poparciem. Stawkę zamykają konserwatyści oraz zieloni.

Podział na łotewskiej scenie politycznej jest niewątpliwie wynikiem rozczarowania klasą polityczną i skandali korupcyjnych. Społeczeństwo głosowało za zmianami i widać to po rezultatach głosowania. Trudno też ukryć, że podziały są na rękę Rosji, która od czasu objęcia

eprasa.pl 2c83a54b18

władzy na Kremlu przez obecną ekipę gra na destabilizację krajów ościennych dzięki wykorzystaniu rosyjskojęzycznej mniejszości narodowej. Łotwa jest poligonem doświadczalnym, a zarazem doskonałym przykładem wykorzystywania instytucji demokratycznych.

ŁOTWA PRZYCZÓŁKIEM ROSJI

Mniejszość rosyjska jest konsekwentnie wykorzystywana do rozbijania jedności narodowej i politycznej na Łotwie. Liczba osób mówiących po rosyjsku w tym kraju może dochodzić nawet do 40 proc. Oficjalne statystyki są co prawda niższe, ale nie obejmują osób nielegalnie przebywających w tym kraju ani tych, które ulegają rusyfikacji, co widać najlepiej na przykładzie mniejszości polskiej. Wielu Polaków wchodzi w małżeństwa mieszane i jest podatnych na nachalną propagandę sączącą się z licznych rosyjskojęzycznych mediów.

Oprócz partii politycznych Rosja wspiera ruchy społeczne, takie jak Rosyjski Związek Łotwy, który od lat protestuje przeciwko reformie edukacji faworyzującej język łotewski jako język ojczysty w nauczaniu. Od 2021 r. wszystkie szkoły w kraju muszą uczyć w języku państwowym. Głównymi obrońcami mniejszości są byli i obecni eurodeputowani Adrejs Mamikins i Tatjana Ždanok, z pochodzenia Rosjanie. Na demonstracjach w Rydze można było spotkać rosyjskie flagi, a uczestnicy protestów nie kryli swoich preferencji politycznych.

Rosjanie liczą, że wykształcą nową klasę polityczną, która będzie mówiła po łotewsku, będzie więc awansowała w strukturach politycznych i biznesowych, ale której więzy krwi będą stanowiły o lojalności wobec Moskwy. W tym upatrują szansę wpływania na losy kraju i odwrócenia prozachodniego kursu na Wschód.

PODBITA STOLICA

Czy to możliwe, aby w stolicy jednego z krajów Unii rządzili Rosjanie? Na Łotwie tak, i to od blisko dekady. Twórcą sukcesu jest Nił Uszakow z młodszego pokolenia tamtejszej klasy politycznej. Naturalizowany Rosjanin. Jego ojciec jest inżynierem, a matka nauczycielką rosyjskiego. Studiował na uniwersytetach w Rydze i Danii. Początkowo wykładał na macierzystej uczelni, a potem pracował w łotewskich mediach. Karierę polityczną rozpoczął w 2005 r., rok później został posłem, a w 2009 r. burmistrzem Rygi.

W 2011 r. podczas półmaratonu dostał udaru słonecznego. Był w śpiączce, przewieziono go do kliniki w Berlinie, a Rosjanie z całego kraju wpłacali pieniądze na jego leczenie.

Partia Zgoda nie kryje swoich sympatii. W 2009 r. podpisała umowę o współpracy z proputinowskim ugrupowaniem Jedna Rosja. Sam Uszakow próbował odcinać się od tego i twierdzi, że porozumienie już nie obowiązuje. W jednym z wywiadów telewizyjnych w zeszłym roku stwierdził, że socjaldemokraci zerwali współpracę, ale trzeba być naiwnym, aby sądzić, że umowę z Kremlem można wypowiadać jednostronnie. Tym bardziej że priorytety partii pozostają niezmienione, a działania Uszakowa wielokrotnie wskazywały wprost na jego promoskiewskie sympatie. Jednym z postulatów, z którym ugrupowanie szło do tegorocznych wyborów, było zmniejszenie o połowę wydatków na obronność do 1 proc. PKB. Przy założeniu, że bez silnego wsparcia NATO Łotwa jest faktycznie krajem bezbronnym, takie dążenia zakrawają na sabotaż.

Obecny lider partii Zgoda nieraz udowadniał, że zwodnicza jest także nazwa ugrupowania. Partia przeciwstawiała się sankcjom wobec Moskwy. Aferę wywołały też wpisy lidera w języku rosyjskim na Facebooku. Zgodnie z lokalnym prawem urzędnicy mogą zwracać się do obywateli wyłącznie w języku narodowym. Łotewskie Państwowe Centrum Językowe (VVC) nałożyło na Uszakowa mandat w wysokości 140 euro. Burmistrz bronił się, że to jego prywatny profil. Wspierały go rosyjskie media. Odwołał się nawet od tej decyzji do sądu, który jednak oddalił jego skargę.

NIEPOKOJĄCE TRENDY

Łotewska prawica boi się „scenariusza krymskiego" i alergicznie reaguje na wszelkie niepokojące wieści ze Wschodu. Na granicy z największym sąsiadem budowane jest ogrodzenie, mające zapobiegać przedostawaniu się nieproszonych gości. Rząd monitoruje pranie brudnych pieniędzy przez obce firmy i coraz liczniejsze cyberataki na państwową i ekonomiczną infrastrukturę teleinformatyczną.

Łotwa z tarczą wyszła z kryzysu finansowego z 2008 r., który skutkował dwucyfrowym spadkiem PKB. Dzięki radykalnym reformom gospodarka szybko wróciła na prostą, a republika stała się znów prymusem wśród krajów regionu. Jednak z początkiem 2018 r. znów zrobiło się głośno o skandalach w sektorze finansowych. Służby antykorupcyjne zatrzymały prezesa Banku Centralnego Łotwy Ilmārsa Rimšēvičsa pod zarzutem łapówkarstwa. Pod lupę został wzięty także trzeci pod względem wielkości bank komercyjny ABLV. Podejrzenia dotyczyły prania brudnych pieniędzy klientów z Azerbejdżanu, Ukrainy oraz Rosji. Ocenia się, że nawet połowa depozytów łotewskich banków to fundusze pochodzące z krajów byłego ZSRS.

Sen z powiek łotewskim politykom spędzają także dane demograficzne. W ciągu ostatnich dwóch dekad z kraju wyemigrowała blisko jedna piąta mieszkańców. Mało z nich decyduje się na powrót.

Do tego dochodzi rusyfikacja. Dobrze widać to na przykładzie zamieszkującej dawne Inflanty mniejszości polskiej. Według spisu ludnościowego z 2011 r. Polacy na Łotwie stanowią czwartą pod względem liczebności mniejszość narodową. Blisko 45 tys. osób deklaruje narodowość polską, co stanowi ok. 2 proc. ogółu ludności. Jest to spadek aż o 15 tys. w porównaniu z danymi z 2000 r., kiedy 2,5 proc. – blisko 60 tys. respondentów – deklarowało bycie Polakami.

W przypadku Łotyszy pochodzenia rosyjskiego i z najmłodszych pokoleń używanie języka przodków w domu oraz intensywna propaganda ze strony mediów powiązanych z Kremlem powodują, że 40 proc. społeczeństwa przyjmuje optykę Moskwy w sprawach międzynarodowych.

Coraz większe wpływy Kremla w krajach bałtyckich mogą godzić w projekt Trójmorza, którego regionalnym liderem stara się być Polska. Działania integracyjne w ramach Europy Środkowej mogą napotykać coraz większy opór w takich krajach jak Łotwa, zwłaszcza gdy będą coraz bardziej ciążyć ku przeszłości.

18 listopada Łotwa, podobnie jak inne republiki bałtyckie oraz Polska, będzie obchodzić 100-lecie niepodległości swojego państwa. W obliczu politycznego zwycięstwa sił prorosyjskich oraz niekorzystnych tendencji politycznych będzie to świętowanie bez euforii. Łotysze będą musieli wykazać się ponadprzeciętnym sprytem i wysiłkiem, aby móc celebrować kolejne rocznice.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Tomasz Teluk – prezes Instytutu Globalizacji, autor książki „Dyneburg. Inflanty zmysłami reportera".

eprasa.pl 2c83a54b18

James Lindsay, Helen Pluckrose i Peter Boghossian
FOT. MIKE NAYNA

„Mein Kampf" dla feministek

Marcin Bartnicki

Feministyczne czasopismo naukowe opublikowało fragment „Mein Kampf", w którym terminologię nazistowską zastąpiono feministyczną

Coś poszło nie tak na uniwersytecie – szczególnie w pewnych obszarach nauk humanistycznych" – piszą James Lindsay, Helen Pluckrose i Peter Boghossian, lewicowi badacze, którzy przez rok prowadzili eksperyment na samej nauce. Przedmiotem badania, a zarazem okrutnego żartu, były recenzowane czasopisma naukowe specjalizujące się w gender studies, tematach feministycznych oraz w obszarach nauk społecznych zajmujących się m.in. prawami mniejszości i sprawiedliwością społeczną.

Sam pomysł, aby w naukowy sposób rozwiązać problemy społeczne, takie jak nierówności w zarobkach kobiet i mężczyzn czy zablokowana dla niektórych grup możliwość awansu społecznego, nie budzi od dłuższego czasu kontrowersji. Dobrze prowadzone badania mogą pomagać w rozwiązywaniu takich problemów społecznych i w łagodzeniu konfliktów. Problem w tym, że obszary nauki zajmujące się tymi zagadnieniami zostały – szczególnie w USA – zdominowane przez radykalną lewicę.

Środowisko głęboko wierzące w swoje przekonania i zamknięte na dyskusję o ich sensie nakręciło spiralę coraz bardziej absurdalnych, niepodlegających krytyce koncepcji. Ideologia polityczna stała się tak ważna, że przysłoniła metodologię naukową. W konsekwencji dziedziny wiedzy takie jak gender studies, które powstały jako dyscypliny naukowe, z czasem zostały zdominowane przez ideologię i oderwały się od swoich naukowych podstaw. Mimo to badacze zajmujący się tą tematyką pracują na szanowanych uczelniach i otrzymują wynagrodzenia, tak jakby prowadzili rzeczywiste badania naukowe, budując na kuriozalnych hipotezach i postulatach swoje kariery.

To, co podejrzewała już wcześniej część naukowców, Lindsay, Pluckrose i Boghossian wykazali empirycznie. Jak sami twierdzą, ich eksperyment nie miał podważyć sensu badań nad zagadnieniami sprawiedliwości społecznej, ale pokazać, że ten obszar świata akademickiego przestał działać na podstawie metod naukowych.

FANATYCZKI HITLERA

Autorzy prowokacji poświęcili rok, aby napisać 20 artykułów, które regularnie rozsyłali do czasopism naukowych – zarówno cenionych w środowisku, jak i bardziej niszowych interdyscyplinarnych periodyków. Każdy tekst konstruowano w taki sposób, aby zawierał cytowania i odniesienia do cenionej w danej dyscyplinie literatury. Jednak już przedstawione w artykułach tezy, postulaty i badania były wyjątkowo absurdalne, z zamierzonymi elementami komizmu. Aby dać szansę na wykrycie podstępu, autorzy wszystkich publikacji i instytucje naukowe, w których rzekomo pracowali, były kompletnie zmyślone. Nie tworzono przy tym żadnych fałszywych tożsamości. Nawet średnio obeznany z Internetem recenzent mógłby odkryć podstęp, poświęcając kilka minut na sprawdzenie tego w Google.

Większość artykułów została nie tylko potraktowana przez recenzentów z pełną powagą i entuzjastycznie przyjęta. Siedem z nich opublikowano, a większość pozostałych zaakceptowano do publikacji.

W wymyślaniu bezsensownych pomysłów na publikacje Lindsay, Pluckrose i Boghossian dali ponieść się fantazji i jak sami twierdzą, świetnie się przy tym bawili. Wydawany od 1986 r., ceniony w środowisku amerykańskich feministek magazyn „Hypatia", zajmujący się feministyczną filozofią, zaakceptował do publikacji artykuł, w którym postulowano karanie i upokarzanie „uprzywilejowanych" studentów – białych mężczyzn. Aby odczuć na własnej skórze represje,

eprasa.pl 2c83a54b18

jakim poddawane są mniejszości, mieli otrzymać zakaz zabierania głosu w czasie zajęć, a nawet siedzieć na podłodze zakuci w łańcuchy. W recenzjach tego artykułu odesłanych autorom przez „Hypatię" wielokrotnie padało słowo „znakomity".

Jeszcze „ciekawszy" pomysł zawierał tekst przesłany przez wymyśloną postać – dr Marię Gonzalez – do „Women's Studies International Forum". Wychodząc z założenia, że współczesna astronomia jest seksistowska i przedstawia wyłącznie punkt widzenia zachodniej cywilizacji, fikcyjna badaczka wysunęła radykalny postulat. Sytuację powinno naprawić włączenie do oficjalnej astronomii dyskryminowanych spojrzeń na wszechświat – feministycznych, queerowych i wywodzących się spoza zachodniej kultury astrologii i horoskopów (!). Recenzenci uznali artykuł za ciekawy i oryginalny, ale do publikacji nie doszło, ponieważ prowokacja musiała zakończyć się przed zaplanowanym terminem.

Nawet tak kuriozalne tezy nie mogą równać się z „Feministycznym Mein Kampf". Magazyn „Affilia: Journal of Women and Social Work" przyjął do publikacji zmodyfikowany fragment „Mein Kampf" Adolfa Hitlera, w którym przyszły Führer wyjaśnia, dlaczego Niemcy potrzebują partii nazistowskiej. Podobnie jak wcześniej aby uwiarygodnić artykuł, zawarto w nim odniesienia do tekstów uznanych autorów, zmieniono oczywiście również terminy. Narodowy socjalizm zastąpiono zwrotem „Solidarity Feminism", a pozostałe ulubione słowa i argumenty Hitlera zamieniono na modne obecnie zwroty i postulaty feministek. Wątpliwości recenzentów nie wzbudził również tytuł: „Nasza walka jest moją walką". Najwyraźniej radykalne ideologie różni tylko cel, a łączy sposób argumentacji.

PARODIA NAUKI

Chociaż dalekie oderwanie od rzeczywistości feministycznych pseudonaukowczyń może wydawać się zabawne, prowokacja, poza ośmieszeniem ewidentnych bzdur, pokazała poważny problem pewnej części akademickiego świata. Publikacje w recenzowanych czasopismach naukowych uznawane w świecie nauki za podstawę oceny dorobku naukowego nie tylko nie wymagały prowadzenia żadnych badań, lecz także były ideologicznymi manifestami, w dodatku wyjątkowo bezsensownymi. Pisali je ludzie, którzy z łatwością opublikowali serię artykułów na temat dziedziny nauki, w której nie mieli doświadczenia. Co więcej, w kilku przypadkach fikcyjni badacze zostali zaproszeni do recenzowania kolejnych artykułów, które miały być opublikowane w naukowych czasopismach. Nie podjęli się tego, aby nie wychodzić poza ramy eksperymentu. Najwyraźniej jednak, zupełnie przez przypadek, znaleźli się na dobrej drodze do przemiany fikcyjnych postaci w naukowe autorytety.

W części tekstów Lindsay, Pluckrose i Boghossian powoływali się na zmyślone badania. Nikt oczywiście ich nie weryfikował, co jest niestety częstą praktyką nie tylko w „feministycznych" dziedzinach nauki. I tak „Journal of Poetry Therapy" zaakceptował bez żadnych uwag i poprawek tekst, który sami autorzy określili jako „chaotyczny poetycki monolog zgorzkniałej, rozwiedzionej feministki, bez jasnej tezy". Do stworzenia „materiału badawczego" posłużył internetowy generator nastoletniej poezji, który po każdym odświeżeniu strony wyrzuca z siebie nieskładny wiersz złożony z dość przypadkowo dobranych zwrotów. Dodano do tego refleksje na temat kobiecej seksualności i duchowości. Jak deklarują autorzy prowokacji, stworzenie całego artykułu zajęło niecałe sześć godzin.

Cała prowokacja musiała zostać ujawniona przedwcześnie, ponieważ jedną z absurdalnych publikacji postanowili sprawdzić najpierw użytkownicy Twittera, a następnie dziennikarze. Nie dali wiary badaniom wiążącym zachowania seksualne psów w parku z „kulturą gwałtu". Recenzenci „Gender, Place, and Culture" uznali go wcześniej za „wspaniały artykuł – niesamowicie innowacyjny, bogaty w analizy i wyjątkowo dobrze napisany", czyniąc go jednym z głównych tekstów w jubileuszowym wydaniu z okazji 25-lecia istnienia czasopisma.

GŁUPI KOMPUTER

Używanie naukowości do uwiarygodnienia absurdalnych postulatów i teorii podważa zaufanie do całej nauki. A obniżenie rangi naukowego postrzegania świata prowadzi do sytuacji, jaką możemy obserwować od kilku lat w kwestii szczepionek. Tam, skąd wycofuje się rozum, jego miejsce zajmują spiskowe teorie mogące prowadzić do katastrofalnych skutków.

Chociaż eksperyment wywołał już burzę w środowisku naukowym, trudno się spodziewać, aby spowodował przełom czy rewolucję w zideologizowanej części nauk społecznych. 20 lat temu podobną aferę wywołali amerykański fizyk i matematyk Alan Sokal oraz belgijski fizyk teoretyczny Jean Bricmont, publikując książkę „Modne bzdury". Wykazywali w niej m.in., jak czołowi francuscy intelektualiści wykorzystują do uwiarygodnienia swoich tez nauki ścisłe, kompletnie nie rozumiejąc terminologii, jaką się posługują. Mimo że ośmieszyli najbardziej modny wówczas nurt humanistyki, ostatecznie niewiele to zmieniło.

„Dziś postmodernizm nie jest modą – jest naszą kulturą – pisze, komentując prowokację, Nathan Cofnas, filozof z Uniwersytetu Oksfordzkiego. – Duża część studentów elitarnych uniwersytetów jest teraz wprowadzana w ten kult nienawiści, ignorancji i pseudofilozofii. Postmodernizm jest niekwestionowanym dogmatem klasy intelektualistów zajmujących się literaturą i establishmentu sztuki. Przejął większość humanistyki i część nauk społecznych".

Cała prowokacja musiała zostać ujawniona przedwcześnie, ponieważ jedną z absurdalnych publikacji postanowili sprawdzić najpierw użytkownicy Twittera, a następnie dziennikarze

Jeszcze bardziej ambitny cel stawiają sobie najwyraźniej feministki. Magazyn „Feminist Theory" zaakceptował do publikacji (pod warunkiem skrócenia) artykuł postulujący uwzględnienie w programowaniu przyszłej zaawansowanej sztucznej inteligencji bardzo specyficznych założeń. Aby SI, która ma przejąć władzę nad ludzkością, nie była przedłużeniem męskiej dominacji, imperializmu i racjonalizmu (!), powinna zostać zaprogramowana tak, aby wykorzystywała również różne rodzaje wiedzy irracjonalnej. Mówiąc prościej, w świecie przyszłości rządzić nami miałby nieracjonalny komputer. Oto ukoronowanie feministycznej nauki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

Jak nie utraciliśmy niezależności

Stefan Sękowski

Beata Szydło w swej krytyce transformacji się zagalopowała. Trudno było nam po okresie komuny utracić niezależność gospodarczą, bo jej wtedy nie mieliśmy

FOT. ALEKSIEJ WITWICKI/FORUM

Beata Szydło, była premier wywodząca się z pryncypialnie antykomunistycznego Prawa i Sprawiedliwości, w trakcie Forum Ekonomicznego w Krynicy mówiła o pryncypiach polityki gospodarczej PiS: „Mówiliśmy, że potrzebny jest powrót do mocnego wspierania naszych przedsiębiorstw, naszej gospodarki. To było też takie doświadczenie po latach transformacji, po tym wszystkim, co wydarzyło się od 1989 r., od prowadzonej polityki liberalnej, ale bardzo też mieliśmy poczucie tutaj w Polsce, że Polska straciła niezależność gospodarczą". Nie jest to pierwszy przedstawiciel obecnej władzy, który starając się uzasadnić swoją politykę gospodarczą, zachowuje się tak, jakby zanim nastąpiła pokomunistyczna transformacja, w Polsce było znacznie lepiej.

NIE TYLKO IDEOLOGIA

Tymczasem gospodarka PRL była niezależna w tym samym stopniu, w jakim niezależna była jej polityka, czyli prawie wcale. Państwo funkcjonujące na polskich ziemiach było wasalem gospodarczym Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich. Owa zależność zaczynała się już na poziomie doktrynalnym. Polska Rzeczpospolita Ludowa miała realizować ideały realnego socjalizmu, czyli w praktyce gospodarki centralnie planowane. We wczesnych latach tuż po wojnie już same próby realizacji „polskiej drogi do socjalizmu" skończyły się dla Władysława Gomułki więzieniem. Po 1956 r., gdy na fali odwilży został I sekretarzem KC PZPR, doszło do pewnego rozluźnienia: zastopowano kolektywizację rolnictwa, mniej utrudniano życie rzemiosła. Jednak i on nie widział zasadniczego problemu w naszej zależności od Moskwy. W efekcie także w rolnictwie mieliśmy rynek mocno ograniczony, oparty na nakazowości i reglamentacji, co zresztą skutkowało nieustannymi niedoborami.

Na ideologii to się jednak nie skończyło. Polska gospodarka była drenowana przez sowiecką od samego początku. W 1945 r. podpisaliśmy z ZSRS umowę dotyczącą sprzedaży Sowietom polskiego węgla – problem w tym, że „wielki brat" narzucił nam ceny 10-krotnie niższe od tych występujących na rynkach światowych. Te ceny się na przestrzeni lat

eprasa.pl 2c83a54b18

zmieniały, jednak co do zasady byliśmy na handlu węglem z Sowietami stratni, i to nie z powodów obiektywnie ekonomicznych. Jaskrawym przykładem może być „korekta granic" z 1951 r., w której ramach ZSRS otrzymał bogate w złoża węgla kamiennego ziemie Sokalszczyzny, w zamian zaś PRL dostał piękne, ale z gospodarczego punktu widzenia mało znaczące ziemie północnych Bieszczadów (okolice Ustrzyk Dolnych czy Lutowisk). Innym przykładem ekonomicznego uzależniania nas przez ZSRS była budowa rurociągu „Przyjaźń". To samo można powiedzieć o gazociągach – gdyby Polska była „niezależna gospodarczo" przed 1989 r., dywersyfikacja źródeł surowców nie byłaby tak istotnym tematem.

WYMUSZONA „PRZYJAŹŃ"

Także nasze relacje gospodarcze z innymi państwami były zależne od wschodniego mocarstwa. W kapitalizmie można mówić o „handlu między państwami" jedynie w uproszczeniu, ponieważ handlują w praktyce poszczególne przedsiębiorstwa. Jednak w realnym socjalizmie to państwa były de facto przedsiębiorstwami i miały monopol na handel międzynarodowy. A demoludy musiały spełniać oczekiwania moskiewskiej centrali. I tak Polska zrezygnowała z planu Marshalla, a także przy wypłacie reparacji wojennych uzależniła się od ZSRS, który miał nam po prostu wypłacać część swojej doli. Te, a także inne decyzje – np. wystąpienie z Międzynarodowego Funduszu Walutowego – utrudniały nam dostęp do kredytów międzynarodowych, a także kontakty handlowe z państwami zachodnimi.

W 1949 r. Polska była jednym z dumnych założycieli Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Służyła ona koordynowaniu planów gospodarczych poszczególnych państw. W praktyce oznaczało to często narzucanie rozwiązań służących ZSRS. Przykładem może być istnienie rubla transferowego. Pieniądz w realnym socjalizmie był sztucznością, ale rubel transferowy – czyli waluta służąca do rozrachunków w handlu między państwami należącymi do RWPG – był sztucznością do kwadratu. Istniał tylko w księgowych zapisach. Miał kurs (jeśli chodzi o jego stosunek do innych walut) ustalany odgórnie przez Międzynarodowy Bank Współpracy Gospodarczej. Efekty były takie, że z jednej strony PRL korzystał na tym, np. kupując do połowy lat 80. XX w. taniej ropę naftową (później się to zmieniło) niż na rynkach światowych, ale także sprzedając ZSRS np. statki, z drugiej tracił na tym, ponieważ część materiałów musiała być zakupiona za granicą, a kurs rubla transferowego do dolara był zaniżony (w 1990 r. Dariusz Rosati obliczył, że w ostatnich latach PRL cztero–pięciokrotnie). Polska wydawała więc na nie drogocenne dewizy, jednak nie przekładało się to na „punkty" uzyskiwane od sowieckiego nabywcy. W efekcie tego, jak pisał prof. Janusz Kaliński w artykule „Rubel transferowy" (Kwartalnik KES „Studia i Prace" 3/2013), „Polska otrzymywała 1/4 wartości swojego eksportu do ZSRR".

CZY ISTNIEJE NIEZALEŻNOŚĆ?

W kwestiach gospodarczych byliśmy więc mocno uzależnieni od ZSRS, który dawał nam swobodę tylko w niewielkim zakresie. Trudno było nam po okresie komuny utracić niezależność gospodarczą, bo jej po prostu nie mieliśmy. Może jednak premier Szydło ma rację w tym sensie, że co prawda jej wówczas nie utraciliśmy, ale i nie odzyskaliśmy. Zacznijmy od tego, że czegoś takiego jak pełna niezależność gospodarcza po prostu… nie ma. W gospodarce rynkowej państwa regulują życie gospodarcze i wskazują ogólne kierunki, ale nie sterują ręcznie całą gospodarką. Rządzący państwami są w swych decyzjach uzależnieni od prawideł ekonomii i sytuacji na rynkach: ich decyzje nie zawsze mają konsekwencje takie, jakich by sobie życzyli. Są także uzależnieni od opinii publicznej, którą jednak można uznać za niezależny głos suwerena. Ale zwłaszcza w epoce globalizacji są zależni także od decyzji innych międzynarodowych graczy. Donald Trump właśnie poddaje próbie niezależność mocarstw takich jak Chiny i Rosja, swoich partnerów z NAFTA i państw Unii Europejskiej, wypowiadając wojnę handlową praktycznie całemu światu. Międzynarodowe relacje handlowe zależą od podpisanych i ratyfikowanych przez państwa umów dwu- bądź wielostronnych, a ile uda się w tych rozmowach wyhandlować, zależy od siły przetargowej danego państwa.

Można się jednak zastanowić, czy obecnie jesteśmy bardziej niezależni gospodarczo niż za komuny. Istnieje opinia, że reformy gospodarcze początku III RP zostały nam podyktowane przez zagraniczne instytucje, takie jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy. To prawda, że Zachód wymagał od nas, byśmy ustabilizowali galopującą inflację i lecącą na łeb na szyję gospodarkę, bo inaczej nie będą mogli nam pożyczyć nowych pieniędzy ani udzielić pomocy żywnościowej, o zmniejszeniu zadłużenia, jakie zaciągnęliśmy wcześniej (na poczet nie tylko inwestycji, lecz także np. na paszę i żywność, której w rolniczej Polsce brakowało z powodu naszego ideologicznego uzależnienia od ZSRS), nie wspominając. Jednak konkretnych rozwiązań nikt nam nie narzucał: za plan Balcerowicza odpowiada sam Leszek Balcerowicz. Poza nielicznymi krytykami politycy różnili się co najwyżej w ocenie szczegółów, bo wówczas wszyscy chcieli budować kapitalizm, a Jarosław Kaczyński domagał się szybkiej prywatyzacji. Taki był klimat – i (przy krytycznej ocenie licznych „szczegółów") bardzo dobrze, bo chodziło przecież o to, by skończyć z PRL, a nie tylko pomalować fasadę. Nie może być więc mowy o jakiejś ideologicznej zależności porównywalnej z tą, w jakiej żyliśmy przed 1989 r.

Także cen węgla nikt nam nie narzuca. Na miarę naszych możliwości sukcesywnie zmniejszamy nasze uzależnienie od rosyjskich surowców. Należymy do Unii Europejskiej, której nie da się porównać z RWPG. Po pierwsze, decyzję o przystąpieniu do UE podjęliśmy samodzielnie; była to decyzja, wobec której istniał konsensus (prawie) wszystkich sił politycznych (także PiS), potwierdzony w ogólnonarodowym referendum. UE ma wpływ na naszą politykę celną, bo jest ona wspólna, jednak UE to także Polska dysponująca swoimi przedstawicielami czy to w radach, czy w Parlamencie Europejskim. UE wpływa także na nasz system fiskalny (przez siedem lat byliśmy objęci procedurą nadmiernego deficytu), podatkowy (minimalna stawka VAT na poziomie 15 proc.) i regulacje, jednak są to kwestie podlegające negocjacji (inaczej nie mielibyśmy obniżonych stawek VAT), a wiele utrudnień sami sobie nakładamy. Dzisiaj jako jedno z niewielu państw Unii Europejskiej dysponujemy własną walutą wymienialną na inne, która umożliwia nam prowadzenie samodzielnej polityki monetarnej.

Politycy w ferworze partyjnej walki często zapominają trzymać się faktów. Przynajmniej tak mi się wydaje, bo jeśli raczej zapominają, jak wyglądała polska historia, to mogą z niej wyciągać katastrofalne wnioski na przyszłość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u Nowa Konfederacja.

eprasa.pl 2c83a54b18

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Cud przed urną

O możliwych cudach NAD urną podczas poprzednich wyborów samorządowych – w 2014 r., gdy PSL zgarnęło niemal 24 proc. (!) miejsc w sejmikach wojewódzkich, napisano już wiele. Podobnie jak o wcześniejszych – z lat 1998, 2002, 2006 i 2010, gdy (udało się to ustalić dzięki dociekliwości prof. Przemysława Śleszyńskiego) w wyborach do sejmików wojewódzkich w granicach niektórych województw – a w granicach innych nie – oddawano zadziwiająco dużo głosów nieważnych (dwa krzyżyki lub więcej na karcie wyborczej zamiast jednego), co mogło rzutować na wyniki tych wyborów.

Nie jest też tak, że nigdy jeszcze nie pisano o możliwych cudach PRZED urną, czyli w okresie poprzedzającym wybory. Pisano o nich choćby wtedy, gdy dzięki rozmowom nagranym przez kelnerów dowiedzieliśmy się, że Jacek Krawiec, ówczesny szef Orlenu, zwierzył się swemu rozmówcy, iż po wygranych wyborach parlamentarnych w 2011 r. Tusk oznajmił mu, że „teraz, kur…, to paliwo może być nawet po 7 zł" – i się roześmiał.

No, a jak jest z ostatnimi cudami PRZED urną, czyli po ile będzie paliwo po tych wyborach samorządowych, których pierwsza tura właśnie za nami? Chyba nie uda się jej rządzącym Polską politykom, jeśli dzieje się tak za ich sprawą, długo utrzymać na poziomie przedwyborczym, gdy – jak napisała „Rzeczpospolita" – cena litra diesla w hurcie sięgała 5,31 zł, a na stacji w Słupsku sprzedawano go po 5,04 zł. Zresztą nie trzeba było się po paliwo fatygować aż do Słupska, by zauważyć, że jakaś dziwna ręka – i raczej nie była to „ręka" rynku – przez ostatnie tygodnie trzymała ceny paliw na stacjach na uwięzi, gdy w hurcie pięły się one w górę. I teraz pytanie: Ceny benzyny i diesla pójdą w górę już teraz czy dopiero po drugiej turze wyborów? Przecież nawet w coraz bardziej upaństwowionej Polsce nawet najbardziej omnipotentnym politykom nie uda się ich na obecnym poziomie utrzymać do wyborów do europarlamentu w maju 2019 r., a tym bardziej do wyborów do Sejmu i Senatu jesienią 2019 czy prezydenckich w maju 2020.

A podwyżki (zarówno cen paliw, jak i prądu, bo i te są nieuchronne i nie da się ich już dłużej odwlekać), wiele na to wskazuje, będą tym razem naprawdę znaczące. I tak mocno uderzą po kieszeniach wyborców, że PiS, swoim zwyczajem, już się szykuje do zmuszenia bogatszych Polaków do zrekompensowania swym uboższym rodakom choć części podwyżek cen prądu w ramach akcji „Energia+". I tylko patrzeć, jak bogatsi będą też musieli finansować biedniejszym podwyżki cen paliw w ramach programu „Benzyna+". A może i cen chleba, bo i ten przecież mocno drożeje, w ramach programu „Chleb+". ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Ewolucja

Niedawno zwiedzałem przepiękne zamki Dolnego Śląska. Na tablicy umieszczonej na murach kościoła św. Marcina na Ostrowie Tumskim we Wrocławiu w 1995 r. jest następujący napis: „Jesteśmy Polakami. Wiara naszych ojców jest wiarą naszych dzieci. Polak Polakowi bratem. Co dzień Polak narodowi służy. Polska naszą matką, nie wolno mówić o matce źle".

Jak to możliwe, że w mieście, które było europejską stolicą kultury w 2016 r., toleruje się publiczne propagowanie rasizmu, seksizmu i nietolerancji? W XXI w. tablicę należałoby usunąć i zastąpić tekstem prawdziwie europejskim.

Jak powinien brzmieć politycznie poprawny napis na tablicy umieszczonej w prestiżowej lokalizacji Wrocławia? Pierwsze zdanie powinno wyglądać przynajmniej tak: „Jesteśmy Europejczykami", ale nawet to brzmi zbyt seksistowsko, więc należałoby także dodać: „i Europejkami". Druga linijka to ewidentna emanacja nietolerancji na tle religijnym (promuje jedną konkretną religię) i płciowym (pominięcie matki i opiekuna prawnego). Poza tym całkowicie pominięto osoby niewierzące. Poprawna druga linijka powinna brzmieć: „Przekonania naszych opiekunów i opiekunek prawnych są częścią historii ludzkości". Trzecia linijka jest skandaliczna, pomija całkowicie imigrantów oraz to, że istnieją jeszcze dwie inne płcie, żeńska i nieokreślona. Trzecia linijka powinna zostać zmieniona na: „Osoba przebywająca w Polsce tolerancyjnie odnosi się do innych takich osób, niezależnie od orientacji seksualnej, koloru skóry, oczu i włosów". Czwarta linijka ponownie wspomina Polaków i pomija imigrantów oraz używa słowa „naród", od którego niedaleko do narodowego socjalizmu i nawet do nazizmu. A promowanie nazizmu jest przecież konstytucyjnie zakazane, poza tym jest przecież tyle ważnych wyzwań dla ludzkości. Dlatego poprawne brzmienie czwartej linijki to: „Każdy tutejszy Europejczyk dba o środowisko i walczy z globalnym ociepleniem". Piąta linijka co prawda docenia rolę kobiety w społeczeństwie, ale jednocześnie szykanuje związki homoseksualne, które przecież też mogą mieć adoptowane dzieci i dwóch tatusiów. Dlatego warto słowo „matka" w ogóle pominąć, a „Polskę" zastąpić „Europą". Trzeba też być nowoczesnym, a dzisiaj zamiast „nieprawda" używa się sformułowania „fake news". Zatem piąta linijka powinna brzmieć: „Tutejsi Europejczycy mówią stanowcze nie fake news". Dodałbym jeszcze szóstą linijkę z jednym słowem „Konstytucja". Dlaczego? Bez specjalnego powodu, ale to jest teraz modne i trendy, więc wypada.

Mam nadzieję, że władze Wrocławia wybrane w nadchodzących wyborach przychylnie odniosą się do propozycji zawartych w tym satyrycznym felietonie. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 2c83a54b18

TEST „DO RZECZY": NETATMO – INTELIGENTNA STACJA POGODY

To gadżet, o którym powinien pomyśleć każdy fan „inteligentnego domu". Stacja pogody Netatmo pozwala bowiem na ekranie smartfona sprawdzać aktualną pogodę na własnym tarasie, a także zobaczyć spersonalizowaną prognozę na najbliższe sześć dni.

Zestaw składa się z dwóch urządzeń: modułu zewnętrznego oraz wewnętrznego. Zewnętrzny zbiera informacje o temperaturze, ciśnieniu, wilgotności powietrza, a także zanieczyszczeniu cząstkami pyłu PM 2,5.

Moduł wewnętrzny sprawdza panującą w pokoju temperaturę, wilgotność powietrza, natężenie hałasu, a także monitoruje jakość powietrza (na telefon lub tablet mogą przychodzić powiadomienia z ostrzeżeniem, że w danym pomieszczeniu zawartość dwutlenku węgla przekroczyła poziom 1 tys. cząstek na 1 mln cząstek powietrza). Wbrew pozorom to ważne dane dla każdego Kowalskiego. Zbyt wysokie stężenie CO_2 wpływa na samopoczucie, a nawet – jak pokazali np. badacze z Uniwersytetu Berkeley – obniżenie zdolności intelektualnych.

Alarmy można wyznaczać dowolnie – urządzenie może więc ostrzegać, jeśli temperatura w domu spadnie poniżej 15 st. C (co oznaczałoby awarię ogrzewania), lub doradzić, o której godzinie zanieczyszczenie powietrza w okolicy jest najmniejsze, a więc kiedy warto wybiec na trening.

Za pomocą dobrze zaprojektowanej bezpłatnej aplikacji można oglądać dane w czasie rzeczywistym lub w formie wykresów za ostatnie dni (urządzenie dokonuje pomiaru automatycznie co 5 min, więc pozwala łatwo sprawdzić, jaka była najwyższa i najniższa temperatura w ciągu ostatniej doby lub o której godzinie w sypialni powietrze jest najbardziej zanieczyszczone). Netatmo jest kompatybilne z urządzeniami zarówno firmy Apple, jak i z systemem Android.

Moduły zostały wykonane z pojedynczego kawałka aluminium i wyglądają naprawdę dobrze. Plusem jest też to, że moduł zewnętrzny działa na baterie. Szkoda jednak, że nie jest wodoodporny.

Oba moduły łączą się ze sobą na odległość do 100 m, ale tylko pod warunkiem, że po drodze nie ma żadnych przeszkód (np. ścian). Podczas testu odległość między modułami wynosiła niecałe 10 m i nie było żadnych problemów z połączeniem.

Największym minusem testowanego urządzenia jest jego wysoka cena. Podstawowy zestaw (jeden moduł na zewnątrz i jeden do pomieszczenia) kosztuje 749 zł. Aby jednak móc monitorować np. poziom dwutlenku węgla w salonie i sypialni, trzeba dokupić dodatkowy moduł wewnętrzny za ok. 300 zł. Aby zaś zwiększyć dokładność pomiarów zewnętrznych, dobrze byłoby kupić jeszcze wiatromierz (449 zł) oraz deszczomierz (299 zł). Wychodzi więc drogo. Bogaci miłośnicy nowoczesnych rozwiązań mogą jednak wykorzystać Netatmo jako element systemu i np. zaprogramować swój inteligentny dom tak, aby w przypadku przekroczenia normy dwutlenku węgla w danym pomieszczeniu automatycznie otwierały się okna lub włączała się wentylacja. ©℗

Jacek Przybylski

POROZMAWIAJMY SOBIE

Znajomość języków zawsze się przydaje. Również tych bardziej egzotycznych, choćby po to, by nie pomylić się, gdy zaczepiający na ulicy mityczny „lekarz" z Afryki zapyta nie o zdrowie, ale o portfel, co we Francji czy w Belgii zdarza się całkiem często. Co jednak zrobić, gdy w szkole uczono rosyjskiego, a po szkole doszkalałeś się tylko w angielskim bądź niemieckim? Jest rada. To Smark Translator, czyli miniaturowe urządzenie przypominające dyktafon, pozwalające na tłumaczenie rozmowy w aż 37 językach w czasie rzeczywistym. Aby rozmowy były tłumaczone natychmiast, potrzebne jest połączenie Wi-Fi (niestety, zdarza się, że przybysze z krajów islamu ochotę na konwersację mają akurat w miejscach opuszczonych przez ludzi i sieć), ale poszczególne zdania, czy wyrazy można też tłumaczyć manualnie, w trybie off-line. Jeden zestaw zawiera dwa mikrofony, więc w przypadku rozmowy w cztery oczy urządzenie nie musi krążyć z rąk do rąk, a Smark Translator rozpoznaje w trakcie dialogu wszystkie języki z grupy 37 plus zabezpieczone w bazie danych.

Najprostszy zestaw w cenie ok. 700 zł można zamawiać na Indiegogo, a dostawa będzie w grudniu tego roku.

FOTOPIERŚCIONEK

Insta-Ring nadaje nowe znaczenie zwrotowi „wyssane z palca". No, może nie tyle wyssane, ile pstryknięte. Gadżecik to bowiem pierścionek pozwalający robić zdjęcia i kręcić filmy 4K, i to naprawdę niezłej jakości. Insta-Ring to aparat fotograficzny 12 Mpix zamknięty w korpusie pierścienia. Po zrobieniu zdjęć można przenieść je bezpośrednio do smartfona (iOS lub Android) i umieścić na portalach społecznościowych lub zostawić w pamięci 32 GB. Gadżet odporny jest na kurz i zanieczyszczenia, a także na wodę – można z nim nurkować nawet do 50 m. Wykonany jest z aluminium lotniczego, a obiektyw kamery pokryty jest zabezpieczającym szkłem szafirowym. Pierścionek nie posiada ekranu, więc zdjęcie robimy „na czuja" bez możliwości wyboru kadru. Przyda się na pewno miłośnikom selfików, frajdę z niego będą mieli także amatorzy wizyt w nocnych klubach. Kosztuje ok. 350 zł, zamawiać można go na Indiegogo, ale na dostawę trzeba poczekać aż do lutego przyszłego roku. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2c83a54b18

Pistolet wypalił

FOT. ALFONSO CANNAVACCIUOLO/IPP/EAST NEWS

Łukasz Majchrzyk

Na punkcie Krzysztofa Piątka oszaleli kibice w całej Europie. Czy mamy do czynienia z narodzinami kolejnej wielkiej gwiazdy pochodzącej z Polski?

Nie ma dnia, by nie pojawiła się jakaś informacja zapowiadająca wielki transfer polskiego napastnika. Zainteresowanie kibiców, mediów, agentów, największych europejskich klubów (kolejność można zmieniać tutaj dowolnie) rośnie w postępie geometrycznym. Każda kolejna bramka zdobywana przez Piątka powoduje, że robi się o nim jeszcze głośniej. A jeśli poważne gazety, takie jak kataloński „Sport", piszą o zainteresowaniu ze strony FC Barcelony, to widać, że sprawa jest poważna.

Polak jest wyceniany na 60 mln euro i dla FC Barcelony nie jest to kwota wygórowana. Zapłacić tyle za 23-latka to zarobić w przyszłości – jeśli jego kariera się rozwinie. Nic dziwnego, że kibice już wzywają prezesów do szybkich decyzji, a na Twitterze powstał hashtag, który można przetłumaczyć jako „Bartomeu, kupuj Piątka" (Josep Bartomeu to prezes FC Barcelony).

W Genui zacierają ręce, słyszą szelest banknotów, gratulują sobie pomysłu zatrudnienia nieznanego szerzej chłopaka z Polski i zarzekają się, że w zimie nigdzie go nie puszczą. Spieszyć się nie muszą, bo wartość napastnika wraz z kolejnymi bramkami będzie tylko większa. Plan w skrócie wygląda tak: Piątek swoimi golami zapewnia Genoi FC utrzymanie w najwyższej klasie rozgrywkowej we Włoszech, a potem odchodzi do innego klubu w glorii chwały.

We Włoszech kibice już zdążyli go pokochać. Zdarza się, że na samochodach do nauki jazdy, gdzie litera „P", oznaczająca osobę będącą dopiero na kursie, rozwijana jest w napis: „Piątek". Chociaż rozgrywki Serie A dopiero się rozkręcają, to młody Polak już ma na koncie więcej goli w jednym sezonie ligi włoskiej niż wspominany do dziś we Włoszech Zbigniew Boniek, który grał w Juventusie i Romie. Przy okazji wyrównał rekord ukraińskiej gwiazdy Andrija Szewczenki, który w czterech pierwszych meczach w Serie A zdobył pięć goli. Potem jeszcze Piątek przebił to osiągnięcie, zdobywając bramki w siedmiu pierwszych meczach sezonu, co nie udało się żadnemu piłkarzowi we Włoszech na tym poziomie od lat. Po każdym trafieniu wykonuje charakterystyczny gest strzelania z rewolweru, dzięki czemu dostał przydomek „Il Pistolero".

Z NIEMCZY DO WŁOCH

Kim jest 23-latek z Polski, który jeszcze kilka lat temu wydeptywał boiska na Dolnym Śląsku, grając w Lechii Dzierżoniów? Jego kariera wymyka się schematom dzisiejszego futbolu, gdzie wszystko, od początku do końca, ma być kontrolowane, zaplanowane, a każdy kilometr kwadratowy Europy dokładnie przeczesany przez siatkę skautów.

Piątek taką drogą nie szedł. Pochodzi z Niemczy, niewielkiej miejscowości położonej u stóp Gór Sowich. Jego ojciec, w przeszłości piłkarz, zobaczył u syna talent i włożył wiele wysiłku w to, by w przyszłości Krzysztof grał zawodowo w piłkę. Tylko że w Niemczy nie było to takie proste i nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy napastnika reprezentacji Polski, gdyby nie Andrzej Bolisęga, dzisiaj zastępca burmistrza Dzierżoniowa.

Kilkanaście lat temu Bolisęga chciał zapisać synów na treningi w Lechii Dzierżoniów, ale akurat w klubie nie prowadzono naboru w tym roczniku. Założył więc drużynę sam, a jedno ze spotkań jego chłopcy rozgrywali z rywalami z Niemczy. Tam zobaczył Piątka i od razu ściągnął go do siebie. Oba miasta dzieli ledwie 15 km, ale podróż autobusem PKS zajmowała 50 minut.

eprasa.pl 2c83a54b18

Piątek musiał wstawać ok. godz. 6, gnać na przystanek, potem były: basen, szkoła, trening i powrót do domu ok. godz. 19. Na głupie pomysły na szczęście nie wystarczało czasu, choć do dziś jego wychowawcy wspominają, że jako młody chłopak Piątek lubił psocić.

Młody chłopak z talentem prędzej czy później musiał znaleźć się w Lechii Dzierżoniów, czyli największym klubie w okolicy. Zadebiutował w III lidze w wieku 17 lat i wtedy już na pewno trafił pod lupę działaczy Zagłębia Lubin. To w barwach tej drużyny zadebiutował w Ekstraklasie. Zdobywał tam swoje pierwsze bramki, a kiedy nadarzyła się okazja, przeszedł do Cracovii, która wyłożyła za niego 500 tys. euro.

Trener Michał Probierz od początku wierzył w talent młodego napastnika, zrobił go zastępcą kapitana drużyny. Dar do strzelania bramek Piątek miał zawsze, ale niektóre rzeczy trzeba było u niego zmienić – należały do nich zbytnia impulsywność na boisku i nieustanne komentowanie decyzji arbitrów.

Porównań do Roberta Lewandowskiego nie uniknie, a sam Piątek przyznaje, że kapitan reprezentacji Polski jest dla niego wzorem. Za sukcesami wschodzącej gwiazdy polskiej piłki też, tak jak w przypadku Lewandowskiego, stoi kobieta. Narzeczona Piątka miała go przekonać do lepszej diety, nauki angielskiego, a nawet zrobienia prawa jazdy. Sam piłkarz przyznaje, że dzięki narzeczonej dojrzał.

KRÓL SERIE A?

Kariery Piątka i Lewandowskiego też do pewnego stopnia układają się podobnie. Obaj zaczynali w bardzo małych klubach (Lewandowski w Partyzancie Leszno i Varsovii). Do młodzieżowych reprezentacji Polski trafili dość późno (w wieku ok. 20 lat), wcześniej nie uważano ich za wielce utalentowanych.

Można zaryzykować stwierdzenie, że sukcesy Lewandowskiego (oraz zawodnika Napoli Arkadiusza Milika) trochę utorowały Piątkowi drogę. O polskich napastnikach zrobiło się głośno, a agenci piłkarscy zaczęli baczniej przyglądać się naszej lidze, tym bardziej że za piłkarzy znad Wisły nie płaci się dużo w porównaniu z innymi nacjami (cztery miliony zapłacone Cracovii za Piątka przez Genoę to kwota mało znacząca na europejskim rynku).

W transferze piłkarza z Dzierżoniowa na pewno pomogła też renoma, którą polscy piłkarze cieszą się we Włoszech. Od czasów Bońka i Władysława Żmudy zawsze mieli tam dobrą opinię, ale ostatnio panuje wręcz moda na zatrudnianie Polaków. W Sampdorii świetne opinie zbierają: Karol Linetty, Bartosz Bereszyński i Dawid Kownacki.

W Napoli, obok Milika, występuje Piotr Zieliński, zawodnikiem Chievo Werona jest Mariusz Stępiński, Łukasz Teodorczyk trafił ostatnio do Udinese, a Bartosz Salamon występuje we Frosinone. Ustaloną markę mają też polscy bramkarze: Wojciech Szczęsny został następcą legendarnego Gianluigiego Buffona w Juventusie Turyn, Łukasz Skorupski jest zawodnikiem Bolonii, a Bartłomiej Drągowski – Fiorentiny. Oprócz tych graczy są jeszcze inni, którzy próbują się przebić z lepszym lub gorszym skutkiem.

Jeśli Piątek utrzyma formę z początku sezonu, to latem zapewne zostanie królem strzelców Serie A, a potem zmieni klub na lepszy i dużo bogatszy. Może wyjedzie z Włoch, a może przejdzie do jednego z potentatów tamtejszej ligi. Wyścig po „Il Pistolero", jak go we Włoszech nazywają, już się rozpoczął i nabiera tempa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PRENUMERATA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA
TYGODNIKA DO RZECZY
+ PAKIET 3 KSIĄŻEK HISTORYCZNYCH:
M. KOPROWSKI „LEGIONY. DROGA DO LEGENDY"
W. KOŁACIŃSKI „MIĘDZY MŁOTEM A SWASTYKĄ"
J. STYKOWSKI „KAPITAN HAL"
+ SŁUCHAWKI + E-WYDANIE

Cena: 199 zł
Oszczędność: 231 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 2c83a54b18

debata DO RZECZY

Katarzyna Pinkosz

Agencja dla pacjentów

– Bez takiej agencji nie będzie w Polsce nowoczesnej medycyny ani dobrego wykorzystania wzrostu nakładów na zdrowie do 6 proc. PKB – mówił minister zdrowia Łukasz Szumowski. Dlaczego w Polsce jest potrzebna Agencja Badań Medycznych? W redakcji „Do Rzeczy" odbyła się debata z ekspertami na ten temat

Była premier i minister zdrowia Ewa Kopacz na temat Agencji Badań Medycznych, która wkrótce ma zostać utworzona, wyraziła się, że to „zamach na pieniądze pacjentów". Podobnie wypowiadał się też były minister zdrowia Bartosz Arłukowicz. – Albo ktoś nie zrozumiał intencji, albo nie wie, co to są badania kliniczne, i nie rozumie, że korzystają na nich pacjenci. To też kwestia niezrozumienia roli polskiej myśli naukowej przez osoby, które piastowały w poprzednich ekipach stanowisko ministra zdrowia. Chcemy przejść do innowacyjnej gospodarki, również w zdrowiu. Wymaga to jednak zainwestowania w nowoczesne rozwiązania – mówił podczas debaty „Do Rzeczy" minister Łukasz Szumowski.

Jego zdaniem powołanie ABM w Polsce to konieczność. W innych krajach podobne agencje istnieją od wielu lat, np. National Institutes of Health działa w USA od 1887 r., Medical Research Council w Wielkiej Brytanii – od 1913 r., a przez ten czas dofinansowywał badania naukowe ponad 30 późniejszych laureatów Nagrody Nobla.

NIEKOMERCYJNE BADANIA KLINICZNE

Zadaniem ABM ma być wspieranie finansowania badań naukowych oraz analiz w ochronie zdrowia, by pieniądze na zdrowie były wydawane racjonalnie. Agencja miałaby zajmować się m.in. finansowaniem badań klinicznych niekomercyjnych, czyli niesponsorowanych przez firmy farmaceutyczne. Rzecz w tym, że obecnie w Polsce zaledwie 1 proc. badań klinicznych to badania niekomercyjne (w krajach zachodnich stanowią one ok. 30–40 proc. wszystkich badań klinicznych). A to oznacza, że w badaniach klinicznych w Polsce mają szansę uczestniczyć tylko pacjenci, dla których poprowadzi je duża firma farmaceutyczna. – Nie każdy pacjent znajduje się w obszarze zainteresowania firm farmaceutycznych. Jako minister zdrowia odpowiadam też za pozostałych pacjentów, którzy również powinni mieć szansę na udział w badaniach klinicznych, na sprawdzenie przełomowych leków – przekonywał minister Łukasz Szumowski.

Na niekomercyjnych badaniach klinicznych mogliby skorzystać pacjenci z chorobami rzadkimi, dla których nie ma dziś leczenia czy dobrej metody diagnostycznej. – Dlatego chcemy, by w 50 proc. Agencja Badań Medycznych była finansowana z odpisu NFZ. Te pieniądze wrócą do pacjentów. Dzięki niekomercyjnym badaniom klinicznym będzie można sprawdzić, czy nowe technologie faktycznie działają, a minister zdrowia będzie mógł racjonalnie podjąć decyzję o ich refundowaniu – argumentował dr Radosław Sierpiński, pełnomocnik ds. utworzenia Agencji Badań Medycznych.

– Minister zleca nam ocenienie, czy warto finansować daną technologię. Dopiero wtedy, gdy mamy dowody, możemy stwierdzić, czy wydawanie na nią pieniędzy publicznych ma sens –

eprasa.pl 2c83a54b18

Debata „Do Rzeczy" z udziałem ministra zdrowia FOT. MAGDALENA WÓJCIK/PROFESJONALNA.TV

prof. Łukasz Szumowski, minister zdrowia:
– ABM to konieczność. Chciałbym, żeby to była nowoczesna agencja, która będzie w stanie konkurować sprawnością i skutecznością z tego typu agencjami na świecie. Pieniądze publiczne nie będą wydawane bez kontroli, kontrola będzie nawet ostrzejsza, tym bardziej że decyzje o przyznawaniu grantów podejmowałyby również osoby z międzynarodowych gremiów.

Roman Topór-Mądry, prezes AOTMiT:
– Mamy nadzieję, że dzięki ABM będziemy mieli dowody z badań klinicznych i naukowych, adekwatne do polskich warunków, polskiego systemu ochrony zdrowia, do wielkości polskiej populacji, do naszego koszyka świadczeń gwarantowanych. Dzięki temu będziemy mogli wydawać racjonalne rekomendacje dotyczące refundowania nowych technologii medycznych.

dr Radosław Sierpiński, pełnomocnik ds. utworzenia Agencji Badań Medycznych:
– Jeśli mówimy o skracaniu kolejek, o wprowadzaniu nowych badań przesiewowych, wprowadzaniu nowych technologii, to musimy mieć pewność, że przyniesie to efekt w postaci np. wydłużenia życia. Dzisiaj, podejmując decyzje, opieramy się na analizach z innych krajów, w których inaczej funkcjonuje ochrona zdrowia. Dzięki ABM możliwa też będzie lepsza współpraca, np. z NIH w USA, i prowadzenie dużych badań populacyjnych.

i polskiej medycyny

potwierdził Roman Topór-Mądry, prezes Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, która wydaje rekomendacje, czy dany lek (lub technologia medyczna) powinien być refundowany. W sytuacjach budzących wątpliwości AOTMiT powinna dysponować wynikami badań przeprowadzonych w polskich warunkach. Często się zdarza, że lek, który świetnie wypadał w badaniach klinicznych, nie sprawdzał się potem u pacjentów. Spośród leków onkologicznych zarejestrowanych w ostatnich latach przez Europejską Agencję Leków ponad połowa okazała się później u pacjentów nieskuteczna. – Dzięki niekomercyjnym badaniom klinicznym można sprawdzić, czy dana cząsteczka działa, czy nie, czy jest sens ją refundować – mówił minister Szumowski.

ANALIZY DLA MINISTRA

Innym zadaniem ABM byłoby wykonywanie analiz na zlecenie ministra zdrowia, które ułatwiłyby mu prowadzenie racjonalnej polityki zdrowotnej. W Polsce do tej pory nie ma instytucji, która opracowywałaby analizy, np. w jaki sposób efektywnie doprowadzić do skrócenia kolejek do specjalistów albo czy warto wprowadzić nowe badanie profilaktyczne (np. tomografię niskodawkową u palaczy w celu wczesnej diagnostyki raka płuca).

Minister Szumowski zwrócił też uwagę na to, że komercyjne badania kliniczne zwykle dotyczą jednego leku firmy, która je sponsoruje. – Chcielibyśmy mieć też możliwość zlecania badań, które pokazałyby, czy lek X jest lepszy od leku Y czy Z – podkreślał. Odniósł się też do zarzutów, że nowa agencja dublowałaby zadania już istniejących instytucji, takich jak Narodowe Centrum Nauki czy Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. – NCN prowadzi badania stricte naukowe, a granty z NCBiR mają doprowadzić do powstania prototypu nowego urządzenia czy technologii. Czymś zupełnie innym są badania kliniczne. Ich na razie nie finansuje nikt poza dużymi koncernami farmaceutycznymi. Chcielibyśmy prowadzić badania kliniczne z pieniędzy publicznych również po to, by pokazać, że nasz potencjał

eprasa.pl 2c83a54b18

naukowy ma wsparcie ze strony państwa – zapewniał minister Szumowski.

SZANSA DLA POLSKIEJ NAUKI

Wielu polskich naukowców dziś musi sprzedawać zagranicznym firmom farmaceutycznym opracowane przez siebie innowacje medyczne, gdyż nie znajdują w Polsce możliwości finansowania badań klinicznych. Ministerstwo Zdrowia chce, żeby Agencja Badań Medycznych mogła wspierać zespoły naukowe grantami na innowacje. Dlatego w radzie agencji, oprócz ekspertów z Polski, mieliby znajdować się też uznani międzynarodowi naukowcy. Doradzaliby, które polskie projekty są warte dofinansowania. – Decydowałby o tym nie urzędnik, tylko rada złożona z międzynarodowych ekspertów. Marzy mi się finansowanie nie konkretnego projektu, tylko grupy badawczej, np. przez dwa–trzy lata, a po tym czasie prosimy o pokazanie efektów – mówił minister Szumowski. – Niedawno spotkaliśmy się z ekspertami z Cambridge. U nich jeśli eksperci zdecydują, że projekt jest wart finansowania, to zespół naukowy dostaje pieniądze na pięć lat. Potem musi pokazać efekty pracy. Jeśli ocena wypadnie pozytywnie, to zespół może dostać kolejne pieniądze; jeśli nie, to nie otrzyma kolejnego grantu – opowiadał dr Sierpiński.

Projekt ustawy o ABM jest po konsultacjach społecznych. Ministerstwo analizuje poprawki i chce, żeby agencja powstała już w przyszłym roku

Pomysł wsparcia polskich nauk medycznych ucieszył obecnych na debacie „Do Rzeczy" naukowców. – Badania kliniczne są bardzo drogie, dlatego zwykle naszą technologię i patent musimy sprzedać do innych krajów. Tracimy na tym jako Polska – mówił dr hab. Paweł Ptaszyński z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Podobnego zdania był dr hab. Krzysztof Marycz z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, który już otrzymywał wiele grantów, zarówno w Polsce, jak i za granicą. – Jako grupa naukowa często jesteśmy zmuszeni do sprzedania naszego know-how za granicę, gdyż w Polsce do tej pory nie było agencji, która wspierałaby finansowanie badań – mówił dr hab. Krzysztof Marycz. Jako przykład podawał prowadzone przez jego zespół badania nad wykorzystaniem terapii komórkami macierzystymi w ortopedii. – Dochodzimy do rozwiązania, które jest zaawansowane w skali światowej. Na konferencji w Lexington (USA) będziemy prezentować nasze nowinki materiałowe, którymi już interesują się amerykańskie koncerty farmaceutyczne. A my byśmy woleli pokazać to nie w Lexington, tylko w Warszawie, i produkować w Polsce – zaznaczył dr hab. Krzysztof Marycz.

Konieczność powstania Agencji Badań Medycznych podkreślał też Szymon Chrostowski z fundacji Wygrajmy Zdrowie. – W ubiegłym roku byłem na targach innowacyjności w Rzeszowie, widziałem wiele polskich start-upów projektujących nowoczesne technologie medyczne. Patenty są kupowane przez Chiny czy USA. Powinniśmy zatrzymać te start-upy w Polsce, to szansa dla polskiego przemysłu i polskich pacjentów – mówił Szymon Chrostowski.

Wojciech Wiśniewski z Fundacji Onkologicznej Alivia zwracał uwagę, że w ostatnich latach pojawia się wiele nowoczesnych technologii nielekowych, które też warto wprowadzać. Podał przykład aplikacji, która „wyłapuje" nieswoiste objawy nawrotu choroby u chorych na zaawansowanego raka płuca. – Efekty stosowania tej aplikacji pokazywano na ostatnim kongresie ASCO: pacjenci żyli o siedem miesięcy dłużej. Jej efekty są porównywalne do skuteczności wielu leków. Tak więc pole do niesponsorowanych badań klinicznych jest duże, również w e-zdrowiu – podkreślał Wojciech Wiśniewski.

NIE „CZY", TYLKO „KIEDY I JAK"

Projekt ustawy o ABM jest po konsultacjach społecznych. Ministerstwo analizuje poprawki i chce, żeby agencja powstała już w przyszłym roku. W 50 proc. byłaby finansowana z budżetu (na administrację, współpracę międzynarodową), a w drugiej połowie z NFZ (np. na niekomercyjne badania kliniczne). Minister Szumowski potwierdził też, że w kwestii wysokości zarobków w agencji (ta kwestia pojawiała się w doniesieniach medialnych) została już podjęta decyzja o ich obniżeniu. Tłumaczył jednak, że jeśli w Agencji mają pracować najlepsi specjaliści, również z zagranicy, to jej finansowanie powinno być atrakcyjne choćby po to, by zapobiec korupcji. – Zatrudniając międzynarodowych ekspertów, zyskujemy dostęp do ich prac, obiektywizm w ocenianiu projektów. Rośnie również ranga agencji, a polskim naukowcom będzie łatwiej przebić się z publikacjami naukowymi i z wdrożeniem technologii na światowe rynki – mówił minister Szumowski.

Eksperci zgodnie podkreślali, że taka agencja jak ABM powinna w Polsce funkcjonować już od wielu lat.

Szymon Chrostowski, fundacja Wygrajmy Razem:
– ABM umożliwi lepsze lokowanie środków finansowych. W Polsce nie możemy pozwolić sobie na marnowanie pieniędzy. Niekomercyjne badania kliniczne dają nadzieję przede wszystkim pacjentom z chorobami rzadkimi, którzy są „nieopłacalni" dla firm.

dr hab. Paweł Ptaszyński, Uniwersytet Medyczny w Łodzi:
– Pieniądze na zdrowie trzeba wydawać mądrze. Musimy zacząć budować własne kadry w nauce, zarządzaniu, tworzyć zespoły naukowe, które będą tworzyć innowacyjną medycynę. W Polsce można tworzyć innowacyjną medycynę, jednak potrzebuje ona wsparcia.

dr hab. Krzysztof Marycz, Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu:
– To, że powstaje Agencja Badań Medycznych, pokazuje, iż nastaje czas budowania innowacyjnej medycyny w Polsce. Ważne jest to, żeby nasze osiągnięcia naukowe pozostawały w kraju, a nie były sprzedawane wraz z patentami. Jest wiele nowoczesnych rozwiązań, które mogłyby trafić do polskiego pacjenta, potrzebują jednak wsparcia we wdrożeniu.

Wojciech Wiśniewski, Fundacja Onkologiczna Alivia:
– Niedawno dostałem informację, że matka czworga dzieci „doczekała się" nowotworu jajnika, bo nie mogła skorzystać z operacji profilaktycznej, mimo iż minister zdrowia już cztery miesiące temu wydał projekt rozporządzenia. Ważne jest, żeby zalecenia i rekomendacje szybciej przekładały się na politykę zdrowotną. Dlatego złożyliśmy wniosek, żeby ABM podlegała bezpośrednio prezesowi Rady Ministrów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c83a54b18

NASZ TEST: BMW 740e iPERFORMANCE

Samochodów elektrycznych i hybrydowych przybywa na rynku szybciej niż taśm ujawniających większe i mniejsze grzechy polityków. Testowany model to najoszczędniejsza limuzyna, którą jeździliśmy w ostatnich tygodniach. Na szczęście jest to auto nie tylko ekologiczne, lecz – po włączeniu trybu sport – także na tyle fajne w prowadzeniu, że pozwala zapomnieć, iż jedziemy hybrydą.

W KABINIE

W klasycznie wykończonym wnętrzu dominują skóra, drewno oraz aluminium. Dla osób podróżujących na wygodnych przednich fotelach przestrzeni jest wystarczająco dużo. Tylna kanapa, czyli miejsce dla prezesa i jego towarzyszki/towarzysza, to samochodowa klasa biznes. Jest sporo przestrzeni na nogi i nad głową, a także stosowne zasłony, które zapewniają odpowiedni poziom dyskrecji w pełnym kamer świecie.

Dzięki temu, że akumulator umieszczono pod tylną kanapą, kufer ma 420 l pojemności. Nie jest to zabójczo dużo, ale wystarcza, aby zapakować kilka walizek.

Wyświetlacz przezierny HUD jest niezwykle wyraźny. Również ekran ciekłokrystaliczny o przekątnej 10,3 cala prezentuje się bardzo dobrze. Drobny minus trzeba jednak postawić za system obsługi multimediów, który powinien być bardziej intuicyjny i przyjaźniejszy w obsłudze podczas jazdy (kontrola głośności za pomocą gestów to fajny bajer na pierwszą randkę, ale w normalnych warunkach wygodniej jest użyć tradycyjnego pokrętła).

JAZDA

Pod maską testowanej limuzyny znajduje się potężny, choć zaledwie dwulitrowy silnik benzynowy. W połączeniu z jednostką elektryczną do dyspozycji jest w sumie nieco ponad 320 KM. Pozwala to rozpędzić dużą limuzynę od 0 do 100 km/godz. w zaledwie 5,3 s.

W trybie sport bez trudu wystrzelimy zatem na zielonym niczym rakieta. A gdy nie potrzeba wielkiej mocy, dzięki elektrycznej jednostce można podróżować autem po miejskich ulicach niemalże bezgłośnie. W pięknym marketingowym świecie zasięg tego modelu przy całkowicie naładowanym akumulatorze wynosi ponad 45 km – w realnym świecie to ok. 30 km. Też nie najgorzej. A ponieważ jest to hybryda plug-in, to akumulator można podładować nie tylko dzięki odzyskiwaniu energii z hamowania, lecz także w dowolnym gniazdku elektrycznym. W razie potrzeby silnik benzynowy załącza się bez zbędnej zwłoki, więc błyskawicznie można wrócić do dynamicznej jazdy.

W sumie zużycie paliwa podczas testu w cyklu mieszanym wyniosło ok. 6 l/100 km. To niezły wynik, choć nie tak dobry, jak chwalą się marketingowcy z BMW (2,3 l/100 km). Oczywiście tę statystykę można poprawić, jeśli podróż będzie bardzo krótka, a wyruszymy w nią z naładowanym do pełna akumulatorem.

Poza tym limuzyna z napędem na obie osie bardzo dobrze trzyma się drogi. Na pochwałę zasługuje również ośmiobiegowa skrzynia automatyczna, która sprawnie odgaduje zamiary kierowcy. Kabina jest dobrze wyciszona.

Szkoda tylko, że dźwięk, który dociera z silnika po przyciśnięciu gazu do dechy, jest o wiele mniej rasowy niż w przypadku jednostek sześcio- czy ośmiocylindrowych.

Z kolei zawieszenie zostało tak zestrojone, że jeździ się komfortowo, a jednocześnie bez trudu dynamicznie pokonuje serpentyny. Układ kierowniczy jest całkiem precyzyjny.

BEZPIECZEŃSTWO

Elektroniczni asystenci potrafią samodzielnie utrzymywać auto w pasie ruchu, ostrzegają przed samochodami w martwej strefie lusterek, a w razie ryzyka kolizji limuzyna autonomicznie uruchomi hamulce.

CENA

Limuzyna 740e z automatyczną skrzynią bez łopatek zmiany biegów kosztuje 462,3 tys. zł, a z łopatkami 463,2 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A8, Hyundai Genesis G90, Lexus LS, Maserati Quattroporte, Mercedes-Benz klasa S, Porsche Panamera, Volvo S90 ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2c83a54b18

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Straszny Józef

Józef Gabriel Stempkowski herbu Suchekomnaty, zmarły w 1793 r. (daty narodzin nie znamy), zasłynął przede wszystkim jako pogromca hajdamaków i zbuntowanych chłopów. Człowiek, który skutecznie i brutalnie, aczkolwiek we współpracy z wojskiem rosyjskim, stłumił koliszczyznę – plebejski bunt, jaki wybuchł na Ukrainie Naddnieprzańskiej w 1768 r., prawdopodobnie z inspiracji moskiewskiej. Przywódca buntowników Maksym Żeleźniak powoływał się bowiem na rzekomą „Złotą Hramotę", w której caryca Katarzyna miała nakazywać wypędzenie z Ukrainy Lachów, Żydów i księży unickich. Późną wiosną wyruszył z oddziałem Kozaków z Monasteru Motronińskiego nad Dnieprem, atakując dwory i miasta, mordując szlachtę, Żydów i księży. Jednym z najtragiczniejszych wydarzeń związanych z buntem była rzeź Humania, dokonana w wyniku zdrady setnika milicji dworskiej Potockich Iwana Gonty, który przyłączył się do powstańców.

Stempkowski, wsławiony okrutnymi represjami, znany był wśród ukraińskich chłopów jako „Straszny Józef", a Kodnia, w której męczył, wbijał na pale i torturował schwytanych, doczekała się nawet hajdamackiego przekleństwa: „Szczob tebe swiata Kodnia ne mynuła!". Bohater sprawował w 1768 r. urząd oboźnego koronnego, był współpracownikiem i podkomendnym przyszłego zdrajcy Franciszka Ksawerego Branickiego, pod którego komendą walczył z Kozakami pod Szarogrodem. Według niektórych przekazów to właśnie on stał się wykonawcą egzekucji na Iwanie Goncie w lipcu 1768 r., z którego zdarto skórę i którego poćwiartowano żywcem. Od grudnia zastępował Branickiego i dowodząc oddziałem liczącym ok. tysiąca żołnierzy,

FOT. WIKIPEDIA

zaprowadził pokój na terytorium Ukrainy; rozbił skutecznie watahy chłopsko-kozackie napadające na dwory i miasteczka.

Na początku 1769 r. założył wspomniany obóz w Kodni koło Żytomierza, skąd wyprawiał się przeciwko buntownikom. Sprowadzano tam schwytanych żywcem chłopów i hajdamaków, wymierzając tak okrutne kary, że w końcu – jak pisze Władysław Konopczyński – sami dziedzice prosili „Strasznego Józefa" o pomiłowanie, inaczej zostaliby zupełnie bez poddanych. W 1769 r. Stempkowski rozbił pod Zwinogródką, Litniówką i Olchowcem oddziały kozackie dowodzone przez Tymenkę, Panczenkę i Żurbę. Na zakończenie powstania wydał uniwersał, opublikowany drukiem i ogłaszany w kościołach, w którym nakazywał ludności wywiązywanie się z powinności, posłuszeństwo duchownym i dziedzicom, grożąc opornym surowymi karami.

Działalność Stempkowskiego napotykała trudności, równocześnie bowiem szalała w Rzeczypospolitej konfederacja barska, a oddziały rosyjskie wkraczały na tereny Korony i Litwy, aby zwalczać powstańców. Regimentarz popierał jednak obecność wojsk carskich, w 1770 r. przywiózł do Warszawy memoriał, w którym pisał, że jeśli armia rosyjska wyjdzie z granic państwa, to bunt chłopski wybuchnie na nowo. Jednocześnie wysyłał do Branickiego i króla liczne skargi na działalność Moskali. W 1770 r., po pojawieniu się na Ukrainie zarazy, wycofał się pod Mozyr, wrócił dopiero na wiosnę kolejnego roku i ostatecznie rozprawił się z buntem, stając się posłusznym wykonawcą woli króla.

Ostatecznie w 1772 r. został za to kasztelanem kijowskim, otrzymał Order Orła Białego, a za kolejne zasługi mianowano go w końcu generałem-lejtnantem. Wszystkie te godności jednak sprzedał, umierał bowiem zrujnowany, zadłużony i odsunięty od władzy. Jedną z przyczyn bankructwa było wystawienie okazałego pałacu w Łabuniu na Wołyniu, który musiał opuścić po bankructwie, chroniąc się przed wierzycielami w Warszawie.

Według pamiętnikarzy „Straszny Józef" nosił się po polsku, podgalał czuprynę, „bawił się dykteryjkami" jak wszyscy ostatni Sarmaci. Otaczał się liczną służbą, a na koźle jego karety jechało zawsze dwóch chłopów do nabijania fajki, którą palił przez całe życie. Jako okrutnik przeszedł do literatury. Jest bohaterem opowiastek Antoniego Rollego, Eustachego Iwanowskiego i Józefa Karwickiego. Juliusz Słowacki przedstawił go w „Śnie srebrnym Salomei" jako regimentarza, a Józef Korzeniowski w powieści „Pan Stolnikowicz Wołyński". Franciszek Smuglewicz sportretował Stempkowskiego na obrazie „Sesja Trybunału Lubelskiego pod laską Kajetana Olizara w przytomności króla Stanisława Augusta", a Jan Matejko uwiecznił w dziele „Konstytucja 3 maja, Sejm Czteroletni, Komisja Edukacyjna, Rozbiór". ©℗

eprasa.pl 2c83a54b18

KOTLET PREZESA

Popularność na panią Halinkę, kucharkę z ponad 30-letnim stażem, spadła dość niespodziewanie, gdy pewnego dnia porozmawiali z nią reporterzy „Super Expressu", a jakiś czas później w gazecie poszło jej zdjęcie w artykule pt. „To ja tłukę kotlety dla prezesa". Dziennikarze spytali o przepis, a pani Halinka szczerze przyznała, że w jej schabowych nie ma nic nadzwyczajnego. „Każdy jest taki sam" – zapewniała. Niezależnie, czy zje go taksówkarz, budowlaniec, pracownik korporacji czy sam prezes Jarosław Kaczyński. „Kroję, rozbijam mięso, przyprawiam, panieruję i kładę na patelnię" – wyjaśniała w „SE".

W małym barze w centrum Warszawy, w którym pracuje pani Halinka, „kotlet prezesa" od kilku dni jest obiektem rozmów i żartów. Kiedy my zaglądamy do Farszem Nadziane, właśnie jeden z klientów rozmawia z właścicielem restauracji o prezesowskim zestawie. Dwóch panów z pobliskiej budowy siedzących stolik dalej też plotkuje o tym, że stołuje się w tym miejscu Kaczyński. Nie możemy zamówić niczego innego, bierzemy prezesowski zestaw – schabowy, ziemniaki posypane koperkiem, kapusta zasmażana. Z zup – żurek lub ogórkowa. Czy może być bardziej swojsko? No, może brakowało tego dnia rosołu.

– Prezes nie jest nastolatkiem, nie dziwię się, że od pizzy czy kebaba woli domowe smaki – mówi właściciel Farszem Nadziane. – Chociaż trochę sprawę przejaskrawiono. Oczywiście nie jest tak, że codziennie zjada schabowego, proszę mi wierzyć, że jego jadłospis jest dużo bogatszy, często np. wybiera ryby – dodaje.

Jarosław Kaczyński nie bywa tu osobiście. Na miejscu jadają m.in. jego ochroniarze, dla prezesa zawsze porcja na wynos. – Pakujemy w „styropian" – wyznaje właściciel. Ale na pewno na miejscu przekładają prezesowi porcję na normalny talerz.

A sekret sławnego kotleta w zestawie za niecałe 20 zł? – Świeże mięso. Pracujemy w małym lokalu, nie ma tu dużej chłodni, codziennie robię zakupy. Pani Halinka, która naprawdę z pasją od ponad 30 lat wykonuje swoją pracę, bardzo dba o to, żeby wszystko było świeże, a i ja wiem, że to podstawa sukcesu w tej branży. Schabowe smażymy na prawdziwym smalcu. Aby panierka była jeszcze smaczniejsza, radzę trzeć suche bułki, zamiast kupować gotową bułkę tartą – wyjaśnia właściciel Farszem Nadziane.

Czy schabowy zrobi w środowisku politycznym taką karierę jak przed laty bułka z bananem – posiłek Adama Małysza – wśród skoczków? Opozycjonistów w Farszem… jeszcze nie widziano. Może też biorą na wynos, a może wiedzą, że choćby zjedli tysiąc kotletów… ©℗ *(raw)*

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ogórkowa rewelacja

Rodzina pokarmów „healthy" ma nowego członka. W Stanach Zjednoczonych oczywiście, tam pęd do zdrowotności jest najsilniejszy. Tym razem przybyszem jest sok z ogórków konserwowych.

Strona internetowa magazynu „Forbes" poświęca mu tekst, w którym analizuje prace naukowe poświadczające jego dobroczynne właściwości. A zatem sok ma być bogaty w przeciwutleniacze, kontrolować poziom cukru we krwi, przynosić ulgę cierpiącym na skurcze. Niektóre marki amerykańskie (Pickle Juice Company) posunęły się nawet do tego, żeby napój skomercjalizować jako środek łagodzący stan po intensywnym wysiłku sportowym. U nas sok z ogórków, i to nie konserwowych, tylko kiszonych, znany jest od dawna, ale figuruje w kategorii „dobre rady babci" oraz jako podstawa zupy ogórkowej, a nie odkrycie nauki. Jednak zważywszy na skłonność do bezkrytycznej wiary w to, co powiedzą panowie ze Stanfordu/Berkeley/Cambridge/Oxfordu, jest szansa, że i my podążymy za ich odkryciami. Przecież uwierzyliśmy w jarmuż.

FOT. FOTOLIA

Amerykańskie rewelacje poddane zostały krytycznej ocenie naukowców francuskich, o czym pisze dziennik „Le Figaro". Specjalistka żywieniowiec, dr Corinne Chicheportiche-Ayache, stwierdza jedynie, że sok ogórkowy zawiera dużo soli, która, zatrzymując wodę w organizmie, może zapobiec odwodnieniu. Stąd jednak jeszcze daleko do zapobiegania skurczom. Lekarz sportowy Frédéric Maton wątpliwości potwierdza: – Jeśli biega się przez godzinę, należy wypić litr wody, a nie słonego wyciągu z ogórków.

Podobnie jest z działaniem na mdłość i niestrawność, co zostało nagłośnione przez portal Delish. Nie zostało to naukowo uzasadnione – tłumaczy doktor Chicheportiche-Ayache. Francuzi kwestionują też zdolności przeciwutleniające soku.

Jedynie zdolność ogórkowego eliksiru do kontrolowania poziomu cukru we krwi została potwierdzona naukowo. Sprawia to głównie ocet, który zwiększa wrażliwość na insulinę, a ta z kolei obniża poziom cukru we krwi. Potwierdziło to badanie greckich naukowców ogłoszone w 2015 r. na portalu Journal of Diabetes Research.

Mleko kiedyś było dobre, potem złe, jajka zabijały, ale przestały, teraz na cenzurowanym jest nabiał. Na liście prohibitów na razie nie ma roślin, choć niektórzy twierdzą, że wegeproblem, związany z masową uprawą modnych w zachodnim świecie warzyw i zbóż, powoduje deforestację i nędzę w krajach Trzeciego Świata.

Na razie kapusta i ogórki pozostają bez oskarżeń. Ogórki bez soku zwłaszcza. ©℗

eprasa.pl 2c83a54b18

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Jak raper z prezydentem

MARCIN MAKOWSKI: Donald Trump gościł niedawno w Gabinecie Owalnym prezydenta Andrzeja Dudę, tym razem uwagę światowych mediów przykuł jednak nie kolejny polityk, lecz... Kanye West. Były uściski, dyskusje o przyszłości Ameryki, padło kilka przekleństw i przedziwnych monologów rapera. Kwintesencja amerykańskiej popkultury czy coś więcej?

MATTHEW TYRMAND: Oczywiście można to spotkanie wyśmiać, tak jak zrobiły to liberalne media, ale tylko ślepy nie dostrzeże, że mówimy o czymś więcej niż o pogawędkach muzyka z politykiem. Ta dyskusja w Białym Domu pokazuje zmianę tradycyjnego podziału sił w kulturze popularnej i demografii, przynajmniej jeśli chodzi o wyborców Trumpa i republikanów. Kanye West to facet na szczycie hollywoodzkiej hierarchii, jeżeli chodzi o styl, popularność i talent – i właśnie ktoś taki, co kilka lat temu wydawało się niemożliwe, ściska Trumpa, cały dzień paradując w czerwonej czapce MAGA. Jeśli jednak usunie się z ich rozmowy celebrycką otoczkę, to zostanie coś ważniejszego. Skupienie się na temacie ekonomii oraz tworzenia miejsc pracy. To dla Kanye'a sprawa osobista, ponieważ od dłuższego czasu działa aktywnie na rzecz Afroamerykanów bez szans na awans społeczny, żyjących na przedmieściach dużych miast. Sam przecież pochodzi z ubogiej rodziny z Chicago, gdzie wychowywał się bez ojca. Retoryka, którą posługiwał się tego dnia, odzwierciedlała republikański mainstream, według którego jedynie praca i tworzenie szans rozwoju – a nie rozbudowana opieka społeczna – mogą pomóc wyjść z błędnego koła biedy, przemocy i narkomanii.

OK, to brzmi jak akademicki wykład, ale jednak spotkanie przebiegało w bardzo luźnej atmosferze. Padły m.in. oskarżenia o to, że demokraci tworzą czarnoskórym nowe „plantacje" pomocy społecznej i utrzymują w ryzach ludzi takich jak Kanye West, szantażując ich oskarżeniami o współpracę z rasistowskim Trumpem.

To prawda, West używał momentami reakcyjnego języka, ale on nie musi uważać na każde słowo, bo to nie jego praca. W istocie chodziło mu o analogię pomiędzy plantacjami bawełny i uzależnieniem czarnych niewolników od białych „panów" a dzisiejszym systemem „sprawiedliwości społecznej", zasiłków, rozleniwiania mniejszości i wasalizowania jej, pod płaszczykiem progresywizmu. Oczywiście słysząc to wszystko, Hollywood poszedł na wojnę z raperem, oskarżając go o zdradę interesów rasowych, chorobę psychiczną, koniunkturalizm i całe zło tego świata. Albo mówisz tak jak oni, albo jesteś nienormalny – proste. Równocześnie te same środowiska milczą, gdy okazuje się, że Elizabeth Warren – demokratyczna senator z Massachusetts – przez lata kłamała odnośnie do swojego pochodzenia, pozorując indiańskie korzenie i kryjąc się za zasłoną walki o prawa mniejszości etnicznych. Milczą również, gdy ich politycy wzywają do przemocy wobec Trumpa, a inni „poprawni" raperzy nagrywają teledyski w studiu udającym Biały Dom, a jako striptizerka tańczy kobieta celowo podobna do Melanii Trump. To oczywiście nie przeszkadza, ale walczą jak o niepodległość, gdy ktoś, kogo uważali za swojego, powie kilka dobrych słów o Trumpie.

Z drugiej strony na rynku celebryckim obóz prezydencki otrzymał silny cios od piosenkarki country Taylor Swift, która przyznała, że jednak głosuje na demokratów. Prawdziwe starcie tytanów.

Akurat w tym przypadku nie widzę żadnej rewolucji kopernikańskiej. Przyznanie się przez kolejną gwiazdę do tego, że woli mainstream, nie ma takiego wpływu i wagi jak wyłamanie się z tego obozu, co wymaga nieporównywalnie więcej odwagi. Nie wiem, komu pomogła deklaracja Swift, ale moim zdaniem nie odwróci już trendu, o którym wspominałem, czyli wygranej republikanów zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i w senacie, gdzie moim zdaniem jest szansa nawet na 59 miejsc. James O'Keefe przeprowadził na tym odcinku razem z Project Veritas serię „odsłaniania kulis" kampanii kandydatów demokratycznych, co nie skończyło się dla nich wzrostem poparcia. Wiem, że wiele osób w USA w to nie wierzy, ale ja jestem niemal pewny, że wybory środka kadencji to będzie sukces. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 2c83a54b18

OKIEM JASTRZĘBIA

Przyaktorzył. Przepraszam państwa

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Mnie się wydaje, że wiesz, że to był taki odruch. On go k… kopał z trzy razy, nie? I on, k…, wiesz, odruchowo machnął ręką, trafił go, k…, ręką, ten PRZYAKTORZYŁ… – to słynne słowa Radosława Majdana, które wypowiedział na żywo przed kamerami, trzymając mikrofon Canal Plus w ręku, a myślał, że nie jest na żywo, i poszło w świat. Majdan usłyszał w słuchawce, że właśnie został przez świat dostrzeżony ze swoim prawdziwym swobodnym językiem, ale wyszedł z tego obronną ręką, a precyzyjniej z szelmowskim uśmiechem: „A, to przepraszam państwa". Przy czym pragnę zwrócić państwa uwagę na piękne słowo „przyaktorzyć". Ono szalenie jest popularne w piłce nożnej. Wręcz urosło do rangi sztuki, a piłkarze Italii zostali przyłapani oraz nagrani, jak ćwiczyli się w tej sztuce. Ćwiczenie polegało na przekonującym aktorskim symulowaniu faulu czy uderzenia, kiedy do żadnego faulu nie doszło. Zdezorientowany sędzia często dawał się nabrać, a przyaktorzenie mogło zdecydować o wyniku spotkania.

Lisa niepotrzebnie tu wsadziłem, przepraszam

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Dlaczego mi się to teraz przypomniało? Ponieważ obserwowałem z bliska na żywo naszego świeżego trenera reprezentacji piłki kopanej Brzęczka Jerzego. Widziałem jego PRZYAKTORZENIA w trakcie meczu. Jak on to wszystko na pokaz przeżywał, dochodził do linii, łapał się za głowę, no normalnie grał, choć nie w piłkę. Udawał tak, aż pomyślałem sobie: „Chłopie, poukładaj to najpierw piłkarzom, bo niepoukładane jest wszystko, a potem weź sobie i sobie przyaktorz albo coś".

Oczywiście powie mi ktoś, że na przykład taki Diego Simeone to dopiero potrafi przyaktorzyć. Na przykład po tym, jak jeden z jego zawodników dostał czerwoną kartkę w meczu Arsenal–Atlético, tak długo wyzywał sędziego, machając rękoma z wielką dynamiką, aż miło było popatrzeć! Usunięto go z boiska na trybuny. Ba! W uznaniu zasług wywrzaskiwania i machania wybitny trener rewanżowy mecz w półfinale Ligi Mistrzów też musiał oglądać z trybun.

Co klasa, to jednak klasa. Kto nie rozumie prostej różnicy między Brzęczkiem a Simeone, ten zapewne nie zrozumie nawet subtelności kultowego dialogu Maklakiewicza z Himilsbachem: „Jakie masz plany na jesień?", „Pić będę!", „Przecież taki sam plan miałeś na lato?", „O czym ja mam rozmawiać z człowiekiem, który nie odróżnia wesołego letniego picia od jesiennego depresyjnego pijaństwa?".

No właśnie, o czym tu rozmawiać z nierozróżniaczami? O trenerze, który się skończył, zanim się zaczął? A byli tacy, którzy myśleli, że po Nawałce to już gorzej być nie może…

W naszej bieżącej polityce przedwyborczej też sporo było przyaktorzeń. Oprócz tradycyjnego okładania się taśmami trwała też prosta i radosna (nie dla wszystkich) gra aktorska w „Ty bardziej jesteś faszystą, nazistą". Te nieskomplikowane harce polegają w uproszczeniu na tym, że wysłuchuje się oponenta albo obserwuje i zarzuca mu się faszyzm z jakiegoś tam powodu. Najczęściej powód jest totalnie bzdurny, ale nie to jest ważne, trzeba przy tym przyaktorzyć jak Brzęczek na przykład. Niezwykle ważne jest oburzenie. Trzeba je trenować jak Włosi udawanie fauli. Sędziowie – wyborcy – mogą dać się nabrać. Trzeba rozdzierać szaty i wykrzykiwać, że tam na przykład pochodnie to faszyści albo reflektory to naziści, albo że porównanie oponenta do świata zwierząt to Goebbels, bo to odhumanizowanie przeciwnika (a jakby tak porównać nie do sowy, to faszyzm? A do lisa? To faszyzm? Lisa niepotrzebnie tu wsadziłem, przepraszam).

Uważam, że rola „przyaktorzenia" jest zdecydowanie niedoceniana w naszym życiu sportowym, politycznym, społecznym i domowym. Kto wie, czy nie przyaktorzę o tym książki? A Radosławowi Majdanowi, k…, dziękuję za inspirację. ©℗

eprasa.pl 2c83a54b18

OKIEM BLOGERKI

Marsz wysokiego ryzyka

KATARYNA

JAROSŁAW KACZYŃSKI: ***Chcemy jednego wspólnego wielkiego marszu, gdzie będą wszyscy, którzy tę polską niepodległość sobie cenią. Gdyby 11 listopada był dniem zawieszenia broni, choć to niewłaściwa nazwa, to byłoby świetnie. Może byłby to taki punkt odbicia, żeby ta wojna łagodniała.***

Dzień po wypuszczeniu przez PiS wyjątkowo obrzydliwego, nawet jak na standardy kampanijne, spotu wyborczego – mam oczywiście na myśli spot „uchodźczy" – prezes podzielił się z opinią publiczną marzeniem o wspólnym świętowaniu wszystkich ze wszystkimi ledwie tydzień po zakończeniu wyjątkowo brutalnej i brudnej kampanii wyborczej. Ponieważ we wcześniejszych wypowiedziach prezes mówił nawet, że widzi siebie maszerującego wspólnie z Donaldem Tuskiem, zakładam, że może nawet w to wierzyć. Cóż, chyba on jeden. Wspólnego maszerowania ze „zdrajcą" nie wyobrażają sobie raczej inni politycy PiS, a z pewnością nie wyobraża go sobie twardy elektorat, który jeszcze lekko się trzęsie z oburzenia, że w Lublinie policja potraktowała chuliganów tak, jak na to zasłużyli, zamiast im odpuścić, bo przecież to własny elektorat. „W polityce nie bije się swoich, nawet jeśli są chuliganami" – komentował pewien bloger i sądząc po reakcjach w Internecie, nie jest w swoich oczekiwaniach odosobniony. I tak jak w polityce nie bije się swoich, nawet jeśli są chuliganami, tak nie maszeruje się z obcymi, nawet jeśli jest święto. Myślę, że wspólnego marszu ze „zdrajcą" Tuskiem elektorat by prezesowi nie wybaczył.

Na szczęście dla PiS nie zanosi się na to, żeby ktokolwiek chciał swoją obecnością zakłócić obchody, bo wobec niemożności zorganizowania godnych państwowych uroczystości ponad partyjnymi podziałami politycy partii rządzącej, z prezydentem, premierem i prezesem na czele, najpewniej dołączą do Marszu Niepodległości, a tam się raczej nikt z nimi nie wybierze po doświadczeniach poprzednich lat. Nie wiem też, czy politycy partii rządzącej dobrze przemyśleli ryzyko, jakie ponoszą, uświetniając swoją obecnością marsz i niejako legitymując wszystkie hasła, jakie mogą się na nim pojawić. Nie sądzę, żeby organizatorzy marszu, reprezentujący środowiska wściekłe na PiS nie tylko za Lublin, lecz także za przyjmowanie imigrantów zarobkowych, ułatwili władzy kontrolowanie tego, co się będzie działo, na przykład w porę usuwając ewentualne „niegrzeczne" transparenty. Nie da się przewidzieć, jakie hasła padną na marszu, ale jest więcej niż pewne, że jeśli pojawią się niestosowne, to rządowi będzie bardzo trudno się od nich odciąć. Ryzyko wizerunkowe dołączenia najwyższych władz do marszu o tak burzliwej historii jest nie do przecenienia, wyobrażam sobie, jakie negocjacje się teraz toczą między organizatorami marszu a władzami, żeby nie było wpadek. A łatwo nie będzie. W mediach społecznościowych organizuje się właśnie „Tęczowa ekipa na Marszu Niepodległości", która planuje pójść w marszu. „Idziemy tam po to, żeby pokazać, że jesteśmy inni, ale nie znaczy, że nie kochamy Polski. Idziemy, by pokazać, jak można ją kochać bez ksenofobii czy nienawiści". Prowokacja? Nawet jeśli, to przecież prezydent, premier i prezes sami zapraszali do wspólnego świętowania. Tylko jak takich nieproszonych gości zniosą „prawowici właściciele" marszu? Trochę się boję. ©℗

PODSŁUCHANE

Wniosek widmo

Zbyszek, ty sobie jaja jakieś robisz z tym swoim wnioskiem do trybunału?
– Ja jaja? Mateusz, usiądź, uspokój się, wody ci podam.

Ty mnie wodą nie będziesz uspokajał!
To może łyskacza?
Mam tutaj w biurku, bardzo dobry...

Przestań rżnąć głupa! Była umowa, że mnie o wszystkich takich sprawach informujesz! A tu Julia dzwoni roztrzęsiona, że dostała taki wniosek od ciebie i co ona ma zrobić.
I co jej powiedziałeś?

A co jej miałem powiedzieć?! Czy ja jestem jakimś konstytucjonalistą?! Ja się na Excelu znam.
Ale ja cię przecież informowałem, że będę ten wniosek składać.

To chyba przez gołębia pocztowego, bo nic nie dostałem.
– No jak to? We wrześniu, na posiedzeniu rządu.

Co ty mi wmawiasz? Nic takiego nie było!
– Ale jak nie było, jak było? Ja tu mam wszystko dokładnie w tym notesie zapisane, minuta po minucie, daj mi moment... O, tutaj jest, proszę bardzo: 11 września, 10.23, w drzwiach do toalety się minęliśmy i wtedy ci mówiłem. No fakt, woda leciała, może nie usłyszałeś. Ale to już nie moja wina. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS reprezentuje moralne dno: narodowo-katolickie antychrześcijaństwo".

LESZEK BALCEROWICZ,
polityk i ekonomista, na Twitterze

eprasa.pl 2c83a54b18

Krętacze

fot. Jerzy Gumowski

Jakże ten czas zasuwa! Ani się obejrzeliśmy, a mijają już dwa lata (z hakiem) od uprzednich gwałtownych erupcji salonowego szału w sprawach sądowniczych (wówczas burdy te nie tyczyły jeszcze Sądu Najwyższego, lecz Trybunału Konstytucyjnego) — od tamtych burzliwych demonstracji przed gmachem Sejmu, tłumnych marszów Traktem Królewskim i Wiejską, rozdzierania szat, biadolenia do kamer i mikrofonów, że PiS gubi Polskę sądowniczo, gospodarczo i kulturowo, a także nieustannego werbowania znajomków i sąsiadów, by wsparli obywatelski sprzeciw przeciwko złej zmianie nazywanej *„dobrą zmianą”*, jak u satyryka Mariana Józefowicza:

„Ryba rzecze:
«Słuchaj raku... w rzece
coś się psuje.
Jakieś szuje
opanowały rzeki koryto,
niby to
pod naprawy pretekstem»”.

Salonowy glob, obserwując uważnie *„cały ten zgiełk”*, klaskał i pił szampana. Zachodnich lewaków (*„liberałów”*) cieszyły nocne widoczki gromad trzymających na placu świece symbolizujące opór przeciwko totalitarnemu reżimowi *„Prezesa”*. Kamery pokazywały tym zachodnim telewidzom nobliwe twarze głównie starszych ludzi zatroskanych o los swej ojczyzny, lecz nie informowały, że są to w dużej mierze familianci (dzieci, wnuki, kuzyni, itp.) byłych esbeków, członków nomenklatury partyjnej tudzież aparatczyków niższego szczebla PZPR, plus (ci trochę młodsi) grona beneficjentów rządu PO–PSL odsunięte od koryta urną wyborczą. I że ten rozpaczliwy protest wypływa z samego serca owej czeredy, skrwawionego obniżeniem *„resortowych”* emerytur ku poziomowi emerytur ofiar resortu *„bezpieczeństwa”*, a także faktem częściowego zdyscyplinowania postbolszewickiej mafii sędziowskiej całkowicie niezawisłej od sprawiedliwości. Wśród owych żarliwych demonstrantów nie brakowało też — rzecz jasna — zwykłych *„pożytecznych idiotów”*: uwiedzionych anarchistycznym protest–songiem półinteligentów, którzy maszerowali/skandowali razem z dywersantami. Nasz satyryk znowu to opisał:

„Papugi, jako plemię głupie,
szły w kupie,
bezładnie, wykrzykując groźnie
bezbożnie”.

Stymulowali ten antypisowski *„taniec św. Wita”* różni Tuskowi nie tyle współpracownicy ile współsprawcy, oraz wpływowi cudzoziemcy: szefowie państw zachodnioeuropejskich i figury brukselskie, którym nic nie przeszkadzało, że w ich krajach obowiązują te same reguły (choćby wpływ instancji politycznych na sądowe regulacje i składy czołowych trybunałów), jakie uznali za skandaliczne w pisowskiej III RP. Szczególnie cieszyło wówczas rodzimy Salon wsparcie mocarza zza oceanu: Barack Obama zjechał do Polski na szczyt NATO i stojąc przy mównicy obok prezydenta Andrzeja Dudy strofował polskie władze, by nie igrały z demokracją, by uporządkowały swoje konstytucyjne i jurysdykcyjne problemy, co stanowiło wyraźną aluzję wobec trwających wstrząśnień Trybunału Konstytucyjnego, zainicjowanych, o czym prezydent nie wiedział (?), przez rząd PO–PSL karygodnie wczesnym (bezprawnym) wyborem kilku *„własnych”* sędziów. Dokładnie w tym samym czasie kiedy Murzyn nas beształ i pouczał (8–VII–2016) — na ulicach miast amerykańskich Murzyni rozstrzeliwali snajpersko *„białasów”* (pięć mundurowych trupów, wielu rannych), bo dzień wcześniej policja zastrzeliła dwóch *„czarnuchów”* przestępców, deputowani do Izby Reprezentantów z partii Demokratycznej, łamiąc konstytucję, okupowali salę obrad Izby i tym uniemożliwiali parlamentowi funkcjonowanie, **„New York Times”** publikował dramatyczny artykuł o upadku amerykańskiej demokracji na skutek kompletnej dysfunkcyjności trójkąta: władza ustawodawcza–wykonawcza–sądownicza, które nie chcą współpracować ze sobą, i trwał (od czterech już miesięcy) obstrukcyjny pat pomiędzy Kongresem tudzież Senatem a Białym Domem tyczący uzupełnienia składu Sądu Najwyższego, który zresztą, w niepełnym składzie, orzekł właśnie niekonstytucyjność (czyli niedemokratyczność) kolejnego rozporządzenia Obamy (proimigranckiego). Ale według tego pana to my mieliśmy akurat kłopoty z demokracją.

Antoni Malczewski (XIX w.):
„W welon Cnoty
stroi się
Obłuda”

Że je wciąż mamy przekonują bez ustanku salonowe media priwiślińskie, od TVN–u po lewackowaty (na skutek lewizny i wacka) organ **„Lisweek”** czy nomen omen **„GW”**. Kierujący tą gazetą dla Michnika red. Jarosław Kurski nazwał pisowskie rządy *„władzą triumfującego bezwstydu”*, przez którą został *„obrabowany z własnego życia”*. Obrabowane z własnego życia zostały też liczne polskie aktorki szalejące. Stąd zgryw, że docent Alfons Apic, członek Akademii Medycznej, ogłosił na ich temat dwutomową rozprawę diagnostyczną pt. **„Taki mamy klimakt. Dlaczego starzejące się polskie aktorki odreagowują swe frustracje hormonalne agresywnym prosalonowym zaangażowaniem politycznym”** (2017). Natomiast wśród aktorów dominuje klimakterium Stuhrów.

Jest oczywiście sprawą wielce ciekawą, że antypisowska opozycja ma między swymi ulicznymi oraz internetowymi bojowcami sporą grupę zwyczajnych kryminalistów (jak choćby Jerzy Nasierowski, roku 1973 skazany na 25 lat za współudział w morderstwie, czy Konrad Materna, lider KOD–Kapeli, roku 2017 skazany na prawie 7–letnią odsiadkę za handel żeńskim *„żywym towarem”*) bądź żulów (jak ci, co napadają biura poselskie PiS–u, czy jak brutalny łamignat Franciszek Jagielski) — lecz generalnie czołówkę antypisowskich frontmenów stanowią celebryci i salonowe *„autorytety moralne”*, grono tfurców i yntelektualystów chowu politpoprawnego. Dla braku miejsca zacytuję po jednej figurze z każdej płci. Pisarka Manuela Gretkowska (ksywa *„Dwie Łechtaczki”*): *„To, co się odbywa w Polsce, to bezwstydny patos etosu kutasa (...), sarmackie erekcje idiotyzmu (...) na viagrze faszyzmu”*. Spośród panów, zamiast Cezarego Michalskiego (eksmęża Gretkowskiej), przytaczam Marcina Króla, który jest prezentowany jako *„filozof i historyk idei”*. Justynie Pochanke wyznał, że PiS to *„całościowe uosobienie zła”* i sformułował bardzo oryginalną ze scjentycznego punktu widzenia diagnozę systemu wybierania władz przez głosujące społeczeństwo: *„ — W Polsce nie ma już demokracji. Jest tyrania większości”*. Tego samego dnia uradowana burmistrz HGW rozkolportowała jego oksymoronowy sąd na Twitterze, by opozycyjny kabaret mógł szerzej zamieniać się w lazaret czubków.

„Tyrania większości” nie pretenduje u salonowców do bycia jedynią tyranią gnębiącą dzisiaj RP. Drugą stanowi — według *„Totalopposition”* — tyrania katolickiego Kościoła. Stąd film **„Kler”** budzi euforię Salonu. Aby wszystko było jasne: uważam, że jakkolwiek produkt Smarzowskiego cuchnie złą intencją i tendencyjnością, to jednak polski kler (światowy również, vide serial **„Młody papież”**) na takie biczowanie zasłużył, gdyż mocno grzeszni *„duchowni”* nie są w Kościele *„wyjątkami potwierdzającymi regułę”*, tylko dużą częścią Kościoła, zaś pedofilia księży, o której jeszcze niedawno sądziliśmy, iż jest sporadyczna, demonizowana/rozdmuchiwana przez wrogów katolicyzmu — okazała się masówką/masakrą/makabrą, gangreną rozwierającą w kieszeni porzekadłowy nóż. Kościół jednak i bez tego ginąłby, bo ma za wroga mocarne światowe lewactwo, czemu poświęcę przyszłotygodniowy felieton. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 2c83a54b18

Twoje **bezpieczeństwo** to teraz **Santander Bank Polska**

Bank Zachodni WBK
to teraz Santander Bank Polska

Santander
bank jaki chcesz

Bank Zachodni WBK S.A. zmienił nazwę na Santander Bank Polska S.A. Santander Bank Polska S.A. z siedzibą w Warszawie, przy al. Jana Pawła II 17, 00-854 Warszawa, zarejestrowana w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod nr. KRS 0000008723, utworzona na podstawie Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 11 kwietnia 1988 r. w sprawie utworzenia Banku Zachodniego we Wrocławiu (Dz. U. z 1988 r. Nr 21, poz. 142), NIP 896-000-56-73. Wysokość kapitału zakładowego 993 334 810 zł. Wysokość kapitału wpłaconego 993 334 810 zł.

1 9999 | santander.pl

Koszt połączenia zgodny z taryfą danego operatora.

eprasa.pl 2c83a54b18